

**Sanghera Jasviinder**

**Córki hańby**

Przełożyła

Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

DAUGHTERS OF SHAME

Copyright © Jasvinder Sanghera 2009

All rights reserved

Projekt okładki

Sylwia Grzadzka, Jacek Szewczyk

Zdjęcie na okładce

Blend Images/Getty Images/Flash Press Media

Redaktor prowadzący

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Lucyna Łuczyńska

Korekta

Anna Kaniewska, Jolanta Tyczyńska

Łamanie

Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-677-2

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA

ul. Mińska 65, 03-828 Warszawa

Wszystkim odważnym ludziom,  
osobom zmuszonym do małżeństwa  
i ofiarom przestępstw w imię honoru,  
ofiarom przemocy, tym,  
którzy stracili życie z rąk oprawców,  
winnych niejednej haniebniej zbrodni.  
Tym, którzy niezmiernie dążą  
do zmiany tego stanu rzeczy  
- nie jesteście sami.

#### PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję wszystkim kobietom, dzięki którym ta książka mogła powstać, bo bezinteresownie podzieliły się ze mną swoimi losami - czuję się wyróżniona, że mogłam wysłuchać waszych opowieści i zapoznać z nimi innych. Przede wszystkim dziękuję wam -wiedźcie, że jesteście kobietami z honorem.

Bardzo dziękuję moim dzieciom, które rozumieją sprawę, w jakiej działa ich mama, w sposób, który dodaje nam sił i zapewnia niezniszczalną bazę. Dziękuję swoim bliskim przyjaciółkom -w sytuacji braku

rodziny często trzymają mnie przy życiu, darząc bezwarunkową miłością, służą mi wsparciem, a czasami okazują ogromną cierpliwość; to dodaje mi sił.

Wielkie podziękowania dla mojego agenta, Marka Lucasa, za jego rady i pomoc, za wiarę, że powinnam się podzielić swoimi przeżyciami.

Dziękuję Gordonowi Richesowi, człowiekowi wyjątkowemu, który odegrał znaczącą rolę w mojej podróży przez życie, umożliwiając mi zrozumienie, że nie tylko potrafię, lecz także mogę coś zmienić.

Twoja cierpliwość, zaufanie i zaangażowanie były bezcenne. Dziękuję, że nigdy we mnie nie zwątpiłeś, nawet kiedy chciałam się poddać.

Zawsze będę wdzięczna swoim wydawcom; ich wiara sprawiła, że to wszystko doszło do skutku. Dziękuję wam za waszą uczciwość i zaangażowanie. Szczególne podziękowania składam Rupertowi Lancasterowi, który zawsze mnie wspierał, nawet kiedy był jedynym mężczyzną obecnym na rozdaniu nagród dla Kobiety Roku!

Podziękowania należą się również komisarzowi Brentowi Hyattowi, Philipowi Balmforthowi i emerytowanemu komisarzowi Tony'emu

7

Hutchinsonowi; dzięki nim odradza się wiara w ochronę policyjną w tej sferze, bo robią więcej, niż wynika to z zakresu ich obowiązków.

Wiem, i inni też wiedzą, że ratujecie życie i narażacie się, by mieć pewność, iż o tych sprawach jest głośno.

I na koniec dziękuję wszystkim z Karmy Nirvany - szczególnie Trish, Annie i Shazi - wasze oddanie jest wyjątkowe, dziękuję wam też za przyjaźń. Wasze wsparcie dla projektu i wiara w niego często

stanowiły ostatnią deskę ratunku dla wielu osób. Moim życzeniem jest, by dzięki wam i wielu innym ludziom to przedsięwzięcie rośnie w siłę.

## OD AUTORKI

W celu zapewnienia anonimowości osobom, których historie przedstawiam, zmieniałam ich imiona, a także inne informacje umożliwiające ich identyfikację, takie jak zawody, rysopisy i nazwy miejscowości.

## WSTĘP

Nauczono mnie dochowywania tajemnic, ponurych tajemnic kryjących zastraszanie, wymuszanie i lęk. Wszystko to stanowiło część codziennego życia w moim domu. Wierzyłam, że gdybym rozmawiała o sprawach rodzinnych z obcymi, naraziłabym na szwank nasz honor - izzat - sprzeniewierzając się największym wartościom mojej mamy. Dlatego nic nikomu nie powiedziałam, kiedy mi pokazała zdjęcie mężczyzny, którego miałam poślubić. Wiedziałam, że dla mnie to nic dobrego, jestem za młoda, żeby przerwać naukę w szkole i wyjść za mąż, czułam, że to źle zostać zmuszoną do poślubienia mężczyzny, którego nie znam, ale nic nie powiedziałam. Dochowałam tajemnicy, lecz ona rosła we mnie, karmiąc się moim wstydem, niezadowoleniem, strachem i poczuciem winy.

Wolałam uciec, niż zgodzić się na małżeństwo, dlatego rodzina wyrzekła się mnie. „Okryłaś nas hańbą. W naszych oczach nie żyjesz” - oświadczyła mama. To też zachowałam w tajemnicy. Starając się żyć po swojemu, chodziłam ze spuszczoną głową i odwracałam wzrok:

nie chciałam, by ludzie wiedzieli, że jestem nic niewarta.

Byłam na kursie technik słuchania, kiedy podzieliłam się swoją historią z dziewczyną całkiem mi obcą. Miała na imię Alicia i gdy poznała mój sekret, nie wzdrygnęła się, nie odepchnęła mnie ani nie wyśmiała. Powiedziała, że mnie rozumie. To był punkt zwrotny w moim życiu.

Osiemnaście miesięcy później poznałam Ayeszę i dowiedziałam się, że moja rodzina to jedna z wielu azjatyckich rodzin, omotana duszącą pajęczyną tajemnic. Niedawno rozpoczęła działalność Karma

11

Nirvana, założona przeze mnie organizacja charytatywna, pomagająca kobietom, którym życie utrudniają bariery kulturowe i językowe; jedną z pierwszych jej klientek została Ayesha. Nieszczęsna kobieta, zamknięta w sobie, była zagubiona, myślałam, że nigdy nie zdołam do niej dotrzeć. Opowiedziałam jej swoją historię. Udało się. Wysłuchała mnie, a potem opowiedziała o swoim życiu. W wieku dziewięciu lat zgwałcił ją brat, matka o wszystkim wiedziała, ale nie stanęła w jej obronie. Ayesha uciekła z domu, kiedy kazano jej poślubić nieznanego mężczyznę. Kiedy podzieliła się z nami budzącymi grozę wydarzeniami ze swojego życia, poczuła ulgę, przestała się tym zadreć. Spojrzała na swoją przeszłość moimi oczami, uświadomiła sobie, jak kiedyś ja, że jest ofiarą, a nie sprawcą przestępstwa.

Spotkanie ze mną było dla Ayeshy punktem zwrotnym. Być może po raz pierwszy w życiu poczuła się doceniona jako człowiek. To ją odmieniło, uwierzyła w siebie, w swoją lepszą przyszłość. Zrozumiałam

wtedy, że wspieranie takich kobiet jak Ayesha jest dla mnie najważniejsze, leży u podstaw wszystkiego, co robię.

Zacząłam jeździć po kraju i opowiadać o sobie i o innych kobietach, podobnych do mnie. Nie zawsze było to łatwe. Kiedy człowiek się wychyla, podważa obowiązujące od stuleci normy obyczajowe, czuje się bardzo osamotniony. Wystawiona niejako na widok publiczny, często się bałam.

Opublikowanie przed dwoma laty mojej autobiografii Zhańbiona przyniosło rozgłos prowadzonej przeze mnie kampanii. Zacząłam otrzymywać zaproszenia na spotkania z ludźmi, do których chciałam dotrzeć. Liczyłam na policję, pracowników służby zdrowia, opieki społecznej, wymiaru sprawiedliwości. Czasami wszystko mi się zlewa: konferencje, perony dworcowe, nowe twarze i miejsca. Wracam do domu późno, ale staram się nie zaniedbywać dzieci, zawsze przekazywać im coś pozytywnego. Często jestem zmęczona, ale czerpię siły z tego, że ludzie mnie słuchają. Coraz więcej osób uświadamia sobie, że wymuszane małżeństwa, przemoc i zabójstwa honorowe zdarzają się nie tylko w odległych, obcych krajach, ale tuż pod ich nosem, w Wielkiej Brytanii, może w sąsiednim domu.

Książka Zhańbiona sprawiła również, że ludzie odważyli się mówić o swoich problemach i prosić o pomoc. Z dnia na dzień liczba telefo-

12

nów do Karmy Nirvany wzrosła trzykrotnie i utrzymuje się na takim poziomie. Codziennie kontaktują się z nami kobiety, także, coraz częściej, mężczyźni. Przeczytawszy książkę, dużo osób uświadomiło

sobie, że podobne „tajemnice” i przykre doświadczenia mają również inni. Słucham opowieści -jest ich więcej, niż kiedykolwiek przypuszczałam - kobiet faszerowanych narkotykami, bitych, więzionych, gwałconych i terroryzowanych w czterech ścianach rodzinnych domów. Poznają kobiety traktowane przez swoich bliskich jak niewolnice. Czuję się wyróżniona, że dzielą się ze mną historią swojego życia, i dumna, że mogę stanąć obok tych, które pozbywają się brzemienia przeszłości i zaczynają odbudowywać swoje życie. Ich odwaga jest dla mnie źródłem siły i natchnienia.

Nie było mi łatwo podjąć decyzję o napisaniu Zhańbionej, odsłonięciu tajemnicy własnej rodziny, wiedziałam, że w ten sposób przekreślam nadzieję na nasze pojednanie, ale o słuszności mojego postępowania świadczą głosy tych, którzy mi mówią: „Przeczytałem twoją historię i to mi pozwoliło opowiedzieć moją”. Niektóre osoby poznałam z lektury tej książki. Stały mi się bardzo drogie: nigdy nawet nie pomyślałam, że zastąpią siostry, które straciłam, ciocie, których moje dzieci nigdy nie spotkały.

Widzę teraz, że Zhańbiona była katalizatorem: utorowała drogę dla czekających na opowiedzenie swoich dziejów Zhańbionych córek.

1

Czasem leżę w nocy i myślę o Uzmie Rahan. Na zdjęciu, które widziałam, wygląda na pewną siebie, w złotej biżuterii, z pełnymi, czerwonymi ustami i ufarbowanymi włosami. „Wyzywająca”, powiedziałaaby moja mama, krzywiąc się z dezaprobatą. Nie zgadzam się, jest śliczna i dumna. Ale nie taką ją widzę, leżąc nieruchomo

w ciemności. Mam przed oczami to, co zobaczyli policjanci, kiedy znaleźli Uzmę w sypialni cztery tygodnie po jej śmierci.

Zaciskam powieki, żeby nie dopuścić do siebie koszmaru, ale to na nic, bo moja wyobraźnia stworzyła przerażający obraz, który, wiem to, jest prawdziwy. Z pewnością są zdjęcia z miejsca przestępstwa, na których widać, jak wyglądały zwłoki Uzmy Rahan, ale komisarz Brent Hyatt nie pokazał ich podczas prezentacji; zbyt drastyczne.

Uzmę zatłukł kijem baseballowym jej mąż. Kupił go specjalnie w tym celu. Stwierdzono ślady dwudziestu trzech uderzeń.

Czym sobie zasłużyła?

Uzma nie urodziła się w Wielkiej Brytanii, przyjechała do Manchesteru z Pakistanu, by zgodnie z wolą rodziców poślubić swojego kuzyna, Arshada Rahana, ale polubiła nową ojczyznę i szybko się tutaj zaaklimatyzowała: pracowała na pół etatu w gabinecie kosmetycznym i w szkolnej stołówce, obcięła włosy, nosiła modne obcisłe stroje.

Była przeciętną kobietą, jak wiele z nas, może tylko odważniejszą, bardziej cieszącą się urokami życia.

Rzekomo miała romans, o czym podobno wszyscy wiedzieli; w gazetach pisali, że żona kochanka wysłała SMS-a do rodziny Uzmy w Pakistanie. Arshada irytowało, że żona się maluje, nosi obcisłe stroje, że podoba się mężczyznom, ale dopiero romans skłonił go do przeprowadzenia rozwodu i sprzedaży domu. Niespełna trzydziestoletnia Uzma, bez środków do życia, zamieszkała z trójką dzieci w domu komunalnym.

Myślę sobie, że gdyby się stamtąd nie wyprowadziła, może żyłaby



do dziś.

Rok później mąż kupił nowy dom i prosił, żeby wróciła, chciał zacząć wszystko od nowa. Zgodziła się, chociaż zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. „Licz dni, póki mnie nie zabije” - powiedziała swojemu bratu, kiedy spakowała torby. Wiedziała, że Arshad będzie się chciał zemścić, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że skrzywdzi dzieci. W przeciwnym razie zostałyby w budynku komunalnym. Tak sądzę.

Podczas prezentacji Brent pokazał zdjęcia dzieci, pozowane, szkolne fotografie, do których jakiś nauczyciel pośpiesznie przyglądził im włosy, kazał się uśmiechnąć. Siedziałam w pierwszym rzędzie i kiedy na nie patrzyłam, takie ufne, pogodne, chcące zasłużyć na pochwałę, nie zdołałam powstrzymać łez. Mąż Uzmy zabił całą trójkę.

Ją zamordował w sypialni, a potem zszedł na dół, do dużego pokoju, i po kolei wołał dzieci. Pierworodny, jedenastoletni, miał na sobie koszulkę i spodenki piłkarskie; drugi syn, ośmioletni, strój Spidermana. Henna liczyła sobie sześć lat. W gazetach napisali, że dwoje z nich miało na nadgarstkach plastikowe opaski, uprawniające do korzystania z atrakcji w wesołym miasteczku w Blackpool, dokąd wybrali się całą rodziną w przeddzień swojej śmierci. Założę się, że chłopcy mieli opaski, Henna była za mała.

Mam nadzieję, że z trójki rodzeństwa ona umarła pierwsza.

Co wcześniej widziały i słyszały? Jak niewyobrażalnie musiały być przerażone, kiedy skulone przywierały do ściany, zasłaniając sobie uszy, żeby nie słyszeć uderzeń kija, gdy czekały na swoją kolej. Trzem

niewinnym istotom odebrano życie. Dlaczego?

„Musiałem zlikwidować potomstwo tej pieprzonej dziwki. Tak, jak mi powiedziano”, oświadczył Arshad.

2

Moje wyobrażenia o działalności Karmy Nirvany były, patrząc na to z perspektywy czasu, dość naiwne. Zainspirowała mnie tragiczna śmierć mojej siostry Robiny, która podpaliła się, by uwolnić się od męża. Uważałam wtedy, że jej losy są czymś wyjątkowym; nie wiedziałam, że takie zdesperowane kobiety jak Robina - żyjące w wiecznej trwodze o własne życie, jak Uzma - można spotkać w całej Wielkiej Brytanii, często w miastach, które znam jak własną kieszeń. Przypuszczałam natomiast, że wiele jest takich kobiet jak moja mama. Jej losy też mnie zainspirowały: mieszkała przez czterdzieści lat w Derby, lecz nie nauczyła się ani jednego słowa po angielsku. Umarła jako cudzoziemka w kraju, w którym żyła, ale którego nigdy nie nazwała swoim.

Odkąd odeszły z tego świata, dotkliwie odczuwam ich brak, cierpię i mam wyrzuty sumienia. Nie mogę się pogodzić z tym, że nie zapobiegłam tragicznej śmierci Robiny. Chciałam, próbowałam, ale mnie nie słuchała, bo przecież rodzina się mnie wyrzekła. Kiedy uciekłam z domu, mama oświadczyła, że przestałam dla nich istnieć. Od tamtej pory byłam wyrzutkiem, a co za tym idzie, moje opinie nie miały i nie mają żadnego znaczenia.

Mama nigdy nie powiedziała, że jest ze mnie dumna. Wybrałam wolność w kraju, w którym się wychowywałam, i chociaż tego nie żałuję,

trudno mi się pogodzić z myślą, iż odeszła, zostawiając mnie w przeświadczeniu, że ją rozczarowałam. Żyjąc tak, jak chciałam, zawiodłam ją.

Z tego gąszczu emocji narodziła się moja wizja organizacji dobroczynnej. Karma Nirvana powstała na cześć tych dwu bliskich

17

mi kobiet i dla ich upamiętnienia, dlatego założyłam organizację w Derby, naszym mieście rodzinnym. Teraz wiem, że nie miałam pojęcia o skali zjawiska, z którym chciałam walczyć, i z jakimi się zetknę problemami. Bardzo szybko stało się jasne, że kobiety, które zgłaszały się do nas po pomoc, cierpiały w wyniku przemocy w imię honoru, i to nie tylko ze strony męża, także rodziny.

Kiedy słuchałam kobiet w hidżabach, pod którymi ukrywały się niaki i z trudem opowiadały o swoim ciężkim życiu, uderzyło mnie, że są bardzo młode. Przychodziły do nas maltretowane żony, które właściwie były jeszcze dziećmi. Ofiary przemocy w jakimś akcie rozpaczki zapragnęły zmienić swój los, lecz nie miały pojęcia, gdzie szukać pomocy. Dlatego, kiedy zaczęłam się starać o popularyzację celów działalności Karmy Nirvany, odwiedzałam przede wszystkim szkoły i wciąż to robię.

Jestem w stałym kontakcie z wszystkimi szkołami w okolicy; proszę o rozmowę z osobą odpowiedzialną za bezpieczeństwo dzieci. Zdarza się, że szkoły nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Twierdzą, że dotykam spraw „kulturowo wrażliwych”, a wolę nie narażać się rodzicom uczniów. Pewien dyrektor szkoły oświadczył wprost: „Nie stykamy się z czymś takim, jesteśmy nowoczesną szkołą”. Miałam

ochotę zapytać: „A co z dziewczynką, którą udusił brat, katował ją, a matka przytrzymała za nogi? Zamordowali ją, bo myśleli, że zaszła w ciążę z mężczyzną, którego nie była żoną. Uczęszczała właśnie do tej szkoły”. Chciałam to powiedzieć, ale szybko przekonałam się, że czasem lepiej się ugryźć w język.

W jednej ze szkół poznałam Sanah. Heather Jackson, wicedyrektorka, zadzwoniła do mnie, żeby porozmawiać o trzech uczennicach dziesiątej klasy. Miały po piętnaście lat.

- Bardzo się o nie niepokoję - powiedziała. - Sanah, Rashpal i Kuljit były pilnymi uczennicami, bardzo obiecującymi, ale teraz całkiem się opuściły, zubożały; zupełnie straciły zainteresowanie nauką, jakby uchodziła z nich życiowa energia. Byłabym wdzięczna za informacje, co się dzieje w ich domach, i za uwagi kogoś, kto lepiej rozumie ich tradycyjną kulturę niż ja. Według mnie, Jasvinder, przyczyną kłopotów jest to, że one chcą się czuć nastolatkami, ale ich rodziny nie pozwalają, już myślą, żeby je wydać za mąż.

Przyjechałam do szkoły pewnego dnia pod koniec maja; Heather serdecznie mnie powitała i zaprowadziła do swojego gabinetu, małego pokoju z dwoma biurkami i całą ścianą półek z książkami i segregatorami. Usłyszałam stukot obcasów na korytarzu, kiedy poszła po dziewczynki.

- Rashpal, Kuljit i Sanah - przedstawiła trzy nastolatki; stały ze spuszczonej głowami na progu. Wszystkie miały długie włosy, prawie zasłaniające twarz, więc widziałam jedynie czubki ich głów. Heather rzuciła mi zachęcające spojrzenie i zamknęła drzwi. Wciąż

ze wzrokiem utkwionym w podłogę, szurając nogami, weszły do środka i usiadły na krzesłach naprzeciwko mnie. Gdy tylko zajęły miejsca, odsunęły się do tyłu, jak najdalej. Chwilę niezręcznego milczenia zakłóciło parsknięcie śmiechem siedzącej w środku Kuljit. Zasłaniały dłońmi usta, żeby nie zawtórować koleżance.

Od czego zacząć? Odchrząknęłam.

- Pani Jackson doszła do wniosku, że byłoby dobrze, gdybyśmy porozmawiały.

Milczenie.

- Domyślacie się dlaczego?

Stłumione chichoty.

- Coś o mnie wiecie?

- Że zna pani mojego tatę. - Zostało to wymamrotane, nie byłam pewna, która bąkała, zdaje się, że Rashpal, najwyższa z nich, siedząca po prawej stronie.

Umilkłam, kompletnie zaskoczona.

- Skąd taki pomysł?

Nie podniosły głów. Kuljit bazgrała długopisem na dłoni, Sanah ogryzała skórę wokół paznokcia.

- Mówcie śmiało. Nie będziemy tak siedzieć przez cały dzień.

Kim jestem według was?

Po długim milczeniu Rashpal powiedziała jeszcze ciszej niż poprzednio:

- Jest pani przyjaciółką mojego taty. Wiemy, że tu panią przysłał.

-Nieprawda, nie...

- Musi pani znać kogoś, kto go zna, należy pani do sieci.

- Oświadczam wam, że nie należę do sieci. Karma Nirvana, organizacja dobroczynna, którą kieruję, pomaga kobietom pokonać bariery kulturowe i językowe. Większość kobiet, które się do nas zwracają, pochodzi z południowej Azji, dużo jest bardzo młodych, jak wy. Są źle traktowane w domu przez swoją rodzinę albo rodzinę męża. Niektóre się boją, że zostaną zmuszone do małżeństwa. Niektóre są...

- Przepraszam, czy mogę panią o coś zapytać? - odezwała się Sanah, najmniejsza z całej trójki, właściwie jeszcze dziecko, ale wyglądała poważnie jak na swój wiek i miała smutne oczy. Zupełnie nie przypominała beztroskiej nastolatki. W jej twarzy, obramowanej hidżabem, zwracały uwagę brązowe oczy, największe, jakie kiedykolwiek widziałam. - Czy możemy wyjść na chwilę, bo... - pochyliła się i z szerokim uśmiechem wyjęła ze skarpetki paczkę marlboro - ...muszę zapalić.

Rashpal i Kuljit zgodnie ją poparły:

- Tak, proszę pani. Bardzo prosimy.

Zawahałam się, oceniając linię, na której będę musiała balansować, by zachować kontrolę bez wywoływania wrogości u zgranej paczki koleżanek. Jak zdobyć ich zaufanie? Wróciłam myślami do czasów, kiedy sama byłam w ich wieku, i nagle przypomniałam sobie, jak bardzo pragnęłam wieść życie zwyczajnej nastolatki.

- Wiecie co? - Mój głos zabrzmiał pewniej i bardziej zdecydowanie.

- Kiedy byłam w waszym wieku, pewnego dnia wróciłam ze szkoły

do domu i mama pokazała mi zdjęcie. Oznajmiła: „Spójrz, to mężczyzna, którego poślubisz. Co o nim myślisz?”. Dobrze pamiętam ten dzień. Mężczyzna dużo ode mnie niższy, miał głupią fryzurę, oczywiście wcale mi się nie podobał, ale nie o to chodzi. Miałam piętnaście lat i nie chciałam wychodzić za mąż. Za nikogo.

Sanah schowała papierosy i wszystkie spojrzały na mnie z zainteresowaniem. Wiedziałam, patrząc na ich mowę ciała - siedziały rozparte na krzesłach, nie próbując zmniejszyć dzielącej nas odległości - że jeszcze nie są gotowe mi się zwierzać, ale już było mniej nieufności.

-I co pani zrobiła? - spytała Kuljit.

Powiedziałam im o ucieczce z domu, o tym, że rodzina się mnie wyrzekła i że trudno żyć bez jakiegokolwiek wsparcia, wspomniałam, że sama wychowuję dzieci. Powiedziałam im też o Robinie. Jej historia nimi wstrząsnęła. Nigdy nie zapomnę, jak słuchając, przysuwały krzesła. Zupełnie jakby moje słowa przyciągały je niemal fizycznie. Zasypały mnie pytaniami.

- Z czego pani żyła?

- Jak sobie pani poradziła bez mamy?

- Tęskni pani za rodziną?

Mówiły wszystkie naraz, przerywały sobie, aż parę razy musiałam przywołać je do porządku:

- Proszę, nie mówcie jednocześnie, nie przekrzykujcie jedna drugiej, bo nic nie rozumiem.

Nie jestem pewna, która odważyła się pierwsza, ale zaczęły mówić

o przykrych stronach swojego życia: „Spoliczkował mnie brat, bo zobaczył, że rozmawiam z jakimś chłopakiem. Rozmawialiśmy o pracy domowej!”. „Powiedziałam: mam, wszyscy mają komórki. Ale jej zdaniem tylko białe dzieci mają telefony komórkowe”. A potem, niespodziewanie, Rashpal powiedziała:

- Wie pani, jak to jest być zamkniętą w pokoju, prawda? No więc zamykają mnie codziennie wieczorem. Ktoś doniósł mamie, że mam chłopaka. Nieprawda, nie mam i nigdy nie miałam. Powtarzam jej to, ale nie wierzy. Kiedy tylko wrócę ze szkoły, zamyka mnie w moim pokoju. Nawet jem tam posiłki, nie wolno mi zejść na dół, żeby jeść ze wszystkimi.

Sanah i Kuljit weszły jej w słowo: „Tak, proszę pani”, „Moja mama też mnie zamykała, ale tylko przez parę dni”. Zaczęły ujawniać szczegóły, ale rozmawiały nie tyle ze mną, ile ze sobą, dzieląc się skrywanymi tajemnicami. To było frustrujące. Uświadomiłam sobie, że nie mogę im pomóc, spotykając się z całą trójką. Zanim wróciła Heather Jackson, podjęłam decyzję.

- Jestem zadowolona ze spotkania. - Spojrzałam na nie, a dziewczyny pokiwały głowami. - Ale chyba będzie lepiej, jeśli porozmawiam z każdą z was osobno. Co o tym sądzicie? - Popatrzyły na siebie nawzajem, ale żadna nie odezwała się słowem.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Heather spojrzała na zegarek.

- Rashpal, Kuljit, wróćcie do swojej klasy, dobrze? Sanah, może zostaniesz, porozmawiasz z Jasvinder?



Uznając jej wzruszenie ramionami za zgodę, Heather, Rashpal i Kuljit wyszły z gabinetu. Sanah, bez wsparcia ze strony koleżanek, wydawała się speszona. Wyciągnęłam rękę i ujęłam jej dłonie, gdy nerwowo obciągała rękawy bluzy.

- Powiedz mi coś o sobie. Opowiedz o swojej rodzinie.

- O swojej rodzinie? To ciekawa historia. - Melodramatycznie przewróciła oczami, jakbym tu przysła, by usłyszeć coś zabawnego. Kiedy wspominam teraz tamto popołudnie, zdumiewa mnie, że odważyła się powiedzieć mi tak dużo.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś o twojej rodzinie - powtórzyłam.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- A nie wygada się pani przed moim tatą?

- Nie powiem mu, że rozmawialiśmy. Obiecuję.

- Nie zna go pani, prawda? Powiedziała pani, że go nie zna?

- Nie znam ani jego, ani, o ile mi wiadomo, żadnego ze znajomych taty. Wszystko zostanie między nami, Sanah.

- W takim razie dobrze. Podejrzewałyśmy, że przysłali panią nasi ojcowie; chcieli się dowiedzieć, co myślimy, czy czegoś nie knujemy.

- Wasi ojcowie o niczym nie wiedzą. Heather Jackson poprosiła mnie, żebym przyjechała; niepokoi się o was, o ciebie i twoje koleżanki. Mówi, że jesteście bystre i inteligentne, ale nic nie robicie, opuszczacie się w nauce. Uznała, że musi być jakaś tego przyczyna i próbuje, przy mojej pomocy, tego dociec.

- Po co mam się uczyć, skoro i tak będę musiała przerwać naukę

i poślubić jakiegoś Pakistańca? - wyrzuciła z siebie Sanah.

Milczałam, mając nadzieję, że powie coś więcej.

Unikała mojego wzroku, spojrzała w okno, nagle czymś zainteresowana na pustym placu zabaw.

- Podejrzewam, że rodzice chcą mnie wydać za kogoś w Pakistanie.

Jak moją starszą siostrę. Teraz kolej na mnie.

Spojrzała na mnie badawczo, jakby chciała się upewnić, czy w to wierzę. Widocznie uznała, że tak, bo mówiła dalej:

- Zwierzyłam się z tego tylko jednej osobie.

- Komu?

- Mojej najlepszej przyjaciółce. Kiedyś siedziałyśmy na boisku

22

i jedna z koleżanek spytała: „Jak sądzicie, która z nas pierwsza wyjdzie za mąż?”. Wtedy ona popatrzyła na mnie i powiedziała: „Według mnie pierwsza wyjdzie Sanah”. Nie zaprzeczyłam, bo boję się, że to prawda, chociaż bardzo bym tego nie chciała. Ale inne dziewczyny zaczęły pytać: „Ma rację, Sanah, też tak uważasz?”. - Zaczęła trzeć oczy krótkimi, poplamionymi atramentem, dziecięcymi palcami, żeby powstrzymać łzy. Skórki wokół paznokci miała ogryzione do samego mięsa. - Nie mogę zapomnieć tamtej rozmowy. Poczułam się jakaś inna. Osamotniona.

- A co na to twoja przyjaciółka?

- Poprosiłam ją o radę. Spytałam, co by zrobiła, gdyby to jej dotyczyło, a ona oświadczyła: „Na twoim miejscu zgodziłabym się.

Ty też powinnaś”. - Łzy płynęły Sanah po policzkach, dziewczynka

z trudem przełykała ślinę, dławiona szlochem. - Boję się mamy, cierpi na huśtawkę nastrojów, wszystko chce kontrolować. Jeśli jej powiem, że nie z własnej winy mam kłopoty w szkole, nie uwierzy mi. Zawsze uważa, że jestem winna.

Sanah westchnęła ciężko. Wyglądała tak młodo, dziewczęco, aż poczułam złość, kiedy pomyślałam, że jest zmuszana do małżeństwa, że odbiera się jej dzieciństwo, bo liczy się interes rodziny. Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek, zaskrzypiały otwierane drzwi, rozległy się śmiechy i pokrzykiwania, tupot nóg.

- Przerwa obiadowa - wyjaśniła Sanah, jakby odgłosy wymagały komentarza.

Skinęłam głową.

- Lubisz szkołę? Chciałabyś kontynuować naukę?

Przechyliła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Właściwie jestem złą uczennicą. Parę razy byłam zawieszana w prawach ucznia. Musiałam za karę zostać po lekcjach. Ale... - Urwała i szeroko się do mnie uśmiechnęła. - Szkoła to najlepsze miejsce pod słońcem, raj. Kiedy rano przychodzę, myślę sobie: nareszcie. Mogę tu robić wszystko, na co mam ochotę. Ubóstwiam to. W szkole mogę być szczęśliwa... Pamięta pani sześciotygodniowe wakacje? Też pani miała? Dla mnie to katorga, bo w domu obowiązuje surowa dyscyplina. Nie wolno mi nigdzie wychodzić. Nie wolno mi ubierać się modnie. Sześć tygodni nudy bez słuchania muzyki, oglądania

23

„EastEnders” ani w ogóle żadnych angielskich programów. Tylko

filmy z Bollywood.

Po tej fali szczerości umilkła.

- Jak myślisz, czego oczekuje od ciebie mama? Jak widzi twoją przyszłość?

Znów ciężko westchnęła.

- Nie wiąże z córkami większych nadziei. Mojego brata głaszcze po głowie i mówi: „Synu, pójdziesz do pracy i będziesz moją dumą”.

Ale nie chce, żebyśmy my też pracowały. Kiedy zobaczy, że czytam książkę, kręci głową: „Nie będziesz siedzieć w biurze ani nie przystąpisz do egzaminu maturalnego, po co ci książki?”. Zbeształa mnie nawet za czytanie Harry'ego Pottera. Odrabiam lekcje tylko wtedy, kiedy tata jest w domu, bo mnie wspiera, chce, żebym zdobyła wykształcenie.

Zawsze powtarza: „Patrz na nauczycielkę. Niech wie, że uważasz na lekcjach”. Chce, żebym dobrze się uczyła...

Urwała, zmieszana. Ton jej głosu stał się łagodniejszy, kiedy wspomniała o ojcu. Czułam, iż zмага się z tym, że człowiek, którego bardzo kochała, szanowała i darzyła zaufaniem, teraz ją zdradził.

- Zawsze chciał, żebym dobrze się uczyła, dlatego nie rozumiem jego zachowania. Więc zapytałam go o ten ślub: „Czemu to robisz? To do ciebie niepodobne”. A on odparł: „Porozmawiam z mamą, zobaczymy, co powie”. No i porozmawiał, a potem miałam wrażenie, że stał się kimś zupełnie innym. Zmienił mu się nawet ton głosu.

Oświadczył twardo: „Musisz wyjść za mąż”. I tyle.

Rzuciła mi niemal wyzywające spojrzenie.

- Tata naprawdę jest wyrozumiały, ale nigdy nie mam odwagi spojrzeć

mu prosto w oczy. Wierzy mi pani? Boję się, chociaż go szanuję. Skinęłam głową. Ujrzałam swojego tatę. Widziałam, jak stoi koło tylnego wejścia do naszego domu przy Dale Road; opiera się o framugę drzwi, rozkoszując słońcem tuż przed zachodem, zanim pójdzie na nocną zmianę do pracy w odlewni. Pali papierosa, w charakterystyczny sposób ukrywając go w dłoni. Wspomnienie było tak żywe, że niemal czułam ostry i cierpki zapach dymu, słodki aromat brylantyny, którą smarował włosy. Poczułam, że dostaję gęsiej skórki, i głośno odchrząknęłam, jakbym się bała, że do niego przemówię. Zmusiłam się do skupienia uwagi na Sanah.

24

- Kiedy twoja siostra wyszła za męża?

Zastanowiła się chwilę.

- Wyjechaliśmy na letnie wakacje, opuściłam dwa tygodnie szkoły.

Wtedy sądziłyśmy, że to zwykłe wakacje. Siostra nie domyśliła się niczego, nawet kiedy tata wybrał się z nią, by kupić jej nowe sukienki. Jakies dwa tygodnie po naszym przyjeździe zaczęły się przygotowania do ślubu: ciotki pichciły tradycyjne azjatyckie potrawy, w domu pojawiły się skrzynki coli i soków. Dopiero wtedy tata oznajmił mojej siostrze, że wydadzą ją za męża.

- Ile miała lat?

- Raveeda skończyła osiemnaście lat i wcale nie chciała wyjść za męża.

- Sanah nachyliła się ku mnie, na nowo przeżywała to, o czym mówiła, oczy miała wielkie jak spodki. - Płakała i krzyczała: „Nie, tato, nie chcę wyjść za męża”. Tata zaczął się na nią wydzierać. Bardzo się przestra-

szyła... - Urwała i popatrzyła gdzieś przed siebie, jakby ujrzała nad moim lewym ramieniem mokrą od łez twarz siostry i słyszała lodowaty, gniewny głos ojca. Przeszedł mnie dreszcz. - To była przerażająca scena - powiedziała cichutko. - Mama często na nas krzyczy, to u niej normalne, nie przejmuję się tym. Ale tata należy do ludzi łagodnych z natury. Takie zachowanie jest zupełnie do niego niepodobne.

- Siostra poznała mężczyznę, którego miała poślubić? - Zawstydziałam się, że zadałam pytanie zbyt emocjonalnie. Chociaż od lat wysłuchuję opowieści nieszczęśliwych kobiet, jeszcze nie potrafię patrzeć na to z dystansu; w myślach zawsze wracam do zdjęcia na kominku, mężczyzny, któremu byłam przeznaczona. Czuję wyrzuty sumienia, że uniknęłam swojego losu; wszystkie moje siostry poślubiły mężczyzn wybranych im przez rodziców. Dlaczego tylko ja sprzeciwiłam się przeznaczeniu?

- Widziała go raz. Jego rodzice złożyli nam wizytę. Kiedy wszedł do domu, mama spytała Raveedę szeptem: „Co o nim sądzisz?”. Siostra powinna była się domyślić, że chcą ją wydać za mąż, bo mama zachowywała się inaczej niż zwykle. Na ogół mówi coś w rodzaju: „Daj mu spokój, jest kawalerem”, nawet jeśli rozmawiamy z kuzynem.

- Jak długo siostra musiała zostać w Pakistanie?

- Chyba pół roku. Wróciliśmy do domu po przyjęciu zaręczynowym, tylko tata został z nią na ruksat. Wszystko uwieczniono na filmie

25

wideo, który oglądaliśmy w domu. Było mi strasznie smutno, kiedy go oglądałam, serce mi pękało. Siostra uczepiła się taty, zalewając

się łzami. Film był niemy, ale z łatwością dało się odczytać z ruchu jej ust, co mówi. Błagała: „Proszę, nie zostawiaj nas tutaj”. Tata odparł: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”. Rodziców nie obchodziło, że ich córka będzie nieszczęśliwa. Kiedy mąż ją zgwałcił, powiedziała o tym tacie. Odparł: „To nie gwałt, tylko mężowskie prawo”. Byłam wstrząśnięta, kiedy to usłyszałam. - Sanah zniżyła głos do szeptu i musiałam wyteńczyć słuch, żeby usłyszeć jej ostatnie słowa: - Boję się, Jasvinder. Nie chcę, żeby mnie spotkało to samo.

Dzwonek głośno zadźwięczał, aż obie drgnęłyśmy. Hałas dobiegający z placu zabaw przybrał na sile, kiedy uczniowie wracali do budynku. Wydawało się, że gabinet zatrzęsł się lekko od tupotu na korytarzu.

- Można sobie wyobrazić, co czuję, prawda? - zapytała tak cicho, jakby mówiła do siebie. - Boję się, Jasvinder. Naprawdę.

- Wiem.

- Kiedyś zeszłam na dół o jedenastej wieczorem. Nie wiedziałam, że oprócz mnie jeszcze ktoś nie śpi, póki nie zauważyłam światła w dużym pokoju. Drzwi były uchylone. Przystanąłam na progu i usłyszałam rozmowę rodziców z moją starszą siostrą. Kiedy mama powiedziała: „Zabierzemy ją do Pakistanu i wydamy za mąż”, siostra zapytała: „A co zrobicie, jeśli ucieknie z domu?”.

Sanah wyglądała na kompletnie wyczerpaną.

- Tata oświadczył twardo lodowatym tonem: „Nie pozwolę, żeby zhańbiła moją rodzinę”. Przeraziłam się. To zupełnie do niego niepodobne. Zawsze czułam silną więź z tatą. Wychowano mnie tak, żebym się go

bała, ale zawsze był dla mnie kimś wyjątkowym... - Znów urwała i przez chwilę siedziałyśmy, milcząc. Sanah zaczęła obgryzać paznokcie.

- Teraz mnie wydadzą za mąż - powiedziała przez łzy.

- Rozumiem, co czujesz.

Dziewczyna zbladła, wiedziałam, iż pora zakończyć tę rozmowę.

Też odczuwałam zmęczenie. Okrutne realia jej życia przygnębiły mnie.

- Teraz, kiedy nam wszystko powiedziałaś, możemy się tobą zaopiekować. To mój numer telefonu, możesz do mnie dzwonić o każdej

26

porze dnia i nocy. Chciałabym jeszcze porozmawiać z panią Jackson.

Wiesz, gdzie ją mogę znaleźć?

Sanah wstała. Sprawiała wrażenie, jakby była o połowę niższa od mojej Marii, która miała wtedy zaledwie jedenaście lat. Wyglądała dziecinnie i bezbrinnie; wstałam i ją przytuliłam. Przywarła do mnie, spragniona miłości i poczucia bezpieczeństwa. Żałowałam, że nie mogę jej zabrać do siebie.

Jakiś czas później, podczas jednej z wielu rozmów, jakie odbyłam z Sanah, zapytałam, czy kiedy mieszkała w domu i tak bardzo się bała, rozważała pójście na policję.

- Na policję? - Znów usłyszałam w jej głosie lekceważący ton osoby dorosłej, którym zaskoczyła mnie, gdy opowiadała o sobie. - Mogę pani coś opowiedzieć o policji. Przyszli do mieszkania mojej siostry razem z tatą, kiedy u niej byłam. On pojawił się już wcześniej, walił i kopał w drzwi, ale nie chciałam z nim rozmawiać. Zgłosił



moje zaginięcie i wrócił z policją. - Aż poczerwieniała z gniewu, wyrzucając słowa z prędkością karabinu maszynowego. - Przyszło dwóch policjantów, jeden Azjata i jeden biały; ten drugi nie odezwał się ani słowem. Azjata poprosił o rozmowę ze mną bez świadków. Pomyślałam, że to dobry znak. Powiedziałam mu: „Chcą mnie zmusić do małżeństwa, dlatego nie mogę wrócić do domu. Niech pan mi nie każe wracać do domu”. A on na to: „Oboje wiemy, że w azjatyckich rodzinach coś takiego to nie wyjątek. Powinnaś wrócić do domu i zrobić to, czego chcą rodzice”. Był pierwszym dorosłym, któremu odważyłam się o tym powiedzieć, i taką usłyszałam od niego radę.

3

Obecnie ponad pięćdziesiąt pięć procent telefonów do Karmy Nirvany to sygnały od funkcjonariuszy policji, którzy albo zgłaszają jakieś przypadki, albo zwracają się z prośbą o radę lub informację. Coraz częściej jesteśmy proszeni o wygłoszenie pogadanki, o wyjaśnienie kwestii dotyczących wymuszania małżeństw i przemocy w imię zachowania honoru rodziny; kiedy piszę te słowa, dwadzieścia dwie jednostki policji czekają na moją prezentację. Ponieważ stróże prawa to nasz bardzo ważny sojusznik, nigdy nie odmawiam. Zawsze zaczynam od tego, czego sama doświadczyłam, ale często też przytaczam historie innych kobiet, które cierpiały; zdarzały się wypadki, że dochodziło do zabójstw honorowych. Heshu Yones to jedna z pierwszych ofiar, i jej przypadek należy do szczególnie drastycznych. Miała szesnaście lat i życie przed sobą. Na zdjęciach ze szkoły średniej śmiała się razem z koleżankami. Na innych leżała na łóżku, uśmiechając

się do obiektywu, otoczona gadżetami, szczególnie lubianymi przez nastolatki. Była śliczna, pełna energii, inteligentna - była, bo już nie żyje. Zabił ją ojciec. Zadał jej siedemnaście ciosów nożem, nim poderżnął gardło i zostawił w łazience ich mieszkania komunalnego w Acton, żeby się wykrwawiła. Nóż, którym się posłużył, był wykrzywiony, wygięty, miał złamany czubek, bo zabójca niesłychanie brutalnie atakował.

Okaleczone zwłoki dziewczyny to jakby ofiara złożona z człowieka.

Ojciec Heshu, Kurd muzułmanin, zabił ją, bo okryła go hańbą - miała czelność wybrać sobie chłopaka, w dodatku chrześcijanina.

Heshu wiedziała, jakie mogą jej grozić konsekwencje; z listów odczytanych na sali sądowej wynikało, że już wcześniej ojciec ją bił.

28

W jednym napisała: „Ej, jak na starszego pana masz mocny cios i celnie kopiesz. Chyba podobało ci się testowanie swojej siły na mnie, zabawnie było być twoim workiem treningowym". Bała się o swoje życie na długo przed tym, nim pojawił się z nożem w ręku i wywłókł ją z sypialni. Powiedziała nauczycielom w szkole, że grozi jej niebezpieczeństwo; trzykrotnie szukała u nich pomocy i trzy razy jej obawy zlekceważono. A potem było już za późno.

Komisarz Brent Hyatt opowiedział mi o Heshu na konferencji dla funkcjonariuszy policji, na której się poznaliśmy. Należy do kierownictwa Wydziału do spraw Przystępczości Kryminalnej Policji Metropolitalnej i jest członkiem powołanego przez nią zespołu, zajmującego się zabójstwami honorowymi; to pierwsza sprawa tego rodzaju, z jaką się zetknął.

- Byłem wtedy taki naiwny, Jasvinder - powiedział mi. - Myślałem, że ojcu Heshu należałoby dać ochronę, kiedy ludzie się dowiedzą, co zrobił. Zakładałem, że może ktoś spróbuje pomścić śmierć Heshu, że mogą go zaatakować współwięźniowie, ale okazało się, że niepotrzebnie się o niego martwiłem. Gratulowano mi, że uratowałem honor rodziny, a Kurdowie w Belmarsh powitali go jak bohatera.

Brent powiedział mi również, że ojca Heshu skazano na dożywocie, ale już po ośmiu latach może się ubiegać o przedterminowe zwolnienie. Sędzia oświadczył, że to była „tragedia, wynikająca z różnic kulturowych między tradycyjnymi wartościami kurdyjskimi a wartościami wyznawanymi przez zachodnie społeczeństwo”. Jakby to mogło być usprawiedliwieniem! Znaczący, że można zabić córkę w imię ratowania honoru rodziny; że takie zabójstwo inaczej się kwalifikuje.

\*

Próba wyjaśnienia pojęcia honoru należy do najtrudniejszych zadań podczas moich prezentacji. Dla Azjatów jest to coś oczywistego: stykają się z tym słowem od dnia przyjścia na świat, przyswajają je sobie z mlekiem matki. Honor - izzat - stanowi podstawę azjatyckiej społeczności i od zarania dziejów obowiązkiem dziewcząt i kobiet jest jego szanowanie. A to bardzo trudne, bo tyle rzeczy może go skalać.

Malowanie ust, używanie telefonu komórkowego, obcięcie włosów; to wszystko przynosi ujmę honorowi rodziny, świadczy bowiem, że dziewczyna ulega wpływom Zachodu, z czym rodziny Azjatów nie-

ustannie walczą. Woła całymimi miesiącami trzymać córki pod kluczem, niż dopuścić, by ulegając modzie, sprzeniewierzyły się tradycji. Kiedy byłam mała, mama zawsze mnie przestrzegała przed białymi ludźmi i ich zepsuciem moralnym. Kiedyś mnie spoliczkowała, bo chciałam sobie kupić džinsy.

Po zakończeniu prezentacji przeznaczam przynajmniej pół godziny na pytania i zwykle to nie wystarcza. Wielu słuchaczy traktuje mnie jak konfesjonał. Przypominają sobie sprawy, którymi zajmowali się w przeszłości, i żałują, że nie postąpili inaczej. Pewien nadinspektor policji z północnej Anglii opowiedział mi historię młodej pary Azjatów, z którą zetknął się przed laty. Rodziny zgłosiły ich zaginięcie, przystąpiono do poszukiwań na szeroką skalę, z wykorzystaniem psów, helikopterów, nie mówiąc już o zaangażowaniu dużej liczby funkcjonariuszy.

- Znaleźliśmy ich w Londynie, a ponieważ to byli młodzi ludzie, wbrew ich woli zawieźliśmy oboje do domów. - Umilkł, a po chwili powiedział, jakby do siebie: - Błagali nas, żeby ich nie odsyłać, dziewczyna płakała, chłopak twierdził, że grozi im niebezpieczeństwo, ale zlekceważyliśmy ich słowa... Dlaczego? -Nasze spojrzenia się spotkały, widziałam w jego oczach poczucie winy. - Do dziś nie zdawałem sobie sprawy, co to mogło dla nich znaczyć. Wiem, że chłopaka odesłano do Indii, natomiast jeśli chodzi o dziewczynę... Po tym, czego się dowiedziałem dzisiaj, aż boję się pomyśleć, co się z nią stało.

Po latach wydzwaniania, walenia w zamknięte drzwi, wysyłania e-maili, które nie wiem, czy ktoś czytał, przyjemna jest świadomość,

że policja usłyszała głos Karmy Nirvany. Steve Allen, szef Wydziału do spraw Brutalnych Przestępstw Policji Metropolitalnej, nawet niedawno złożył nam wizytę, by osobiście zapoznać się z naszą działalnością. To bardzo dobry znak, zwłaszcza że na początku stosunki między nami nie układały się najlepiej. Poznałam go, gdy wystosowałam skargę do komendanta Scotland Yardu, sir Iana Blaira, że tak mało się robi w Wielkiej Brytanii, by walczyć z przemocą w imię honoru rodziny. Kiedy list trafił na biurko Steve'a Allena, wezwał mnie i kazał czekać dziesięć minut pod drzwiami swojego gabinetu. Już myślałam, że nigdy do mnie nie wyjdzie! Teraz się z tego śmiejemy. Słyszałam jego komentarz: „Tyle listów ze skargami trafia na moje biurko, ale Jasvinder okazała się inna, nie popuściła”.

Sporo czasu zajęło mi nakłonienie go, by nas odwiedził, ale wreszcie zgodził się połączyć to z wystąpieniem na konferencji, poświęconej przemocy w imię ratowania honoru rodziny, którą zorganizowałam w Leeds. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, kiedy pojawił się w naszym biurze; przypuszczam, że nie był pewien, czego się spodziewać. Nasza siedziba mieści się w centrum biznesu przy zwykłej ulicy w Derby, a w pokoju, w którym urzędujemy, nie ma nic, co by świadczyło o nawale pilnych spraw, jakimi zajmujemy się codziennie. Rozejrzył się: kremowe ściany, pięć biurek, stół konferencyjny, taca z czajnikiem, kawą, herbatnikami, tablica z poprzypinanymi ulotkami i wycinkami z gazet. Wszystko, co zobaczył, było zwyczajne i niczym się nie wyróżniało.

Potem dostrzegł niebieską skrzynkę na szafce przy drzwiach. Spoj-

rzał na mnie, lekko uniółszy brwi. Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała powiedzieć: „Tak, to to”. Jest policjantem; nie musiałam mu wyjaśniać, że to urządzenie alarmowe, w kilka sekund po naciśnięciu guzika w naszej siedzibie pojawi się oddział jego kolegów. Zainstalowaliśmy je nazajutrz po tym, gdy rodzina młodej kobiety, której pomogłam, zagroziła, że posieka mnie na drobne kawałki, jeśli nie ujawnię miejsca jej pobytu. Alarm miał pozostać tylko przez jakiś czas, ale za każdym razem, kiedy zamierzamy zdemontować urządzenie, znowu wydarza się coś, co budzi niepokój, i zostaje. Wszyscy podążyliśmy za wzrokiem Steve'a Allena i na chwilę czas stanął w miejscu, kiedy gapiliśmy się na niepozorną niebieską skrzynkę: naszą siatkę asekuracyjną.

- Napijmy się kawy. Anno, czy byłabyś tak dobra...? - odezwałam się, by czas znów zaczął płynąć. Sama czułam się niepewnie, ale kiedy się zastanawiałam, co zrobić na dobry początek dnia, wyręczył mnie telefon. Pamiętam, że odebrała Shazia. Potem znów zadzwonił, i znów, i znów. Między kolejnymi telefonami każde z nas próbowało pokrótce przedstawić sprawę Steve'owi Allenowi, zreferować mu, kto dzwonił i dlaczego, ale zdarzało się, że nie było na to czasu.

- Ta kobieta - pamiętam, jak powiedziałam, odłożywszy słuchawkę - jest w dziewiątym miesiącu ciąży. Ma już dwoje niespełna trzyletnich dzieci. Mieszka z teściami, mąż całkowicie kontroluje jej życie: nie wolno jej samej wychodzić z domu, nie może korzystać z telefonu, nawet zdecydować, jaki program telewizyjny obejrzeć. Dzwoniła do nas już kiedyś, żeby porozmawiać; nosiła się z myślą,

żeby odejść od męża. Teraz poinformowała, że podjęła decyzję. Prosi o zapewnienie jej schronienia. - Zwróciłam się do swojej sekretarki, Anny: - Potrzebne miejsce dla ciężarnej kobiety z dwójką dzieci, od dziś, jeśli to możliwe. Zechciałabyś się tym zająć? - Potem znów odwróciłam się w stronę Steve'a Allena. - Wiesz, co ją ostatecznie skłoniło do opuszczenia domu? Po urodzeniu poprzedniej dwójki oczekiwano, że wróci do sprząwania i gotowania dla siedmioosobowej rodziny męża nazajutrz po wypisaniu ze szpitala. Kiedy się poskarżyła, że słabo się czuje, teściowa ją kopnęła i nim minął tydzień, kobieta straciła pokarm. Powiedziała, że to przeważało szalę.

Tamtego dnia dzwoniły też kobiety, które dobrze znaliśmy i którym od jakiegoś czasu pomagaliśmy. Była wśród nich Aaliyah, matka pięciu córek. Najstarsza trzy lata wcześniej powiedziała jej, że tata wykorzystuje ją seksualnie, odkąd skończyła dwanaście lat. W pierwszym odruchu Aaliyah chciała spoliczkować córkę za to, że kłamie, ale dziewczyna się nie ugięła. Matka jej uwierzyła i poszła na policję. Wtedy wtrąciła się dalsza rodzina. „Nie wnoś przeciwko niemu oskarżenia”. „Nie ściągaj na nas wstydu”. „Nie rozumiesz, że w ten sposób okryjesz nas hańbą? A zresztą, cóż złego się stało?”. Nie dawali jej spokoju, póki Aaliyah nie wycofała oskarżenia. Zrozumiałe, że jej postępowanie wywołało u policjantów frustrację.

Na szczęście parę miesięcy później znów zmieniła zdanie. Do dzisiaj nie jestem pewna dlaczego, ale przypuszczam, że dużą rolę odegrała rozmowa, podczas której jej siedmioletnia córeczka powiedziała w naiwności ducha: „Mamusiu, wiesz, że tatuś ma węza,

który rośnie, kiedy go dotknąć?". Mam nadzieję, że istotne też było nasze wsparcie. Ojciec siedzi w więzieniu: otrzymał wyrok dwóch lat pozbawienia wolności, przez kolejnych dziesięć lat będzie widniał w spisie winnych przestępstw seksualnych. Jego rodzina nie widzi w tym żadnego problemu. Kiedy zapadł wyrok, powiedzieli

31

Aaliyah: „Nie martw się, gdy wyjdzie z więzienia, możecie wszyscy wrócić do Pakistanu, tam nikt nie zawraca sobie głowy ochroną praw dziecka”.

Niemal we wszystkich sprawach, którymi się zajmowaliśmy, policja odegrała znaczącą rolę - albo ją odegra. Tamtego dnia zadzwoniła również Abhir. Jest ofiarą wymuszonego małżeństwa. Kiedy jej ojciec się dowiedział, że córka spotyka się z białym chłopakiem, wysłał ją do Pakistanu i błyskawicznie znalazł jej męża, Azjatę. Bojąc się o swoje życie, Abhir nie oponowała; wyszła za męża, a potem zrobiła wszystko, żeby ściągnąć małżonka do Wielkiej Brytanii. Ale kiedy po przyjeździe do Anglii zaczął ją bić i znęcać się nad nią, nie wytrzymała. W nocy, kiedy wszyscy spali, zadzwoniła do swojego dawnego chłopaka. Ubłagała go, żeby przyjechał i ją zabrał.

Patrząc na to z perspektywy czasu, podejrzewa matkę, że podsłuchiła rozmowę. Albo jedną z sióstr, chociaż trudno w to uwierzyć. Tak czy owak, ktoś ją usłyszał. O umówionej porze chłopak podjechał samochodem. Zatrzymał się przy krawężniku na nie dłużej niż sześćdziesiąt sekund. Wybiegła z domu z plastikową torbą, w którą spakowała trochę rzeczy, i wsiadła do auta. Odjechali, a za nimi ruszył



wóz pełen jej wujków i braci.

Byli na moście, gdy wuj, kierowca drugiego samochodu, próbował ich zepchnąć z jezdni. Oskarżono go o usiłowanie zabójstwa.

-I dobrze się stało - podsumowałam swoją opowieść. - Ale mam do policji pretensję. Gdy Abhir złożyła zeznania, pożegnali się z nią, nie proponując żadnego wsparcia. A moim zdaniem powinni to zrobić.

Wiem, że Steve Allen był pod wrażeniem tego, co zobaczył w naszym biurze. Następnego dnia na konferencji powiedział:

- Wszyscy zainteresowani mogą się zapoznać z konspektem mojej prezentacji. Jestem pełen uznania dla Karmy Nirvany. Wczoraj przekonałem się na własne oczy, jak wiele robi dobrego. To, co dziś powiem, będzie więc płynąć prosto z serca.

I rzeczywiście, nie szczędził nam serdecznych słów.

Potrzebna nam tego rodzaju empatia na samych szczytach władzy.

Wciąż słyszę, jak policjanci z pieszych patroli, pracujący na pierwszej linii, powtarzają:

- Wiesz, jak to wygląda? Jakaś dziewczyna ucieka z domu albo pojawia się posiniaczona. Podejrzewamy, co się mogło wydarzyć, ale ciągle nam się wbija do głów: „Bądźcie wyczuleni na kwestie odmienności kulturowej, trzymajcie się z daleka od tego, czego nie rozumiecie. Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to kolejne oskarżenie o rasizm”.

4

Na początku tamtego lata Gordon Riches, który był moim opie-

kunem naukowym, kiedy studiowałam na Derby University, przyszedł do Karmy Nirvany i próbował mnie nakłonić do napisania pracy doktorskiej o przemocy w imię obrony honoru rodziny. Przeczytał o naszej działalności w miejscowej gazecie i pomyślał, iż kwestie te wymagają dokładniejszego zbadania. Zbył machnięciem ręki moje obiekcje, że nie jestem naukowcem, że mnie onieśmiela akademicki żargon, konieczność tworzenia teorii, przeprowadzania analiz, nawet sami ludzie.

- Uwierz w siebie - przekonywał. - Znasz się na tym. Jak sobie radzą kobiety, które miały do czynienia z tego rodzaju przemocą? Jak ty broniłaś swojej godności? Jaka obrałaś strategię w walce z trudnościami? Kiedy twoja rodzina wyrzekła się ciebie, dlaczego nie opuściłaś bezradnie rąk i nie czekałaś na śmierć? Słuchaj, Jas, jeśli udało ci się znaleźć odpowiedzi na te pytania, mogą z tego skorzystać setki kobiet. Wiesz, że nie będzie to sztuka dla sztuki. Potrzebne nam są te informacje.

Gordon zbyt dobrze mnie rozumie: często opisywałam kobiety, które wycierpiały więcej od innych, nazywałam je „chodzącymi trupami”, spędziłam wiele godzin, nakłaniając je, często na próżno, żeby znów zaczęły żyć. Nie wiem, co je różni od tych, które potrafią się otrząsnąć i znowu wieść satysfakcjonujące życie, ale często sama zadawałam sobie to pytanie, a teraz namawiano mnie, bym znalazła na nie odpowiedź. Powiedziałam Gordonowi, że zastanowię się nad jego propozycją, ale mówiąc to, sama nie wierzyłam, że ja, która przerwałam naukę w szkole, teraz mam rozważyć napisanie pracy doktorskiej. W prze-

szłości wykształcenie zawsze było dla mnie środkiem do osiągnięcia jakiegoś celu: kiedy stosunki z moim drugim mężem, ojcem Marii i Joshuy, stały się nie do zniesienia, wiedziałam, że muszę podnieść kwalifikacje, by móc samodzielnie utrzymać dzieci. Zdałam maturę, potem zrobiłam licencjat, by zarobić na przyzwoite życie. Pomysł, żeby studiować coś tylko dlatego, że mnie to interesuje, nigdy mi nawet nie przyszedł do głowy, chociaż taka perspektywa była pociągająca. Mój opiekun naukowy podpowiedział, że powinnam przedstawić konspekt, co będzie wymagać spędzenia kilku godzin w bibliotece uniwersyteckiej, żeby się przekonać, jakie badania dotyczące tego zagadnienia już przeprowadzono, a potem zdecydować, co mogłabym do tego dorzucić. Najłatwiej było mi wygospodarować trochę czasu po odprowadzeniu dzieci do szkoły, a przed pójściem do Karmy Nirvany: o tak wczesnej porze zwykle miałam całą bibliotekę do swojej dyspozycji. Przez pół godziny szperałam na półkach w poszukiwaniu czegoś na interesujący mnie temat, a potem wychodziłam z torbą wyładowaną książkami. Starłam się przychodzić do biura, zanim zaczynał dzwonić telefon, i jeśli ruch nie był zbyt duży, zwykle mi się udawało.

Przeważnie zastawałam już Shazię przy biurku, odsłuchującą pozostawione wiadomości. Na mój widok przerywała pracę, by powiedzieć mi, co nowego.

- Już jest tyle spraw, że będzie co robić przez cały dzień. Trzy, nie... Cztery prośby o prelekcje, poproszę Annę, żeby oddzwoniła do zainteresowanych instytucji. Dwie osoby potrzebują schronienia.

Ja to załatwię. Madeleine z wydziału opieki społecznej chce porozmawiać o piętnastolatce w piątym miesiącu ciąży, której rodzice nie pozwalają korzystać z opieki medycznej. Chcesz się tym zająć? Zapisałam jej numer na karteczce. Proszę, jest tutaj.

Sięgając po karteczkę, uśmiechnęłam się, kiedy sobie przypomniałam, jak wyglądała Shazia, kiedy ją zobaczyłam pierwszy raz: zgarbiona, w żółtej czapce nasuniętej tak głęboko na czoło, że spod daszka widać było tylko brodę. Jedyne, co udało się zobaczyć, to właśnie brodę i warkocze, bo bawiła się włosami.

Poznałam Shazię, kiedy mieszkała w schronisku w Stoke-on-Trent.

Kierowałam wtedy schroniskami, a ona złożyła skargę. Udałam się tam pod koniec dnia, żeby jej wysłuchać. Potem zamierzałam pojechać do domu. Pamiętam, że spojrzałam na zegarek, otwierając drzwi, i pomyślałam: To nie powinno zająć zbyt dużo czasu. Przy odrobinie szczęścia do szóstej zdążę przygotować dla dzieci kolację.

Zastałam Shazię w kuchni, siedziała przy stole; przypuszczałam, że to ona - ukryła twarz pod czapką.

- Shazia? - Niemal niedostrzegalnie skinęła głową. - Zaparzę herbatę. Napijesz się?

Nie pamiętam, ile upłynęło czasu, nim uniosła wzrok i na mnie spojrzała. Zdążyłam opowiedzieć jej swoją historię, mając nadzieję, że mnie słucha i moje przeżycia poruszą w niej jakąś strunę. Nie pamiętam, co ją rozśmieszyło ani co takiego powiedziała, że poczułam łzy pod powiekami. Ale pamiętam, że kiedy wstałam, by zaciągnąć

zasłonki w niebieską kratkę, szyby były zaparowane od gotujących się potraw, a księżyc wisiał wysoko na niebie. Tamtego wieczoru Shazia przyrządziła dla mnie jakieś azjatyckie potrawy. Wciąż ją widzę, jak stoi przy kuchni i miesza dahl, unosi łyżkę do ust, próbuje, a po chwili zwraca się do mnie: „Chyba w porządku, chce pani spróbować?”.

A potem, roześmiana od ucha do ucha: „Czułam się samotna. Nie wie pani, jak to przyjemnie móc z kimś zjeść”.

Dochodziła druga w nocy, kiedy opuszczałam schronisko.

Shazia mówi teraz, że od razu nabrała do mnie zaufania. Wtedy już od sześciu lat mieszkała w schronisku i przez cały ten czas nikomu nie mówiła o tym, co ją spotkało. Zupełnie jakby czekała, żeby opowiedzieć mi o sobie. Siedziała przy sosnowym stole i kiedy mówiła, urywanym głosem, a właściwie wyrzucała z siebie słowa, mocno zaciskała dłonie. Straszne wspomnienia nie dawały jej spokoju, sama nie potrafiła się z nimi uporać i pomyśleć o normalnym życiu.

A jakiego sensu mogła się dopatrzeć w życiu, które okrutnie się z nią obeszło, jeszcze zanim zmuszono ją do małżeństwa? W dzieciń-

37

stwie znęcano się nad nią i była wykorzystywana seksualnie. Chyba jestem jedyną osobą, której o tym opowiedziała. Potem doszła strata: jej najlepsza przyjaciółka miała czternaście lat, kiedy zamordował ją własny ojciec.

Shazia opowiedziała o ich ostatnim spotkaniu. Nauczyciele mieli tego dnia szkolenie. W czasie wolnym od zajęć ona i Sarnina postanowiły pójść do parku. Bujały się na huśtawkach, rozkoszując

wiosennym słońcem. Były tak pochłonięte rozmową - wyobrażały sobie, że są na plaży w jakimś dalekim, egzotycznym kraju - że nie usłyszały, jak ojciec Sarniny podszedł do nich od tyłu.

Shazia zorientowała się dopiero wtedy, gdy usłyszała krzyk Sarniny.

Deska, pchnięta gwałtownie, uderzyła jej przyjaciółkę w lewą nogę pod kolanem, kiedy ojciec ściągnął ją z huśtawki. „Złapał ją za włosy i krzyczał, że wagaruje. Ja też krzyczałam, próbowałam wytłumaczyć, że mamy wolny dzień, że nie musimy dziś być w szkole, że to jak święto. Ale nie słuchał, może nie był w stanie usłyszeć, ze złością popchnął ją przed sobą.

O tym, co się wydarzyło następnego dnia, pisały wszystkie gazety.

Oto notatka, zamieszczona w „Mail on Sunday”:

Mohammed Riaz, lat 41, zastrzelił czternastoletnią Sarninę z pistoletu colt 45, na który nie miał zezwolenia, a następnie swoją żonę i drugą córkę, nim popełnił samobójstwo. W domu często dochodziło do awantur o postępy córek w nauce. Policja przypuszcza, że bezrobotny ojciec wiązał duże nadzieje z dziećmi. Kłótnia przerodziła się w krwawą łaźnię.

Kilka dni po tragicznej śmierci Sarniny Shazia poszła pod dom przyjaciółki, sprawdziła, czy nikt nie patrzy, a potem ukradkiem prześlizgnęła się pod fluorescencyjną policyjną taśmą. Mówi, iż wiedziała, że nie powinna tego robić, bardzo się wstydziła, ale musiała na własne oczy zobaczyć, co się stało. Było jej trudno uwierzyć, że coś tak okropnego może być prawdą... Póki nie znalazła się w środku. Powiedziała, że w zimnym i cichym domu nie było najmniejszego śladu Sarniny i jej rodziny. Poczula się jak

w kostnicy. Otworzyła szuflady z ubraniami przyjaciółki i wyjęła jej rozpinany sweter.

38

- Przypuszczam, że była to kradzież, ale musiałam mieć coś na pamięć po niej. Powiedziałam sobie, że nikt się o tym nie dowie.

\*

Rok później rodzice Shazi zabrali ją ze szkoły i trzymali w domu, żeby była gotowa do planowanego już małżeństwa. Lekarz rodzinny, Azjata, wypisywał jej jedno zwolnienie po drugim, by usprawiedliwić nieobecność w szkole, chociaż ani razu jej nie zbadał.

- Doskonale zdawałam sobie sprawę, na co się zanosi, ale wciąż miałam nadzieję, że ktoś, nauczyciel albo pracownik opieki społecznej, przyjdzie do mojego domu, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje. Nie mogłam uwierzyć, że wszyscy o mnie zapomnieli, ale po paru miesiącach musiałam się pogodzić z tym, że tak jest. Nie przejmowali się moim losem. Czułam się bezradna i opuszczona.

Miała siedemnaście lat, kiedy rodzice wyjechali z nią do Pakistanu i zmusili do małżeństwa z człowiekiem, którego poznała dopiero w dniu ślubu. Błagała, żeby nie kazali jej tam zostać, ale na próżno: „Potrzeba czasu, żeby wasze małżeństwo okrzepło” - oświadczyli i zabrali jej paszport, żeby nie mogła uciec. Shazia się nie poddała i nie zrezygnowała z decydowania o swoim życiu. Zawarła układ z mężem: obiecała mu, że jeśli nie zmusi jej do skonsumowania małżeństwa, wypełni dokumenty umożliwiające mu wyjazd do Anglii.

- Nie miał nic przeciwko temu. Nie ukrywał, że jedyne, na czym

mu zależy, to paszport.

Po powrocie do Birmingham wywiązała się ze swojej części umowy, ale napisała również do ambasady brytyjskiej, przedstawiając swoją sytuację. Wysłała siedem listów, mając nadzieję, że mąż nie otrzyma wizy. Podała adres przyjaciółki, żeby rodzice nie przechwycili odpowiedzi na listy, jednak nie doczekała się żadnej reakcji ze strony władz. Po trzech tygodniach, gdy małżonek przyjechał do Anglii - czuł się już pewnie i prawem męża domagał współżycia - postanowiła od niego odejść. Zadzwoiła na policję i poprosiła, żeby ją zabrano z rodzinnego domu. Wcześniej spakowała ukradkiem rzeczy osobiste. Kiedy przyjechała policja, matka zawodziła i krzyczała, ojciec się wydzierał, stojąc koło samochodu policyjnego. Nie wzięła ze sobą toreb z rzeczami.

39

- Nie zabrałam ze sobą prawie nic, ale miałam sweter Sarniny.

Włożyłam go na siebie.

Pierwszych kilka dni spędziła w pensjonacie socjalnym zaledwie dziesięć minut drogi od domu rodzinnego; nie miała pieniędzy, by wyjechać gdzieś dalej, zresztą i tak nie wiedziała, dokąd mogłaby się udać. Odstawiwszy ją w bezpieczne miejsce, policja uznała, że zrobiła wszystko, co do niej należy; nie zaproponowali żadnej pomocy.

- Siedziałam w pokoju i mówiłam do swoich bliskich, jakby byli obok mnie, bo wtedy nie czułam się taka samotna. Wiem, że wydaje się to nienormalne, ale chociaż tak bardzo mnie skrzywdzili, tęskniłam za nimi. Nie byłam przyzwyczajona do samotności, czułam się



zupełnie pusta w środku.

Przeprowadziła się gdzie indziej, kiedy ojciec ją odnalazł.

- Przypuszczam, że wykorzystał mój numer ubezpieczenia. Wiem, że miał kolegę w biurze pośrednictwa pracy.

Od tamtej pory stale się przeprowadzała, aż ją spotkałam w Stoke-on-Trent. Była jakby w stanie zawieszenia między okropieństwami dawnego życia a nowym, którego pragnęła, ale nie potrafiła sobie zorganizować. Mijały dni, a ona, straciwszy wszelką nadzieję, chodziła bez celu ulicami, mijając ludzi, którzy dokądś zmierzali, oglądała bezmyślnie telewizję, siedząc samiuteńka w pokoju.

- Chodzi o to, Jasvinder, że pragnę coś osiągnąć. Tylko o tym myślę. Zrezygnowałam z wszystkiego i nie chcę, żeby to poszło na marne.

Marzę, żeby pomagać ludziom, jak ty to robisz.

- Będziesz im pomagać - oświadczyłam. I nie była to obietnica bez pokrycia. Wiedziałam, że Shazia może z pożytkiem wykorzystać swoje doświadczenia życiowe.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Jak możesz mówić coś takiego? Spójrz na mnie. Mieszkam w schronisku. Nie mam żadnych kwalifikacji...

- Shazia, jeśli wierzysz w siebie, dopniesz swego. Będziesz pomagała ludziom, i będziesz to robić ze mną.

\*

To było trzy lata temu; dwanaście miesięcy później Shazia zaczęła pracować ze mną w Karmie Nirvanie. Jest niezastąpiona. Obserwuję

ją, jak wspiera zagubione kobiety, wprost bije od niej optymizm. Jest pełna życia i otwarta na innych, potrafi współczuć. Te cechy zawsze w niej były, ale potrzebowała kogoś, kto pomógłby je wydobyć, kogoś, kto by ją pokochał. Bo kocham ją. Choć tyle przeszła, nigdy nie straciła ducha i za to ją podziwiam.

Nigdy nie zapomnę, kiedy pierwszy raz wystąpiła razem ze mną na konferencji. Trzęsa się jak osika, wciąż miała na głowie tę swoją żółtą czapkę - nie wiem, ile miesięcy ją przekonywałam, żeby przestała ją nosić - ale spojrzała na obecnych i opanowała treść.

- Nazywam się Shazia. Jestem ofiarą wymuszonego małżeństwa, ale się nie poddałam. Kiedy miałam siedemnaście lat, rodzice zabrali mnie do Pakistanu. Powiedzieli, że jedziemy na wakacje, a po dwóch tygodniach oświadczyli, że wydadzą mnie za męża... - Urwała.

Pamiętam panikę w jej oczach, gdy spojrzała na mnie i spytała bezgłośnie: „Przejmiesz teraz pałeczkę?”. I rumieńce zadowolenia na jej policzkach, kiedy usiadła, a obecni wstali i nagrodzili ją oklaskami. To było zaledwie osiemnaście miesięcy temu. Teraz wszyscy żartujemy, że nie możemy jej skłonić do milczenia!

Traktuję Shazię jak własne dziecko, ona i moja najstarsza córka Lisa są nierozłączne. Prawdę mówiąc, adoptowałabym ją, gdybym mogła, ale przecież ma swoją rodzinę. Nie widzieli się od dziewięciu lat. Kiedy tamtego dnia wyszła z domu, jej mama oświadczyła, że u nich nie ma już czego szukać. Najbardziej tęskni za młodszym braciszkiem. Ma teraz trzynaście lat, wkroczył w wiek dojrzewania. Dorastał w przekonaniu, że Shazia zginęła

w wypadku samochodowym przed laty. Jak matka może dopuszczać się takiego kłamstwa?

Gdy Shazia pokazała twarz w telewizji - to było dla niej wielkie wydarzenie, od miesięcy rozmawiała z dziennikarzami, ale wcześniej nigdy nie pokazała twarzy - zadzwoniła jej matka: „Jak śmiesz?

Wstydu nie masz? Nie obchodzi cię, że wyrządzasz krzywdę swojej rodzinie?”. Wtedy po raz pierwszy od lat rozmawiały ze sobą, ale Shazia nie dała się zastraszyć. Stałam obok niej i widziałam, jak się wyprostowała, zadarła hardo brodę i rzuciła do słuchawki:

- Chcesz powiedzieć, mammo, że kłamię? Że nie zrobiliście mnie krzywdy? Naprawdę możesz temu zaprzeczyć?

41

Bez zmrużenia oka wybroniła się. Dla mnie był to ostateczny dowód, że Shazia poradzi sobie w życiu.

\*

Obszerny dokument przysłali do naszego biura jacyś adwokaci z Liverpoolu. Poprosili mnie, żebym wystąpiła w roli „rzeczoznawcy w kwestiach kultury" w sprawie o przyznanie opieki nad dwójką dzieci, odebranych rodzicom. Dokument miał ponad sto stron i odkąd Anna położyła go na moim biurku, starałam się znaleźć czas na przeczytanie. Któregoś dnia o piątej po południu, kiedy wyłączyliśmy telefony, obiecałam sobie, że przed pójściem do domu przeczytam przynajmniej jedną trzecią. Gdy jednak dotarłam do dziesiątej strony, wiedziałam, że przeczytam do końca. Ta historia tak mnie wciągnęła, że kompletnie straciłam rachubę czasu.

Kobieta, której odebrano dzieci, miała na imię Fatima. Jedyna dziewczynka wśród trzech braci, urodziła się i wychowywała w Liverpoolu, gdzie z całą rodziną żyła pośród samych Azjatów, w większości muzułmanów, mocno ze sobą związanych, bo wszyscy mieszkali przy jednej ulicy i, o ile to było możliwe, znajdowali sobie małżonków wśród krewnych. To bardzo typowe zjawisko, z którym często się stykam w swojej działalności.

Kilka lat temu Fatima poślubiła mężczyznę z Pakistanu - z pewnością to było zaaranżowane małżeństwo, jeśli nie wymuszone - i ściągnęła go do Anglii; miał na imię Rafik i był kilka lat od niej starszy. W ich małżeństwie zaczęło się źle dziać, kiedy uciekła żona najmłodszego brata Fatimy, zabierając ze sobą małą córeczkę. Z dokumentu dowiedziałam się tylko imienia kobiety, Jamilah, innych informacji nie podano. Przypuszczam, iż uciekła dlatego, że była tyranizowana i wykorzystywana.

Nie wnikając w powody ucieczki, jedno jest pewne: mąż Jamilah oraz jego bracia byli wściekli, oburzeni jej niezależnością i brakiem szacunku. Kiedy poinformowała, że nie zamierza wrócić, postanowili ją odnaleźć. Szukali przez sześć miesięcy, przeczesując Liverpool, a potem sąsiednie miasta. Nie wątpię, że mieli wśród Azjatów chętnych pomocników o bystrym wzroku i dobrym słuchu, ale zabrakło im szczęścia. Zrezygnowali z poszukiwań, ale się nie poddali.

Nawet teraz, kiedy o tym piszę, trudno mi uwierzyć w to, co się później wydarzyło. Też jestem matką i wydaje mi się czymś niewyobrażalnym, że Fatima zrobiła to, co zrobiła, ale wszystko jest wypisane

czarno na białym. I nigdy temu nie zaprzeczyła.

Pewnego wieczoru późną wiosną, koło godziny szóstej, Fatima wykręciła numer 999. Powiedziała, że w jej kuchni wybuchł pożar, a dzieci porwano. Natychmiast powiadomiono odpowiednie służby, które kilka minut później pojawiły się w domu-bliźniaku, zamieszkanym przez Fatimę. Kobieta była w ogródku, załamywała ręce i trajkotała coś o jakiejś Jamilah, swojej bratowej, która, jak oświadczyła, wznieciła pożar i porwała jej dzieci. „Pokłóciła się z moją rodziną i w taki sposób się zemściła” - mówiła z płaczem Fatima.

Strażacy ugasili pożar, który zdążył przed ich przybyciem strawić kuchnię i objął schody, a policjanci uznali opowieść Fatimy za mało wiarygodną. Utwierdzili się w tym przekonaniu, kiedy dokładnie im powiedziała, dokąd należy się udać, żeby odszukać dzieci: „Zdaje mi się, że ruszyła w tamtą stronę... Przypuszczam, że wsiadła do autobusu numer jedenaście...”. Znalaziono jej pięcioletniego syna i czteroletnią córkę przycupniętych na poboczu trasy wylotowej z Liverpoolu. Tuliły się do siebie, brudne i zapłakane.

Ten obraz mocno utkwiał mi w pamięci. Nim wyszłam z biura, zdążył zapaść zmrok. Po drodze patrzyłam na mijane domy. W niektórych zaciągnięto zasłony, ale przez okna innych na chodnik wylewało się złote światło żarówek, symbolizujące w moim odczuciu ciepło i poczucie bezpieczeństwa, jakie powinien zapewniać dom. Dlaczego jakakolwiek kobieta zechciałaby to zniszczyć? Jakie wynaturzone uczucia mogły skłonić matkę do narażenia własnych dzieci na niebezpieczeństwo?

W wyobraźni widzę te dzieci, szkraby, które robią to, o co ich

prosi mamusia, czekają tam, gdzie je zostawiła, ufając, że wkrótce wróci, bo przecież obiecała. Aż się zdrygnęłam na myśl o przejeżdżających z hukiem samochodach. Pragnęłam mocno przytulić swoje dzieci. Decydując się na taki czyn, Fatima postąpiła wbrew instynktowi macierzyńskiemu, nakazującemu, by zawsze, w każdych okolicznościach, chronić dziecko.

Jeśli mam być szczerą, po przeczytaniu raportu, kiedy starannie ułożyłam kartki na biurku, nie rozumiałam, o czym tu można rozmawiać. W pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do adwokatów i powiedzieć: „Nie pozwólcie jej się zbliżyć do dzieci. To osoba niepo czytalna. Każda inna kobieta będzie dla nich lepszą matką od niej”. Kiedy jednak jadąc do domu, przekroczyłam granice Derby i znalazłam się w wiosce, w której mieszkam, nieco łagodniej zaczęłam ją oceniać. Fatima nie zwariowała - przynajmniej nikt tak nie uważał. Jej opowieść o Jamilah okazała się wyssana z palca, kiedy obejrzano zapisy z kamer przemysłowych w schronisku w czasie, kiedy w domu Fatimy wybuchł pożar. Poza tym zapamiętali ją dwaj kierowcy autobusów numer jedenaście. „Z całą pewnością była z dwójką dzieci, trzymała je za rączki” - powiedział ten, który widział, jak wysiadała na przystanku w pobliżu drogi A. „Nie, przysięgam, że była sama” - twierdził kierowca autobusu, do którego wsiadła dwadzieścia minut później. Dowiedziono, że Fatima kłamie, ale to, że ktoś kłamie, jeszcze nie znaczy, iż zwariował. I w raporcie nie było nic, co mogłoby sugerować, że w przeszłości nie była kochającą, odpowiedzialną matką.

\*

Zaparkowałam przed domem, za którym rozciągają się pola, wiele kilometrów od części Derby zamieszkaną przez Azjatów, gdzie przeżyłam tyle lat, czując się cały czas obserwowana i oceniana. Przeprowadzka to najlepsze, co zrobiłam w życiu, chociaż wciąż trudno mi uwierzyć, że sama kupiłam ten dom i stworzyłam w nim gniazdko dla swojej rodziny. Maria, teraz uczennica drugiej klasy liceum, krzyknęła „cześć” z dużego pokoju, w którym oglądała telewizję z młodszym bratem, Joshua. „Mamusiu, odrobiłam lekcje, Lisa jest w domu. Odebrała nas ze szkoły i teraz krząta się w kuchni”. Poczulałam smakowite zapachy i uśmiechnęłam się. Kiedy Lisa była malutka, marzyłam, żeby w przyszłości poszła na uniwersytet. Gdy postanowiła studiować prawo, rozpierała mnie duma. Zawsze sobie obiecywałam, że nie będę typową azjatycką matką, zapędzającą córki do prac domowych, żeby łatwiej znalazły sobie męża, ale w tamtej chwili, głodna i zmęczona, naprawdę się cieszyłam, że Lisa postanowiła nauczyć się gotować.

5

Jasvinder? - usłyszałam czyjś szept w telefonie komórkowym. -

I To ty, Jasvinder?

Była sobota, wybrałam się do parku z Marią i Joshua. Pojechali przodem na rowerach, kiedy przystanęłam, próbując zrozumieć, co mówi kobieta.

- Mogłabyś mówić głośniej? - Próbowałam przekrzyknąć dzieci, które huśtały się tuż za mną na huśtawkach.

- Znalazłam twój numer w czasopiśmie „Marie Claire”. Ja... - Nag-

le w słuchawce zapadła cisza, ale po paru sekundach usłyszałam:

- Przepraszam, musiałam się rozłączyć, bo wydawało mi się, że mama wchodzi po schodach. Może tu zajrzeć w każdej chwili, więc będę się streszczać. Siedzę zamknięta na klucz w domu rodziców w Bournemouth. Chcą, żebym poślubiła mojego kuzyna. Nawet go nie znam, ale nie zwracają uwagi na moje protesty. Od dwóch lat jestem więźniem we własnym domu. Muszę się jakoś stąd wydostać. Dłużej tego nie zniosę. - Urwała, by zaczerpnąć tchu. - Potrzebna mi pomoc.

Nie miałam pojęcia, kto dzwoni, ale gdy tylko usłyszałam, że moja rozmówczyni jest zamknięta w domu, wiedziałam, że muszę ją ratować. Mignęły mi przed oczami zmasakrowane zwłoki Heshu Yones. Dziewczyna sprawiała wrażenie zdesperowanej; jeśli była na łasce rodziny, w każdej chwili groziło jej niebezpieczeństwo.

- Zostajesz czasem sama w domu? - zapytałam szybko. - Udałoby ci się wyjść? Jeśli tak, jest wiele osób, które mogą ci pomóc.

Starałam się przypomnieć sobie, w którym schronisku znalazłoby się dla niej miejsce. Stałam bez ruchu, bojąc się, że mogę stracić zasięg, jeśli pójdę dalej, a jednocześnie pamiętałam, że Maria i Joshua odjechali na rowerach. Chciałam, żeby się zatrzymali. Kiedy córka się obejrzała, by sprawdzić, czy jestem w zasięgu wzroku, dałam jej znak ręką, żeby zawrócili.

- Nie wiem - powiedziała dziewczyna cicho, ale nagłym tonem.

Sprawiała wrażenie osoby wykształconej, może nawet pochodzącej z wyższych sfer. - Przy wszystkich drzwiach są klódki, ojczym posunął się nawet do zabezpieczenia muru wokół ogrodu drutem kolczastym.



Nie wiem, czy uda mi się wydostać z domu. A nawet jeśli mi się udało, dokąd miałabym pójść?

Z własnego doświadczenia wiedziałam, że jeśli dziewczyna postanowi uciec, zwykle znajduje jakiś sposób, żeby dopiąć swego. Nie mogłam zwlekać. Ta młoda kobieta znajdowała się setki kilometrów ode mnie, ale była zdesperowana i musiałam jej dodać otuchy.

- Można ci pomóc. Są schroniska, ludzie gotowi udzielić wsparcia. Ja ci pomogę. Uwierz mi, będzie dobrze.

- Ale jak... Chwileczkę, to mama. Idzie tu. Muszę kończyć. - Rozłączyła się.

Stałam dłuższą chwilę, mając nadzieję, że znów zadzwoni, lecz nie zadzwoniła. Serce przestało mi walić, ale byłam niespokojna, nie mogłam sobie znaleźć miejsca i nie potrafiłam o niej zapomnieć. Staralam się zająć swoimi sprawami. Gotowałam posiłek, kiedy moja komórka zadzwoniła. Słyszałam tylko sapanie, ale kiedy ściszyłam radio, rozpoznałam miarowe odgłosy kroków. A potem ten głos; dziewczyna mówiła poprawnie po angielsku nawet mimo stresu.

- To ja, Kiren... Zrobiłam... Jasvinder... uciekłam... z domu.

- Kiren? Dziewczyna z Bournemouth? Uciekłaś? Nie spodziewałam się... Jak ci się to udało?

- Znalazłam... klucze... W kieszeni ubrania ojczyma... Rodzice są w mieście. Proszę... Na litość boską... Powiedz mi... co... mam... teraz zrobić.

- Gdzie jesteś?

- W przejściu podziemnym dla pieszych... Zaczekaj... Muszę...

Przystanąć. - Przez całą minutę słyszałam jedynie ciężki oddech. - Już mi lepiej. Odzyskałam dech. Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Nie miałam odwagi się zatrzymać, póki nie minęłam domów sąsiadów. Nie sądzę, żeby tutaj ktokolwiek mnie znał.

- Kiren... - Przytrzymałam telefon ramieniem, myjąc rękę.

- Musisz zadzwonić na policję. Wykręć 999...

- Wykluczone. Nie chcę mieszać w to policji. Nie zrobiłam nic złego.

- Właśnie o to chodzi, Kiren. Nie zrobiłaś nic złego i policja powinna ci udzielić pomocy. Zaufaj mi, wykręć 999.

\*

Kiedy znów zadzwoniła, niespełna pół godziny później, była bliska hysterii.

- Chcą mnie odstawić do domu. Nie wierzą w to, co mówię. Nie chcą uwierzyć, że muszę wyjść za mąż i ojczym mnie bije. Powtarzają, że to zwykła rodzinna sprzeczka, że dużo młodych dziewcząt kłóci się z rodzicami i że najlepiej, jeśli wrócę do domu i wszystko się wyjaśni. Nie mogę tego zrobić! - Głos jej się załamał, słyszałam, jak głośno chwyta powietrze, starając się opanować. - Nie pozwól im odwieźć mnie do domu, Jasvinder. Powiedziałaś, że mi pomogą. Ojczym mnie zabije. Wiem, że to robi. Powiedział, że jeśli spróbuję uciec, to mnie zabije i ukryje zwłoki w takim miejscu, że nikt nigdy ich nie znajdzie. Nie chcą mi uwierzyć. Musisz mi pomóc, Jasvinder. Błagam.

- Dobrze. W porządku. Spróbuj się uspokoić. - Wzięłam głąbo-

ki oddech. - Wiem, co zrobić. Zadzwoń do swojego przyjaciela. Pracuje w stołecznej policji. Jest w Londynie. Spytam, czy może ci pomóc. Zostań tam, gdzie jesteś. Nie pozwól im zawieźć się do domu. Chcesz, żebym porozmawiała z którymś z nich? Nie? W porządku. Nie rozłączaj się.

Zadzwołam do Brenta Hyatta. Natychmiast odebrał. Ilu znacie policjantów, którzy odbierają telefon w sobotnie popołudnie, kiedy nie są na służbie? Zwięźle przedstawiłam mu sytuację i spytałam, czy może pomóc. Bez chwili wahania powiedział, że tak.

Kiren dużo zawdzięcza Brentowi, sama to przyznała. Dzięki niemu powołano centrum koordynacyjne i wysłuchano zeznań Kiren. Nakazał, żeby jeden z policjantów odwiózł dziewczynę do Londynu, na dworzec Victoria, gdzie on ją odbierze. Zapewnił, że znajdzie dla niej jakieś lokum na tę noc, a potem postaramy się umieścić ją gdzieś na stałe. Tamtego wieczoru zawiózł ją do małego hoteliku, niedrogiego, ale czystego i, co najważniejsze, bezpiecznego. Zaczekał, aż się zameldowała, a potem poszedł i kupił dla niej kilka podstawowych rzeczy: pastę do zębów, przybory toaletowe, kebab z kurczaka. Widzę go, jak biega po jakimś sklepie: szczoteczka do zębów, krem do twarzy, dezodorant. Bardzo praktyczny człowiek z tego Brenta.

Wyobrażam sobie ją w tamtej chwili. Siedzi sama w hotelowym pokoju, starając się nie wdychać tego zimnego, lekko mdlącego zapachu nieznanomych. Wyteża słuch, łowiąc wszelkie odgłosy, może trzaśnięcia drzwiami, strzępki rozmowy na korytarzu, drobne dowody, że nie jest sama w przytłaczającej ciszy. Założę się,

że włączyła telewizor. Ja bym to zrobiła. Cokolwiek, by stworzyć wrażenie, że nie jest sama w tym świecie, który właśnie sobie stworzyła.

Następnego ranka Brent zabrał ją na dworzec autobusowy, pożyczyl sześćdziesiąt funtów i wsadził do autobusu do Doncaster, gdzie znalazłam dla niej miejsce w schronisku. Pomachał jej na do widzenia, a potem, kiedy zniknęła mu z oczu, zadzwonił do mnie.

- To było straszne, Jas. Nie odezwała się ani słowem i była blada jak prześcieradło. Kiedy znalazła swoje miejsce w autobusie, usiadła, przycisnęła czoło do szyby i wpatrywała się w przestrzeń, a łzy płynęły jej po policzkach. Czułem się tak, jakbym ją samotnie wysyłał na koniec świata. Będzie potrzebować dużo wsparcia.

\*

Dziesięć dni później zobaczyłam ją po raz pierwszy. Umówiliśmy się na dworcu autobusowym w Doncaster. Była burzowa pogoda, niebo szare i ponure. Ludzie chodzili zgarbieni, ze spuszczoneymi głowami, jakby przygniatały ich chmury. Zobaczyłam kobietę idącą chwiejnym krokiem wzdłuż krawężnika w moją stronę. Musiałam użyć tych słów, „idącą chwiejnym krokiem”, bo nie można tego inaczej określić. Bałam się, że straci równowagę i przewróci się w wysokich botkach z jaskrawoczerwonego plastiku i na najwyższych obcasach, jakie kiedykolwiek widziałam.

Zobaczyła mnie, uśmiechnęła się, a potem mi pomachała.

48

W pierwszej chwili pomyślałam sobie: Niemożliwe, żeby to była

Kiren. Zaledwie dwa dni temu zadzwoniła do mnie i zapytała, jak się kupuje džinsy. „W jakim sklepie? Jaki rozmiar? Jaki fason?”.

Dwa tygodnie temu na pewno nie miała na sobie džinsów ani takich dziwaczných butów.

- Jasvinder?

- Tak. - Teraz, kiedy była blisko, zobaczyłam, że ma na twarzy dwucentymetrową warstwę makijażu.

- Pomyślałam, że to musisz być ty. - Oparła się o latarnię. - Przepraszam za spóźnienie. Nikt mi nie powiedział, że trudno się chodzi w butach na wysokim obcasie. Straszne, ale bardzo mi się podoba. Nigdy nie chodziłam w wysokich botkach, bo mi nie było wolno. Poszliśmy do najbliższej kawiarni, niespełna pięćdziesiąt metrów dalej, ale nawet pokonując tę małą odległość, chwiała się i musiała ucześcić mojego ramienia. Co chwila wybuchałyśmy śmiechem, dobrze nam się gadało, jakbyśmy się znały od lat. Ale kiedy kelnerka przyjęła od nas zamówienie - dwie kawy, dwie bułeczki z rodzynkami - Kiren nagle spoważniała.

- Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna, Jas - powiedziała. - Gdyby nie ty, nie przeżyłabym tych paru ostatnich dni. Cóż to była za ulga móc do kogoś zadzwonić.

- Jak jest w schronisku? - zapytałam.

- W porządku. To nie schronisko dla Azjatów. Dlatego je wybrałaś? Cieszę się, bo nie chciałam trafić do schroniska dla Azjatów. Współlokatorki są przeurocze, zaopiekowały się mną, z kilkoma nawet się zaprzyjaźniłam. Przyrządziłam dla nich azjatyckie potrawy,

było rodzinie. - Do radosnego tonu głosu zupełnie nie pasowało spojrzenie jej oczu. Wyglądała na zmęczoną i przestraszoną.

-A jaka jest twoja rodzina? - Nic o niej nie wiedziałam. Odkąd uciekła z domu rodziców, rozmawialiśmy tylko o praktycznych stronach tego, jak ma się urządzić w nowym życiu. Teraz opowiedziała mi ze szczegółami, przed czym uciekła.

- Mam starszego brata, studiuje na uniwersytecie w Exeter.

I młodszą siostrzyczkę. Poza tym jest mama i ojczym. Mój tata zmarł na udar, kiedy miałam sześć lat, wkrótce potem mama ponownie wyszła za mąż. On przyjechał z Pakistanu, teraz żyje z pieniędzy

49

mojego taty. Sam potrafi jedynie prowadzić samochód. Pewnego dnia wróciłam ze szkoły do domu i zastałam go na górze. Spytałam: „Co pan tu robi?”.

Od samego początku nie mieli dobrych relacji. Kiedy pierwszy raz powiedział jej, żeby coś zrobiła, Kiren, która wciąż opłakiwała tatę i była zszokowana obecnością nieznanego mężczyzny w domu i, co gorsza, w łóżku mamy, odmówiła.

- Dlaczego? Nie możesz mi nic kazać. Nie jesteś moim tatą.

Uderzył ją. A gdy raz udowodnił, że racja jest po stronie silniejszego, zaczęło się. Najpierw kazał jej nosić azjatyckie stroje; jeśli nie w szkole, to zaraz po powrocie do domu. Potem chodzenie do meczetu. Wkrótce mama Kiren włożyła hidżab.

- Zawsze nam mówił, jakie powinnyśmy być. Chodziłam do chrześcijańskiej szkoły, były w niej tylko trzy Azjatki, ale powiedział: „Nie

słuchaj nauczycieli. Nie rozumieją nas. My, muzułmanie, jesteśmy inni". A ja nie chciałam być inna. Nie chciałam siedzieć zamknięta w czterech ścianach, w domu, tylko gotować i sprzątać.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić Kiren w roli kury domowej. Gdy siedziałam naprzeciwko niej tamtego ranka w kawiarni, trudno mi było uwierzyć, że w ogóle jest Azjatka, w tych śmiesznych, wysokich botkach, w džinsach, z rozpuszczonymi długimi do połowy pleców włosami, ze zbyt mocnym makijażem na ślicznej, bladej twarzy.

- Moja rodzina pochodzi z Afganistanu, ale mieszka w północnej prowincji Pakistanu. Mówimy tym samym językiem co talibowie. Nie, żeby to był powód do dumy - dodała pośpiesznie.

Ojczym zaaranżował małżeństwo Kiren z kuzynem. Spodziewała się, że pewnego dnia, w dalekiej przyszłości, zostanie poruszona kwestia jej zamażpójścia, ale nie przypuszczała, że to się stanie, kiedy będzie miała piętnaście lat. Była jedną z trzech Azjatek w szkole pełnej białych dziewcząt, wszystkie dopiero zaczynały chichotać na widok chłopaków, flirtować z nimi i się w nich podkochiwać. Małżeństwo było dla nich czymś odległym o całe lata świetlne. Kiedy więc pewnego sobotniego ranka mama obudziła Kiren i powiedziała, że odbędą się zaręczyny, dziewczyna oświadczyła kategorycznie: „Nie chcę żadnych zaręczyn”.

Mogła sobie oszczędzić zdzierania gardła. Matka nie zamierzała z nią o tym dyskutować; kazała jej wstać, włożyć najlepsze złote sari i zejść na dół. Już zaczęli się pojawiać goście.

- To było ekscytujące na swój sposób, przyszli bliźsi i dalsi krewni, dużo osób przyniosło prezenty, stoły uginały się od azjatyckich potraw. - Kiren, mówiąc to, spuściła wzrok, jakby zawstydzona drobnym ustępstwem z jej strony na rzecz rodzinnej fety. Ale wszystko straciło swój czar, kiedy doszło do wymiany pierścionków. Stojąc twarzą w twarz z chłopakiem, którego nigdy wcześniej nie widziała („ten człowiek miał dziewiętnaście lat”, powiedziała, jakby starając się przez dobór słów od niego zdystansować), była speszona. - Później obejrzałam to na wideo. Wyglądałam na bardzo zdenerwowaną.

Po zaręczynach życie Kiren w domu stało się jeszcze trudniejsze. Czowała się tak, jakby stąpała po kruchym lodzie. Ojczym postanowił zrobić z niej kuchnię, kiedy więc koleżanki po przyjściu ze szkoły odrabiałały lekcje, oglądały telewizję albo przepytywały jedna drugą, Kiren musiała zajmować się domem, przyrządzić wieczorny posiłek dla całej rodziny. Jeśli odmówiła, bił ją, a potem zamykał w pokoju. Kiedyś przez dwa tygodnie miała trudności z otwieraniem ust.

- Nie mogłam liczyć na mamę, bo trzymała jego stronę. Zawsze miała skłonność do agresji. Kiedy ja i brat byliśmy mali, rozbierała nas i biła paskiem. Nie dlatego, że coś zbroiliśmy, ale na przykład dlatego, że dobrze się bawiliśmy albo zrobiliśmy bałagan. Wyładowywała na nas swoją złość. To, co powiem, zabrzmie dziwnie, ale żyliśmy w świecie, w którym bicie dzieci przez rodziców uważa się za coś normalnego. Będąc grzecznymi azjatyckimi dziećmi, nigdy nie odpowiadali agresją na agresję. Nawet wtedy, kiedy matka rzuciła się na nią z takim impetem, że obie znalazły się na podłodze i Kiren walczyła o oddech,



próbując wyrwać się matce, gdy ta złapała ją za gardło.

- Już wcześniej próbowała mnie udusić, często nosiłam szal, żeby ukrywać siniaki. - Wzruszyła ramionami, jakby próbując odgonić odrażający obraz mamy, osoby, którą w jej przeświadczeniu należy kochać, szanować i czcić, mimo że ta nie okazuje serca.

Nic dziwnego, że Kiren uciekła.

- Zrobiłam to pod wpływem chwili. Miałam jedną przyjaciółkę, Azjatkę, czasem rozmawiałyśmy o ucieczce, ale nigdy nie ułożyłyśmy sobie planu działania. Kiedyś na placu zabaw, kiedy byłam naprawdę wkurzona na ojczyma, powiedziałam: „Dłużej tego nie zniosę, ucieknijmy dziś”. Przyjaciółka oponowała, ale ostatecznie się zgodziła. Chyba nie odważyłabym się sama uciec. Bardzo się bałam, że policja nas zatrzyma. Koleżanka też. Miałyśmy na sobie tylko szkolne mundurki. Nagle - nie uwierzysz, Jas - zaczął padać śnieg. Myślałam, że zamarznię na śmierć, moje stopy przemieniły się w kawałki lodu.

Kiedy dotarły do Southampton i zapłaciły z góry za jedną noc w hotelu - „Nie wiedziałam o istnieniu takich melin, Jas. Pokój był obskurny, meble nosiły ślady gaszenia na nich papierosów, śmierdziało w nim” - uświadomiły sobie, że pieniądze, które im zostały, wystarczą na dwie paczki chipsów. „Ale myślałam, że wszystko będzie dobrze, bo mam wujka, który zaledwie kilka tygodni wcześniej zadzwonił do mnie i powiedział, że ma mieszkanie w Southampton, więc jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała gdzieś się zatrzymać, mogę śmiało się tam udać”.

Jacy przewidujący musieli być jej rodzice. Wyobraźcie sobie ich zadowolenie, kiedy córka wpadła w zastawione na nią sidła. Gdy Kiren zadzwoniła do wuja, bardzo miło z nią rozmawiał: naturalnie, że mogą zatrzymać się u niego. Nawet po nie przyjechał. Zabrał dziewczynki do swojego mieszkania, a potem ściągnął rodziców Kiren.

- Słowo daję, Jas, myślałam, że zemdleję.

Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Wróciliśmy do domu. Było źle, bardzo się bałam. Mama przytknęła mi nóż do gardła, jakby chciała uciąć język. Poszłam na górę, a oni za mną, ojczym mnie bił, a mama wykrzyczała: „Jeśli nie będziesz nas słuchać i robić tego, co ci każemy, ojczym cię zgwałci”.

Poczułam, jak ścisza mi się żołądek z obrzydzenia i zgrozy. Musiało to być widoczne na mojej twarzy, bo Kiren odpowiedziała na pytanie, którego nie zadałam.

- Nie zmyśliłam sobie tego. Od tamtej pory minęły już chyba dwa lata, lecz ciągle słyszę te słowa. Wciąż nie mogę pogodzić się z tym, że powiedziała je moja matka. I uwierz mi, stałaby i przyglądała się, jak on by to robił. Wepchnęła mnie do wanny, zanim zeszli na dół.

To był koniec tej odrobiny wolności, jaką wcześniej cieszyła się Kiren. Ojczym rano odprowadzał ją do szkoły, a po południu do domu. Wymusił, żeby nosiła hidżab. Po szkole, kiedy odrobiła lekcje i pomogła rodzicom w pracach domowych, zamykali ją w jej pokoju. Nie mogła nigdzie wychodzić, koleżankom nie pozwalano jej odwiedzać. Siedziała w swoim pokoju i nasłuchiwała, jak rodzice

i mała siostrzyczka rozmawiają, jedzą, oglądają telewizję - prowadzą swoje zwykłe, monotonne życie, jakby nie mieli żadnych trosk, nie wspominając już o córce, więzionej w sypialni na górze.

- Próbowałam jakoś się wyrwać z domu, Jas. Udałam, że źle się czuję i chcę pójść do lekarza; liczyłam, że mi pomoże. Wymyśliłam jakiś pretekst, ból krzyża czy coś w tym rodzaju. Mama poszła ze mną. Byłam na to przygotowana, wiedziałam, że będzie chciała mi towarzyszyć. Ale kiedy wywołano moje nazwisko i weszliśmy do gabinetu, powiedziałam, zanim jeszcze zdążyła usiąść: „Mamo, wołałabym zostać sama z panem doktorem”. Ze strachu ledwie to z siebie wydusiłam. - Mówiąc to, Kiren pochyliła się nad stolikiem, oczy miała wielkie, włosy opadły jej na twarz. - Wiedziałam, że później mama stłucze mnie na kwaśne jabłko, ale wiedziałam również, że jeśli to powiem w obecności lekarza, nie będzie mogła oponować, musi opuścić gabinet.

Wyobraziłam sobie tę scenę, wyobraziłam sobie, co musiała czuć Kiren, kiedy lekarz, biały mężczyzna w średnim wieku, powiedział: „To bardzo poważne oskarżenie. Nic nie wyolbrzymiłaś? Nie widzę żadnych śladów bicia. Gdzie siniaki?”.

- Jakby pozwolili mi wyjść z domu tego dnia, kiedy miałam siniaki  
- prychnęła Kiren.

Z westchnieniem, które pozbawiło ją resztki złudzeń, co lekarz sądzi o osobach niepotrzebnie zajmujących innym czas, zgodził się zawiadomić pracowników opieki społecznej. Zapewnił, że niebawem złożą mi wizytę.

- Myślałam, że spotkają się ze mną w szkole, a oni przyszli do na-

szego domu pod moją nieobecność. I co zobaczyli? Ładny dom, mamę całą w uśmiechach. Kłamała jak z nut. Więcej się nie pojawili. Ale kiedy wróciłam do domu, oberwałam tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Kiedy Kiren ukończyła szkołę średnią, ojczym uznał, że dość nauki.

„Po co ci matura? Wystarczy, jeśli żona umie gotować i sprzątać”. Jej

53

świat skurczył się do rozmiarów sypialni, gdzie spędzała czas na szyciu i marzeniach o życiu, w którym miałyby dobry zawód, własny dom, kochającego męża. Czasami, dając się zwieść obrazom idealnych amerykańskich rodzin, oglądanych w telewizji, marzyła, żeby ktoś ją zaadoptował. I przez ostatni rok, gdy była więziona, trzymała pod łóżkiem egzemplarz „Marie Claire” z moim numerem telefonu.

- Wyciągałam go i czytałam twój artykuł. Podnosił mnie na duchu.

- Czy chcą panie jeszcze coś zamówić? - spytała kelnerka, sięgając po nasze puste filiżanki, nawet nie powiedziawszy „przepraszam”.

Spojrzałam na zegarek. Była piąta po południu. Najwyższa pora wracać do domu.

- Powiedz mi, Kiren, kiedy składałaś zeznania na policji, powiedziałeś wszystko, tak jak mnie?

- Tak. Gdy pierwszy raz uciekłam z domu, zanim wyjechałam do Londynu.

- Zamierzasz wnieść oskarżenie przeciwko rodzicom? - Starłam się zadać pytanie obojętnym tonem, nie zdradzając swoich nadziei, ale bardzo chciałam, żeby tak się stało. Kiedy Izba Gmin przegłosowała wniosek, by nie traktować wymuszonych małżeństw jak przestępstwa,

w rzeczywistości - a wcale nie uważam, że parlamentarzyści zdawali sobie z tego sprawę - potwierdziła to, co większość takich dziewcząt jak Kiren już wcześniej sobie myślała: że rodzice mają prawo robić to, co robią, że to one, uciekając z domu, dopuszczają się przestępstwa, a nie są jego ofiarami.

Kiren zagryzła usta, przysunęła do siebie butelkę z keczupem, zaczęła skubać naklejkę. Nie patrząc mi w oczy, powiedziała:

- Tak, chyba to zrobię.

6

Jasvinder? Tu Heather. Muszę z tobą porozmawiać o Sanah.

Właśnie odwiozłam Joshuę do szkoły i włączałam się do ruchu ulicznego.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy dotrę do Karmy Nirvany. Daj mi dziesięć minut.

Jadąc do biura, próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiałam z Sanah. Dziesięć dni temu? W zeszłym miesiącu? Sprawiała wrażenie wesołej, ale taka już była. Zadzwoiła do mnie cztery albo pięć razy, odkąd się poznałyśmy sześć miesięcy temu, ale niewiele mówiła. Jakby tylko chciała się upewnić, że jestem tutaj, w razie gdyby mnie potrzebowała. I zdaje się, że teraz nadeszła taka chwila. Ton głosu Heather był tak nagły, że nie czekałam, aż usiądę za biurkiem; zadzwoniłam, gdy tylko zaparkowałam samochód.

- Co się stało?

Przypuszczam, że powinnam się była spodziewać takiego telefonu,

jeśli nie od Sanah, to od którejś z młodych muzułmanek, będących z nami w kontakcie. Zbliżał się hadż i wiele pobożnych rodzin muzułmańskich, wybierających się z pielgrzymką do Mekki, dochodziło do wniosku, że przy okazji warto załatwić jeszcze coś.

- Sanah zobaczyła w domu bilety lotnicze do Pakistanu; zauważyła, że rodzice szykują się do podróży. Boi się, że wezmą ją ze sobą i zmuszą do małżeństwa. Musimy działać szybko, ale chyba zyskałyśmy dwa dni. Napisałam do jej rodziców list z informacją, że właśnie trwają egzaminy i każdy rodzic, który nie dopilnuje, by dziecko stawiało się

55

w szkole, podlega karze. Jeśli będziemy miały szczęście, nie odważą się zabrać jej nigdzie przynajmniej do końca tygodnia.

- Masz rację. Skontaktuję się z pracownicą opieki społecznej.

Kiedy zadzwoniłam pod numer, który mi dała Heather, kobieta od razu powiedziała, że pamięta Sanah; poprosiła, żebym chwilę poczekała, musi wziąć jej akta. Przedstawiłam jej sytuację. Kiedy skończyłam, powiedziała:

- Muszę zobaczyć się z Sanah i ocenić jej położenie. Sprawdzę w kalendarzu, kiedy mam czas. - Nastąpiła cisza, zakłócana jedynie szelestem kartek. - Tak, chyba uda mi się złożyć jej wizytę na początku przyszłego tygodnia.

- Przyszłego tygodnia! - Wzięłam głęboki oddech; podniesiony głos nie przysłużyłby się mojej sprawie. - Obawiam się, że nie możemy tak długo czekać. Hadż zaczyna się za sześć dni, Sanah widziała bilety lotnicze, ale rodzice ani słówkiem nie wspomnieli, że gdzieś

wyjeżdżają. Nie muszę pani tłumaczyć, jak ważnym wydarzeniem dla muzułmanina jest hadż. Chyba się pani ze mną zgodzi, że to niepokojące, iż nie wspominają o podróży. Sanah podejrzewa, że prawdziwym celem wyjazdu jest zmuszenie jej do małżeństwa.

- Nie podzielam pani obaw. Znam tę rodzinę i nie wydaje mi się, żeby ci ludzie byli zdolni do takiego zachowania.

- Ale nie ma pani pewności. To pilna sprawa, dotyczy praw dziecka. Uważam, że powinniśmy uwierzyć w to, co mówi Sanah. Dlaczego miałyby zmyślać?

Dobre pół godziny zajęło mi przekonanie jej, ale ostatecznie zgodziła się natychmiast zająć tą sprawą. Zadzwoiła na miejscowy posterunek policji z prośbą, by odebrali Sanah ze szkoły i zapewnili jej bezpieczny przejazd do domu rodziców, by mogła zabrać rzeczy osobiste.

Niestety, nie odbyło się to tak, jak powinno. Pod koniec dnia Sanah sama jechała pociągiem do schroniska. Podczas podróży powinni jej towarzyszyć dwaj biali funkcjonariusze policji, którzy odwieźli ją do domu, by mogła spakować swoje rzeczy; nie zrobili tego. Pojechali z nią na dworzec i zostawili samą. Może nie zdawali sobie sprawy, ile ma lat; wygląda poważnie jak na swój wiek.

Wydawało mi się czymś niewłaściwym, że taka młoda dziewczyna jak Sanah, która rano obudziła się otoczona odgłosami i zapachami

56

rodzinnego domu, jeszcze tego samego wieczoru jechała zupełnie sama do miasta, o którym nic nie wiedziała i którego z pewnością nie umiałaby pokazać na mapie. Moim zdaniem, właśnie od tamtej

chwili zaczęło się z nią dziać źle.

\*

Opowiedziała mi, co się wydarzyło, kiedy zadzwoniła do mnie następnego dnia. Głos wciąż miała zachrypły od płaczu.

- Jas, nie należę do mazgajów. Nie jestem beksą, ale nie mogę się powstrzymać. Przeplakałam całą noc. Kiedy pojechałam do domu po rzeczy, mama krzyczała: „Nigdy nie będziesz szczęśliwa. Nigdy nie odniesiesz sukcesu”. Wtórowała jej moja siostra: „Słyszysz, co mówi mama, słuchasz tego?”. Wtedy tak naprawdę uświadomiłam sobie, że się z nimi rozstaję.

Opowieść o podróży do schroniska naprawdę mnie poruszyła.

Pozostawiona na dworcu, czekała, aż wsiądzie do pociągu, i dopiero wtedy zdobyła się na odwagę i spytała mężczyznę siedzącego obok, czy mogłaby skorzystać z jego telefonu komórkowego.

- Są osoby, z którymi musiałam się pożegnać, ważne dla mnie, Jas. Nie chciałam, żeby się zastanawiały, co się ze mną stało.

Nie musiała się o to martwić: wiadomość o jej wyjeździe rozeszła się lotem błyskawicy.

- Najpierw zadzwoniłam do swojej najlepszej przyjaciółki. Zamierzałam jej powiedzieć, jak bardzo będzie mi jej brakować, ale nie chciała ze mną rozmawiać; gdy tylko usłyszała mój głos, rozłączyła się. Zadzwoniłam jeszcze raz, myślałam, że może straciłam zasięg, ale telefon dzwonił i dzwonił, a ona nie odbierała. Znam ją od szkoły podstawowej. Jak mogła mi zrobić coś takiego?

Po tych słowach w słuchawce zapadła cisza. Słyszałam tylko, jak



Sanah połyka łzy. Serce mi się ścisnęło, żałowałam, że nie jestem przy niej i nie mogę jej przytulić.

- W schronisku jest ktoś, z kim możesz porozmawiać?

- Wszystkie kobiety są dużo starsze. Mają czterdzieści, pięćdziesiąt kilka lat. Poza tym jestem jedyną Azjatką.

Kątem oka zobaczyłam, jak Anna, wolontariuszka, mówi bezgłośnie:

57

- Przyszedł sierżant O'Leary z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

Chce z tobą rozmawiać.

Wiedziałam, że muszę szybko zakończyć rozmowę. O'Leary przyjechał z daleka specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. Obiecałam, że poświęcę mu całą godzinę.

- Dobrze, Sanah. - Staralam się nie zdradzić, że mi się spieszy.

- Muszę kończyć, ale chcę, żebyś sobie coś zapamiętała. Jesteśmy tutaj wszystkie - ja, Anna, Shazia. Dzwoń zawsze, kiedy zechcesz, zawsze ktoś chętnie cię wysłucha.

\*

Sierżant Stephen O'Leary z Brytyjskiej Policji Kolejowej prowadził śledztwo w sprawie śmierci Navjeet Sidhu, Azjatki, która na początku tamtego roku rzuciła się pod koła Heathrow Express w Southall. Miała ze sobą dzieci: niespełna dwuletniego chłopczyka niosła, a pięcioletnią córeczkę, jak zarejestrowały kamery telewizji przemysłowej, trzymała za rączkę. Matka i dziewczynka poniosły śmierć na miejscu, chłopczyk, Aman Raj, zmarł dwie godziny później.

Dobrze pamiętałam tę sprawę, rozpisywały się o niej wszystkie gazety. Czytając doniesienia, współczułam nieznannej mi Nayjeet. Jej tragedia przypomniała mi losy tylu kobiet, które zwróciły się do Karmy Nirvany. Wychowały się na Zachodzie, ale kiedy osiągnęły wiek dojrzały, rodzice nalegali, by zaczęły żyć zgodnie z wartościami kulturowymi Wschodu.

Sprawa Nayjeet wydawała się oczywista. Urodziła się i dorastała w Southall, a potem, kiedy miała dwadzieścia lat, zabrano ją do Indii, gdzie wydano za mężczyznę wybranego przez rodzinę. Przez sześć lat pracowała jako recepcjonistka w Sunrise Radio; w 2004 roku zwolniła się, by zająć się dziećmi; od tamtej pory rodzina utrzymywała się - pewna gazeta napisała: z trudem wiązała koniec z końcem - z pensji męża, pracownika poczty. Małżonkowie na krótko się rozstali, ona wyjechała do Ameryki, ale później postanowili spróbować jeszcze raz. W dniu swojej śmierci Nayjeet przez dwie godziny kręciła się w pobliżu peronu kolejowego, nim rzuciła się pod pociąg. Powiedziała pracownikowi kolei, który ją zagadnął, że przyszła pokazać dzieciom pociągi pospieszne. Niektóre gazety donosiły, że na kilka godzin przed 58

popętnieniem samobójstwa kobieta zadzwoniła do męża i oświadczyła: „Udaję się daleko stąd i zabieram dzieci ze sobą”.

Jak było do przewidzenia, przyjaciele skwapliwie skorzystali, by wyrazić swoje zdanie. Jeden ponoć powiedział, że Navjeet idealnie godziła brytyjskie i azjatyckie wartości i była „beztroska”, nigdy nie odebrałaby sobie życia; zdaniem innego skarżyła się, że jest bardzo

nieszczęśliwa i potrzebuje pomocy. Przypuszczano, że była przyniesiona tradycyjnymi wartościami sikhów, wyznawanymi przez urodzonego w Indiach męża i jego rodzinę, że dokuczali jej, bo matka była rozwódką. Niektóre gazety pisały, że brała leki, cierpiała na depresję, niepokodzona z tym, że jej pierworodnym dzieckiem była dziewczynka.

Kiedy jej mąż wrócił do Pendżabu, Nayjeet, która została sama w Anglii, czuła się samotna i bezradna, z trudem walczyła o zapewnienie utrzymania sobie i dwójce dzieci. Teściowa namówiła ją, by pojechała do Indii i przeprosiła męża. Zrobiła to. On zaś zgodził się z nią wyjechać, dopiero gdy mu obiecała, że nie będzie musiał pomagać w żadnych pracach domowych. Wyszło to na jaw podczas dochodzenia, tak samo jak to, że kiedy Manjit pojawił się na stacji Southall zaledwie kilka minut po tym, jak Nayjeet rzuciła się pod pociąg, minął ciała żony i córki, kierując się prosto do synka.

Chociaż się starałam, nie mogłam się powstrzymać, by nie wrócić myślami do Robiny, mojej najukochańszej siostry, która podobnie jak Navjeet czuła się jak w potrzasku w nieszczęśliwym małżeństwie i postanowiła się od niego uwolnić, decydując na śmierć w męczarniach. Robina podpaliła się i zmarła w wyniku poparzeń dziewięćdziesięciu pięciu procent powierzchni skóry. Była młodsza od Navjeet, miała zaledwie dwadzieścia cztery lata. Zawsze powtarzam, że w azjatyckich rodzinach samobójstwo to czystsza forma zabójstwa. Kiedy myślę o Robinie, która umierała w męczarniach - przyglądał się temu jej mąż, był, gdy zapaliła zapałkę - pocieszam się tylko, że w świadectwie

zgonu nie napisano, iż odebrała sobie życie. Stwierdza się w nim, że przyczyną zgonu były „poważne oparzenia, powstałe wskutek zapalenia się nafty, którą się oblała w łazience w swoim domu...”.

I dalej: „Brak wystarczających dowodów, wyjaśniających przyczyny wypadku; sprawa otwarta”.

Nayjeet nie uszanowano nawet po śmierci. Orzeczono samobójstwo i bezprawne odebranie życia dwójce dzieci. W oczach świata one były ofiarami tej tragedii. O nich O'Leary chciał ze mną porozmawiać, dowiedzieć się, dlaczego, moim zdaniem, zabrała ze sobą dzieci, co myślała. Odpowiedź wydaje się oczywista: nie chciała, żeby dorastały w ograniczającym swobodę świecie, uznała, że lepiej je zabić, niż skazać na życie pełne udręki. Powiedziałam także, iż małżeństwo Nayjeet zostało zawarte pod przymusem.

Pasmo nieszczęść nie zakończyło się wraz ze śmiercią Nayjeet i jej dzieci. Sześć miesięcy później jej matka, Satwant Kaur Sodhi, poszła na stację Southall, tam, gdzie ostatni raz była jej córka, i z tego samego peronu rzuciła się pod pędzący pociąg. Sąsiedzi mówili, że Satwant często skarżyła się na samotność; przyjaciółka, pragnąca zachować anonimowość, utrzymywała, że dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu zmuszenia Nayjeet do małżeństwa. List pożegnalny, napisany w języku pendzabskim, zdaje się potwierdzać, że kobieta czuła się winna i nie mogła przeboleć straty córki i wnucząt.

Na tym się nie skończyło. Ostatnio przeczytałam raport, sporządzony przez koleje państwowe, z którego wynika, że w ostatnim roku do jednej trzeciej samobójczych śmierci w wyniku rzucenia się pod

pociąg doszło na odcinku prowadzącym do stacji Londyn Paddington, który przebiega przez rejony Slough i Southall, zamieszkane głównie przez Azjatów. W jednym tygodniu odnotowano cztery samobójstwa w ciągu czterech dni na odcinku między Slough i Paddington. W raporcie stwierdzono, że „nieproporcjonalnie wysoki odsetek” w ogólnej liczbie ofiar śmiertelnych w tej okolicy stanowią kobiety azjatyckiego pochodzenia. Nie zdziwiło mnie to: już od jakiegoś czasu wiadomo, że liczba samobójstw wśród młodych Azjatek jest trzy razy wyższa od średniej dla kobiet o innym pochodzeniu etnicznym. Przykro mi, że dopiero wpływ samobójstw na wizerunek kolei państwowych wywołał zainteresowanie sprawą.

7

Pewnego zimnego, szarego ranka zesłam do samochodu, żeby otworzyć bagażnik, kiedy Maria i Joshua biegali po domu, szykując się do szkoły. Niosłam duży rondel, chciałam go pożyczyć Shazi; tamtego dnia miałyśmy jechać do Liverpoolu na rozmowę z Fatimą i jej mężem, Rafikiem. Pomyślałam, że weźmie rondel, kiedy odwiozę ją do domu.

Otwierając bagażnik, wołałam do Joshuy, żeby sprawdził, czy dobrze zamknął frontowe drzwi, i dopiero kiedy zatrzasnęłam klapy, zobaczyłam słowo wypisane dużymi, trochę koślawymi literami na przybrudzonej tylnej szybie:

**BEZWSTYDNICA**

Serce mi zamarło. Rozejrzałam się wkoło, odwróciłam głowę w lewo, w prawo, znów w lewo. Ktoś tu jest? Nieznajomy? Ktoś mnie

obserwuje? Nie zobaczyłam nikogo w pobliżu domków szeregowych; nie było żadnych nieznanymi mi samochodów, nikogo po drugiej stronie ulicy, w ogóle nic szczególnego. Z wyjątkiem tego słowa, nabazgranego na moim samochodzie.

Kto je napisał? To pytanie nie dawało mi spokoju. Nie zastanawiając się, co robię, naciągnęłam rękaw marynarki od kostiumu i starłam przedramieniem gniewny, oskarżycielski napis. Nie mogłam na niego patrzeć. Chciałam, żeby zniknął. Jakby jakaś nie w pełni ukształtowana, prymitywna część mojego mózgu wierzyła, że zmazując to słowo, likwiduję groźbę, która za nim stoi.

Nagle nogi zrobiły mi się jak z waty. Dowód. Właśnie zniszczyłaś dowód. Ta myśl przebiegła mi przez głowę, ale natychmiast wyparły ją inne, poważniejsze obawy. Kiedy to zrobiono? Kiedy napisano to słowo? Czy tutaj, ostatniej nocy? Czy ta osoba wie, gdzie mieszkam? Błagam, tylko nie to. Niechby to się stało w jakimś miejscu publicznym, a nie tuż przed moim domem.

W myślach odtworzyłam ostatnie czterdzieści osiem godzin swojego życia, starając się z uporem maniaka przypomnieć wszystko, co się wydarzyło. Wczoraj wróciłam pociągiem z Londynu, wsiadłam do samochodu, zostawionego na parkingu koło stacji. Nie, było za ciemno, by cokolwiek zobaczyć, poza tym podeszłam do auta od przodu.

Poprzedniego dnia opuściłam biuro tylnym wyjściem, prowadzącym na parking. Nie, było prawie wpół do szóstej, a żarówka w latarni na parkingu od tygodni się nie pali. Ukryłam twarz w dłoniach, próbując sobie przypomnieć coś jeszcze. Och, mój Boże, kiedy ostatni

raz widziałam tył swojego samochodu?

- Mamo. Maa-moo! Co robisz? Spóźnimy się - zawołała Maria; siedziała na miejscu pasażera.

- Już idę. - Dwa razy głęboko zaczerpnęłam powietrza, starając się uspokoić. Dzieci nie mogą się zorientować, że się boję. Usiadłam za kierownicą i jadąc do Derby, starałam się zmusić do skupienia na tym, co mówił Joshua o treningu piłkarskim po południu, ale okazało się to ponad moje siły. Myślałam o ostatnich naszych interwencjach: w środę znalazłam w schronisku miejsce dla dwóch dziewcząt, ale żadna nie była z Derby ani okolic. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, kiedy istnieje azjatycka siatka, ale i tak uznałam za mało prawdopodobne, by ich rodzinom tak szybko udało się mnie odnaleźć. Na początku tygodnia poinformowałam ciężarną nastolatkę o ośrodkach dla samotnych matek. Czy to sprawka jej ojca? Machinalnie zatrzymałam się przy krawężniku przed szkołą Joshuy i siedziałam, kiedy dzieci zabierały swoje rzeczy.

- Mamo - odezwał się Joshua naburmuszony. - Nie odpowiedziałś na moje pytanie. Kto dziś po mnie przyjdzie? Już dwa razy cię o to pytałem. Dobrze się czujesz?

- Naturalnie, że tak. Przepraszam, zamyśliłam się. - Odwróciłam się w jego stronę, mając nadzieję, że moja mina i ton głosu nie zdradzą zdenerwowania. - Lisa przyjdzie dziś po ciebie, zobaczymy się w domu. Mario, dalej pójdiesz sama? W takim razie cześć. - Pomachałam im, siląc się na uśmiech.

Wydawało mi się, że jazda przez Derby po Shazię trwała całą

wieczność, a kiedy wysiadły dzieci, trudno było zachować spokój.

Mocno zagryzłam usta, żeby nie krzyknąć, ale nie mogłam powstrzymać łez.

- Uważasz, że przesadzam, Shazia? - Opowiedziałam jej o tym.

- Powiedz mi, że zachowuję się irracjonalnie, to tylko jakieś dzieciaki... Psikus.

Na jej zwykle łagodnej twarzy malował się niepokój. Nerwowo splatała i rozplatała dłonie.

- Bardzo chciałabym to powiedzieć, Jas, ale nie mogę. Nieważne, co ja myślę. Chyba powinnaś zadzwonić na policję. Co oni o tym sądzą. Proszę. Może zdołają cię uspokoić.

Zrobili wszystko, co w ich mocy. Pojechałam na posterunek i złożyłam doniesienie, ale jeszcze zanim skończyłam podawać szczegóły, wiedziałam, co usłyszę: „Przykro mi, Jasvinder. Słusznie postąpiłaś, przychodząc do nas, ale niewiele możemy zrobić. Wszystko zapisaliśmy. Będziemy w kontakcie, a ty musisz zachować wyjątkową ostrożność. Pamiętaj, co ci mówiliśmy? Żeby zmieniać trasy i miejsca parkowania samochodu? Stosuj się do tych zasad, nie pozwól sobie na lekkomyślność”.

\*

Nie mogłam przestać o tym myśleć przez całą drogę do Liverpoolu.

Shazia starała się podnieść mnie na duchu, uspokoić.

- Nie masz pewności, że zrobiono to przed twoim domem, Jas.

Bardziej prawdopodobne, że gdzieś na mieście. - Z anielską cierpliwością rozwiewała moje obawy.



- Nie, nie uważam, że okazałaś się nieodpowiedzialną matką, pozwalając Marii iść samej do szkoły. Nic się jej nie stało. W przeciwnym razie już byś o tym wiedziała. - Nim dotarliśmy do siedziby Służb Doradczych i Pomocniczych Sądu Rodzinnego i Opiekunczego (CAFCASS), gdzie miałam się spotkać z Fatimą, trochę się uspokoiłam.

Gillian Symons, pracownica opieki społecznej pomagająca Fatimie, była wysoką i energiczną kobietą; podała mi zimną jak kamień dłoń. Przedstawiłam Shazię jako swoją protokółantkę, która w przeciwieństwie do mnie mówi płynnie językiem urdu. Nie podzieliłam się z nią tym, iż doskonale zdaję sobie sprawę, że moja opinia o Fatimie i Rafiku może zaważyć na życiu ich rodziny, uznałam więc, że dobrze, jeśli ktoś oceni ich problemy z innego punktu widzenia.

Pokój, który zapewnił nam CAFCASS, był ogromny, anonimowy, od pierwszej chwili nie czułam się w nim dobrze. Ktoś oparł o ścianę składany w harmonijkę parawan. Rozstawiłam go tak, żeby odgrodzić kąt sali, w którym było dużo sfatygowanych zabawek, i od razu zrobiło się przytulniej. Spodziewałam się twardych, plastikowych krzeseł, ale zamiast nich były duże i wygodne fotele. Ustawiliśmy je z Shazią tak, by utworzyły krąg.

- Może jeszcze czegoś panie potrzebują? - Gillian Symons już kierowała się do drzwi, żeby przyprowadzić Fatimę, kiedy zobaczyłam tablicę flipchart, opartą o ścianę. Wygląd wierzchniego arkusza świadczył, że ostatnia osoba, która korzystała z tablicy, wygłaszała prelekcję na temat motywacji. Zielonymi drukowanymi literami

wypisano słowa działanie, osiągnięcia, postęp i połączono odpowiednio strzałkami.

- Tak - powiedziałam. Podeszłam do tablicy i przysunęłam ją do foteli. - Mogę prosić o arkusz czystego papieru?

- Jak zamierza pani to wykorzystać? - Przedstawicielka CAF/CASS była zaintrygowana.

- Jeszcze nie wiem. - W tamtej chwili naprawdę nie wiedziałam.

- Po prostu czuję, że może się przydać.

Nie jestem pewna, jak wyobrażałam sobie Fatimę, ale jej wygląd mnie zaskoczył. Może ubrała się tak, żeby robić wrażenie. Włożyła tradycyjny azjatycki strój z błyszczącej, ciemnoniebieskiej tkaniny, obszytej złotem. Na prawym ręku miała bransoletki, a na nogach osobliwe klapki na wysokim obcasie. Gładka, czarna chusta otaczała jej bladą, szczupłą, niemal dziecinną twarz. Bez makijażu wyglądała na dziewiętnaście lat, chociaż musiała mieć więcej. Była bardzo

64

zdenerwowana. Przysiadła na skraju fotela, z głową w ramionach, cały czas skubała koniec szala. Kiedy bransoletki zsunęły się jej na ramię, zauważyłam, jakie ma chude ręce; spod azjatyckiego stroju sterczały kościste kolana.

Przedstawiłam się i powiedziałam kilka słów o Karmie Nirwanie, o tym, dlaczego założyłam organizację, a potem, kiedy się przekonałam, że słucha mnie w skupieniu, wyjaśniłam:

- Nie jestem policjantką, pracownicą opieki społecznej ani psychologiem. Przyszłam tu, żeby cię wysłuchać i być może ocenić

twoją sytuację z innego punktu widzenia. Rozumiesz to?

- Tak. Powiedziano mi, że jest pani ekspertem od naszej kultury.

Potem przedstawiła się Shazia. Poprosiłam Fatimę, żeby opowiedziała, co się wydarzyło. Skinęła głową i bez namysłu zaczęła mówić. Zapewniała, że ona i mąż bardzo kochają dzieci. W pewnym momencie przerwałam jej:

- Chwileczkę. Też jestem matką. Wytłumacz, proszę, jak mogłaś zostawić małe dzieci na poboczu ruchliwej drogi, gdzie mogły zginąć albo zostać porwane? I jeszcze podpalić dom... Ich dom? Wyobraź sobie, że zrobiła to jakaś inna kobieta - nie ty - i usłyszałaś o tym. Co byś sobie o niej pomyślała? Uznałabyś, że jest odpowiednią osobą, by opiekować się dziećmi? - Starłam się być bardzo delikatna, ale chciałam nią wstrząsnąć, skłonić do spojrzenia na to innymi oczami.

Udało mi się. Wybuchnęła płaczem, łzy ciekły jej po policzkach i skapywały na ubranie.

- Nie chciałam ich skrzywdzić, kocham je. - Szlochała, chociaż wciąż próbowała usprawiedliwić swój czyn. - Przyznaję, że źle postąpiłam. Ale czułam, że należy odszukać Jamilah, martwiłam się o jej dziecko. Jak sobie radzi, skoro jest zupełnie sama, pozbawiona wsparcia i pomocy męża?

Była coraz bardziej zdenerwowana i zrozumiałam, że to do niczego nie prowadzi. Podniosłam rękę, żeby powstrzymać potok jej słów.

- Zaczekaj. Zapomnijmy na chwilę o tym wszystkim, Fatimo.

Chciałabym się czegoś dowiedzieć o tobie. Powiedz mi coś o swoim życiu. Zacznijmy od twojego dzieciństwa.

- Od mojego dzieciństwa? - Byłaby nie mniej zdziwiona, gdybym ją poprosiła o wyrecytowanie z pamięci listy zakupów. - Dlaczego chce pani poznać moje dzieciństwo? Nikt do tej pory mnie o to nie pytał.

- Cóż, ja teraz cię zapytałam. Interesuje mnie to.

Spojrzała na mnie błagalnie. Bardzo chciała spełnić tę dla niej dziwną prośbę, ale nie wiedziała, od czego zacząć, więc jej pomogłam.

- Twoja mama? Jaka jest?

Fatimie znów łzy napłynęły do oczu, ale jakoś się wzięła w garść i zaczęła opowiadać o sobie. Jej mama zmarła, kiedy Fatima, jedyna dziewczynka w rodzinie, była malutka. Bardzo za nią tęskniła, i wciąż tęskni, ale ze względu na ojca, którego ubóstwiała, starała się wypełnić pustkę, jaka powstała w życiu rodziny po śmierci mamy. Mniej więcej od dziesiątego roku życia po lekcjach szybko wracała do domu, żeby gotować, sprzątać i utrzymywać ład w gospodarstwie.

- Bracia troszczyli się o ciebie?

Zrobiła okrągłe oczy i ze sposobu, w jaki powiedziała „taaak”, wywnioskowałam, że zastanawia się, jak dalece może mi zaufać.

- Opiekowali się mną, zawsze się o mnie troszczyli, nawet kiedy byłam mała... - Urwała.

- Uważasz, że to było dobre? - Staralam się zachować obojętny ton głosu.

- Mhm. - Zastanawiała się nad odpowiedzią. Potem nieznacznie

skinęła głową: już wiedziała. - Kiedyś w szkole, gdy miałam pięć albo sześć lat, zorganizowano dzień sportu dla najmłodszych dzieci. Takie wyścigi dla zabawy. Skakaliśmy w workach, albo trzymając łyżki z jajkiem, albo „na trzech nogach”. Biegaliśmy parami, prawa noga jednego dziecka była przywiązana do lewej nogi drugiego. Mogliśmy sobie wybrać, z kim chcemy biec, ale nie zdążyłam, więc nauczycielka przydzieliła mi Davida. Wzięła nas za rączki i powiedziała: „Pobieg- niecie razem”. Co miałam zrobić? Nie mogłam się sprzeciwić. - Jej głos stał się piskliwy, kiedy zaczęła się usprawiedliwiać.

- Dlaczego miałabyś nie pobiec z Davidem? - Nie kryłam zdu- mienia.

Spojrzała na mnie zaskoczona, jakby odpowiedź była oczywista, a ja niespełna rozumu.

- Moim braciom to się nie spodobało. Nie wiem, jak się o tym dowiedzieli, widocznie ktoś im powiedział. Kiedy wróciłam do domu, dostałam lanie. Powinam się wstydzić, że pozwoliłam, by przywią- zano moją nogę do nogi białego chłopca. W dodatku trzymałam go za rękę. Przyniosłam wstyd rodzinie.

- Czyli wtedy to się zaczęło - mruknęłam, spojrzawszy na Shazię, ale Fatima mnie usłyszała.

- Kiedy byłam trochę starsza, uświadomiłam sobie, że moim braciom nie podoba się wiele rzeczy. Nie tylko nie wolno mi było dotykać chłopców, ale również rozmawiać z nimi. Nie mogłam no- sić niektórych strojów, właściwie żadnych zachodnich ubrań. Nie mogłam sama chodzić do sklepu. Nie mogłam wybrać mężczyzny,

którego chciałabym poślubić. A wszystko to z uwagi na honor. Izzat był najważniejszy w naszym domu.

Może słowo „najważniejszy” wywołało skojarzenia, nie wiem, ale nagle przypomniało mi się ćwiczenie z pierwszego kursu doradztwa, na który uczęszczałam. Wstałam i ustawiłam tablicę przodem do Fatimy. Potem narysowałam na niej trzy koncentryczne okręgi. W środkowym napisałam wielkimi literami: JA.

- To oznacza ciebie. Spróbujemy się dowiedzieć, jak siebie postrzegasz. Wymień, co uważasz za najważniejsze w swoim życiu. Zapiszę to w środkowym okręgu. Domyślam się, że chyba to będą różne osoby.

Zastanawiała się, zanim odpowiedziała:

- Dzieci, moja rodzina, mój mąż i... izzat. Też powinien się tu znaleźć, jest dla mnie bardzo ważny.

- To wszystko?

Skinęła głową.

- W następnym okręgu wpiszę to, co lubisz robić.

Tym razem, po dłuższym milczeniu, zaczęła niepewnie:

- Być częścią społeczności? - A potem, z większym przekonaniem:

- Gotowanie, opieka nad dziećmi.

Zapisałam.

- Przecież to rzeczy, które musisz robić - zauważyłam. - Chodziło mi o to, co lubisz robić, na przykład spacerować albo może oglądać telewizję.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko pokręciła

głową.

- A zakupy? Sprawił ci zadowolenie zakup tego ślicznego stroju?

- Nie wolno mi chodzić na zakupy bez męża. Nie wolno mi nigdzie chodzić bez męża z wyjątkiem odprowadzania dzieci do szkoły i zabierania ich do domu.

Przez parę minut wszystkie trzy siedziałyśmy w milczeniu, gapiąc się na tablicę, na kilka słów, podsumowujących życie Fatimy. Musiała sama przemyśleć, co z nich wynika, i po jakimś czasie zrozumiała.

- Żyję dla innych, prawda? Dla mnie nie ma zupełnie nic. - Znów zaczęła płakać, tym razem bezgłośnie. Po policzkach ciekły łzy. Kiedy się uspokoiła, powiedziała: - Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nigdy o tym nie myślałam, ale właśnie tak zawsze wyglądało moje życie. Przez ostatnie miesiące dużo mówiłam, odpowiadałam na pytania policji i pracowników opieki społecznej, ale pani jest pierwszą osobą, która chce mnie zrozumieć.

Znów zapadło milczenie. Czułam, że jesteśmy bliskie przełomu, ale wiedziałam, że Fatima potrzebuje czasu na refleksję. Chciałam, żeby ujrzała siebie -jak ja to zobaczyłam -jako ofiarę, kobietę zniewoloną przez narzucony jej system wartości. To nie usprawiedliwiała jej karygodnego czynu, ale łatwiej było go zrozumieć.

- Jasvinder? - Nachyliła się w moją stronę. - Chcę ci coś wyznać.

Znów czekałyśmy, tym razem wieki, nim padły słowa, potok słów, jakby chciała zrzucić brzemię, które ją przygniatało.

- Moi bracia kazali mi to zrobić. Bałam się odmówić. Powiedzieli,

że zrobią mi coś złego, że odbiorą mi dzieci, jeśli nie posłucham.

Dokładnie mnie poinstruowali: gdzie zostawić dzieci, jak wzniecić pożar. Myślisz, że odważyłabym się bez pozwolenia sama pojechać autobusem? Myślisz, że nie bałam się śmiertelnie o dzieci, pozostawione na poboczu drogi? Myślisz, że nie modliłam się, by nic im się nie stało, kiedy straciłam je z oczu? Później bracia nie kryli niezadowolenia, uważali, że za wcześnie zadzwoniłam pod 999, ale tak się bałam...

- Masz paru braci, Fatimo. Który z nich kazał ci to zrobić?

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Kiedy zeznawałaś na policji, nie obciążałaś nikogo z rodziny.

Twierdziłaś, że działałaś sama.

- Zabiliby mnie i dzieci, gdybym postąpiła inaczej.

- Chcesz teraz iść na policję i ujawnić to?

Oczy Fatimy zrobiły się okrągłe z przerażenia, gwałtownie pokręciła głową.

- Nie, nie. Nie mogę tego zrobić. Proszę, nie zmuszajcie mnie do tego. Uwierzcie, gdybym to zrobiła, moja sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia.

- Ale dzięki temu ty albo twój mąż odzyskacie dzieci.

Nadal kręciła głową jak metronom, a ja z jednej strony czułam bezsilność, a z drugiej współczułam jej. Kochała swoje dzieci, nie miałam wątpliwości, ale zbyt się bała rodziny, żeby je chronić. Dowiodła tego, kiedy wykonała polecenie braci, dowodziła tego teraz, odmawiając wyjawienia prawdy, by się bronić. Jak mogłam z ca-



łym przekonaniem zapewnić sąd, że w przyszłości postąpi inaczej? Któż mógł przewidzieć, na jakie niebezpieczeństwa może narazić siebie i dzieci? Czego jeszcze mogą zażądać od niej bracia w imię honoru?

Spojrzała na mnie i znów nachyliła się w moją stronę. Zupełnie jakby czuła, że zrobiła to, co do niej należało, i teraz czekała na mój ruch.

- Proszę, pomóż mi odzyskać dzieci, Jasvinder. Proszę, pomóż mi. Kocham je. To moje dzieci, powinny być ze mną.

- Wiem, że je kochasz, ale niczego nie mogę ci obiecać.

\*

Pojawiła się funkcjonariuszka CAFCASS, która wyprowadziła Fatimę, a po chwili wróciła z Rafikiem. Interesował mnie, jemu bowiem poświęcono mało uwagi w relacjach dotyczących tej sprawy. Fatima napomknęła, że Rafik o niczym nie wiedział, nie pomagał jej w tym, co zrobiła. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać.

Wysoki, chudy mężczyzna w brązowym garniturze był zdenerwowany, niemal skruszony, wciąż lekko schylał głowę, jakby się kłaniał.

I unikał kontaktu wzrokowego. Ponieważ jedynym językiem, jakim mówił czy jaki rozumiał, był paszto, CAFCASS postarał się o tłu-

69

macza. Kiedy weszli razem do sali, Shazia przysunęła jeszcze jeden fotel, by wszyscy mogli usiąść w kręgu.

Gdy zajął miejsce, okazało się, że jest nad wyraz rozmowny. Też lał łzy i lamentował, jego rozpacz zdawała się szczerą.

- Moje dzieci, moje biedne dzieci, muszę je odzyskać. Nie mogę uwierzyć w to, co zrobiła żona.

- Nie zdawał sobie pan sprawy, co zamierzała zrobić? - zapytałam przez tłumacza.

- Nie, o niczym nie wiedziałem. Byłem w pracy, w fabryce należącej do brata Fatimy. Kiedy wróciłem do domu, zastałem policję.

- Fatima powiedziała panu to, co właśnie wyznała mnie? Że wykonywała polecenia swoich braci? Kazali jej wzniecić pożar, zostawić dzieci na drodze...

Przestał pociągać nosem i usiadł prosto, jakby kij połknął.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że to ich robota. Fatima nie zrobiłaby czegoś takiego z własnej woli.

- To zupełnie zmienia postać rzeczy, ale jest problem. Fatima nie chce powiedzieć tego w sądzie. Odmawia ujawnienia roli braci w tej sprawie, bojąc się ich zemsty.

- Musi to powiedzieć, musi ze względu na nasze dzieci - oświadczył kategorycznie. - Zmuszę ją. Jeśli odmówi, rozwiodę się z nią. - Jego słowa sprawiły, że trochę straciłam do niego sympatię. Ojciec, któremu odebrano dzieci, przemienił się w męża tyrana, jeszcze jeden dominujący mężczyzna w życiu Fatimy.

- Nie boi się pan zemsty jej braci? Jest pan pewien, że nie skrzywdzą pańskich dzieci?

Na twarzy Rafika dostrzegłam niepokój. Jego zachowanie się zmieniło, znów zaczął błagać:

- Proszę mi pomóc odzyskać dzieci. Nie rozumie pani, że moje

dzieci są muzułmanami, muszą przebywać wśród muzułmanów? Wie pani, że rodzice zastępczy, którym powierzono opiekę nad nimi, to biali? Biali są zdemoralizowani, wielu białych pali...

Tłumacz przekazał to wszystko z kamienną twarzą, obojętnym tonem, ale ja i Shazia doskonale zrozumialiśmy, o co chodziło Rafikowi, chociaż nie znamy języka paszto. Nie uszło naszej uwadze,

70

z jaką pogardą wypowiedział słowo „biali”. Był teraz w swoim żywiole, rzucał gromy na rodziców zastępczych, bo pozwolili jego czteroletniej córeczce jeździć na rowerku. Znow bąknął pod nosem, że biali palą papierosy.

- Proszę mu powiedzieć, że takie nastawienie tylko pogarsza sprawę. - Odwróciłam się od Rafika, żeby okazać mu swoją dezaprobatę, jeśli monotony głos tłumacza zostawi miejsce na jakieś wątpliwości. - Proszę mu powiedzieć, że jego dzieci są pod właściwą opieką; z raportów wynika, że rodzina zastępcza dobrze się spisuje.

Rafik nieco przesunął się do przodu; przez chwilę przypuszczałam, że zacznie się ze mną kłócić, ale potem zapadł się w fotelu. Byłam zmęczona i Rafikiem, i Fatimą. Obydwoje znaleźli się w pułapce okrutnego i sztywnego sposobu myślenia społeczności, w której dorastali, jedynej społeczności, jaką znali. Działali w zмовie z rodziną Fatimy, która obmyśliła plan zniszczenia bratowej, i chociaż niesprawiedliwość tego sprawiała mi ból, w tamtej chwili nie wiedziałam, jak mogłabym im pomóc. Westchnęłam ciężko.

- Jak ważny jest dla pana izzatl
- Niezbyt, właściwie wcale. Moją główną troską jest dobro rodziny - odparł szybko; byłam niemal pewna, że powiedział to, co jego zdaniem chciałam usłyszeć, nie to, co naprawdę uważał.
- Jeśli odzyska pan dzieci, jak będzie je pan chronił przed złym wpływem rodziny żony, który okazał się zgubny?
- Tak jest, zgubny - zgodził się, znów zbyt skwapliwie. - Wyprawdę się z Liverpoolu, żeby się z nimi nie spotykać.
- Ale jak pan sobie poradzi? Zna pan w Anglii kogoś, do kogo mógłby się zwrócić? Bardzo trudno sobie poradzić bez rodziny. Poza tym pracuje pan u nich.

Próbował mnie przekonywać, że poradzi sobie bez rodziny żony, ale mu się nie udało. Nie wierzyłam, by człowiek, który w przeszłości miał minimalny wpływ na swoje życie, nagle potrafił nad nim zapanować. Czułam się odpowiedzialna za jego dzieci. Wracałyśmy z Shazią do domu w milczeniu, zamyślane.

71

Kiedy tamtego wieczoru położyłam się do łóżka, nagle przypomniałam sobie słowo wypisane na samochodzie i aż ścisnął mi się żołądek. Potem jednak udało mi się stłumić strach, zaczęłam oddychać wolno i głęboko: wdech, wydech.

- Jestem zbyt zmęczona - powiedziałam do siebie. - Nie mam siły o tym myśleć.

8

Teraz, kiedy jest tyle pracy, Anna zajmuje się ustalaniem ter-

minów moich spotkań. Co miesiąc dostaję około czterdziestu zaproszeń na konferencje, od policji i pracowników opieki społecznej, pielęgniarek środowiskowych, szkół, zakładów podstawowej opieki zdrowotnej, nawet Instytutu Kobiet. Nie lubię odmawiać, ale jeśli uwzględnić konieczność dojazdu, nie mogę wygłosić więcej prelekcji niż dwanaście w miesiącu.

Moje prezentacje zawsze szokują i budzą zgrozę u słuchaczy, nieodmiennie widzę niedowierzanie pomieszane z przerażeniem, malujące się na twarzach. Coraz częściej stwierdzam, że to, co mówię, to dla nich nie nowość. Jestem pewna, że policjanci, pracownicy opieki społecznej czy pielęgniarki środowiskowe myślą sobie: „Zetknęłam się z takim przypadkiem”. Wiele osób chce rozmawiać o tych sprawach i prosi mnie o pomoc. Są tygodnie, kiedy mam wrażenie, że zyskuję tyle samo klientów dzięki tym rozmowom, ile dzięki telefonowi zaufania w Karmie Nirwanie.

Dwa dni po konferencji u policjantów w Leicester skontaktowała się ze mną funkcjonariuszka.

- Pamięta mnie pani? - spytała, kiedy Anna połączyła ją ze mną.
- Rozmawialiśmy chwilę pod koniec prelekcji. Spieszyła się pani na pociąg, ale dała mi swoją wizytówkę. - Przedstawiła się jako sierżant Jenkins; przypomniałam ją sobie: niewysoka, jasnowłosa kobieta, wysportowana, o rumianych policzkach.
- Tak. - Był czwartek, w tamtym tygodniu dopiero pierwszy raz przyszedłam do biura. Czekał mnie stos papierzysk do przejrzenia, byłam myślami przy e-mailu, który czytałam.

- Chodzi o młodą Azjatkę; jesteśmy w kontakcie od trzech miesięcy. Ma dwadzieścia osiem lat, ale nadal mieszka z rodzicami i boi się, że grozi jej niebezpieczeństwo z ich strony. Czasami tak twierdzi, a potem wszystko odwołuje. Jednego dnia utrzymuje, że jej życie jest zagrożone, a następnego prosi nas, żebyśmy się z nią nie kontaktowali, bo jeśli się wtrącimy, to tylko pogorszy jej położenie. - Sierżant Jenkins umilkła i ciężko westchnęła. Wyobraziłam sobie jej biurko: zapewne panował na nim wzorowy porządek, papiery leżały na swoim miejscu, pod ręką stał kubek z kawą. Bo tak przedstawiała sprawę: nie chaotycznie.

- Proszę mówić dalej. Skupiłam się tylko na tym, co miała mi do zakomunikowania.

- Prawdę mówiąc, Jasvinder, rozmawiałam o tym z kolegami i zgodziliśmy się, że sprawia wrażenie lekko niezrównoważonej. Pomysłaliśmy, że może chodzi jej tylko o zwrócenie na siebie uwagi. Ale pamiętając, co mówiłaś o źle rozumianej lojalności kobiet, że mimo doznanych krzywd kochają swoich bliskich i nie chcą ich narażać na nieprzyjemności, doszłam do wniosku, że może źle ją oceniamy. Po rozmowie z tobą nie mogę przestać o niej myśleć...

- Jeśli ciągle zmienia zdanie, możliwe, że jest rozdarta między strachem przed rodziną i miłością do niej. Powiedz mi coś więcej o dziewczynie. Jak się nazywa?

Godzinę później wciąż rozmawiałyśmy. Młoda kobieta miała na imię Shabana, jej historia była typowa; pod wieloma względami przypominała moje losy. Matka Shabany zdziwiła się, że córka jest

niechętna i oporna, gdy usłyszała, że znalazł się kandydat do jej ręki. Próbowała groźbami wymóc na niej uległość, zwłaszcza gdy Shabana wyznała, że kogoś kocha.

- Kto to taki, mów - zagrzemiał ojciec, kiedy tamtego wieczoru po powrocie z pracy zastał zapłakaną Shabanę, siedzącą na kanapie pomiędzy matką i siostrą, które pilnowały jej niczym policjanci podejrzanego na ławie oskarżonych. - Powiedz mi, jak się nazywa, latawico! - Krzyczał, przybliżywszy twarz tuż do jej twarzy.

Odważna dziewczyna, pomyślałam, gdy sierżant Jenkins opowiadała, co Shabana musiała znieść tamtego wieczoru. Ojciec uderzył

74

ją pięścią w twarz i dusił; siostra drapała ją, kopała i ciągnęła za włosy. Zdumiewające, że tak długo stawiała opór, ale jak to było do przewidzenia, poddała się.

- Nazywa się John Henderson. - Siedziała w kucki, obejmując kolana, żeby stać się jak najmniejsza, szykowała się na najgorsze.

- HENDERSON? Biały? - ryknął ojciec i szarpnięciem za włosy postawił na nogi. - Przynosisz hańbę rodzinie, napawasz mnie wstrętem, jesteś nie lepsza od prostytutki. - Tak mocno uderzył ją w twarz, że znów upadła na podłogę. - Wynoś się! - Kiedy próbowała wstać, wymierzył jej kopniaka. - Precz! Nie mogę na ciebie patrzeć! Zejdź mi z oczu!

Wszystko ją bolało, ledwo się dowlokła do swojego pokoju na górze. Później przyszła do niej siostra i powiedziała, że ojciec wynajmie kogoś, żeby pokiereszował Johnowi twarz. Podobno już się dowie-

dzieli, gdzie on mieszka.

Rodzina Shabany była tak rozwścieczona, że zapomniała odebrać córce telefon komórkowy. Ostrzegła Johna. Zadzwoiła też do dwóch przyjaciółek, szukając u nich wsparcia. Właśnie jedna z nich, Sheena, zawiadomiła policję.

- Udaliśmy się razem z kolegą pod adres przez nią podany i zażądaliśmy rozmowy z Shabaną bez świadków. - W głosie sierżant Jenkins pobrzmiwała duma. - Ale chociaż „na wszelki wypadek” podała nam adres chłopaka, utrzymywała, że jej nic nie grozi, jest szczęśliwa, stosunki z rodziną są poprawne, nie ma powodów do obaw.

- Co zrobiliście?

- A co mogliśmy zrobić? - Sierżant Jenkins była zirytowana, chociaż starała się to ukryć. - Wyszliśmy. A nazajutrz przysłała e-mail. Przyznała się, że wolno jej opuszczać pokój, tylko kiedy idzie do pracy. Ojciec pokazał jej nóż i powiedział, że nie zawaha się nim posłużyć. Podobno oświadczył: „Wolę cię widzieć martwą, niż dopuścić do zhańbienia naszej rodziny”. Jasvinder, nie ma się co oszukiwać. Jeśli kobieta mówi prawdę, mamy podstawy, by wnieść przeciwko niemu oskarżenie. Ale okazuje się, że dziewczyna wcale sobie tego nie życzy. Nie chce, by wkroczyła policja. Zapewniła nas: „Sama sobie poradzę”.

75

- Cóż, trzeba to uszanować - odparłam. - Wierz mi, kobiety pokroju Shabany potrafią oceniać grożące im niebezpieczeństwo i zazwyczaj umieją sobie radzić w takich sytuacjach. Trzeba jej zaufać. Ale mimo



wszystko potrzebuje pomocy. Możesz uzyskać od niej zgodę, żebym zadzwoniła do niej? Z góry dziękuję. Poinformuj mnie, jaka będzie jej reakcja.

9

Wczoraj zadzwonił jakiś facet - powiedziała Anna. - Widocznie przeczytał informację o Nirvanie, parę tygodni temu było o nas w popołudniowej gazecie, ale potrzebował czasu, żeby nabrać odwagi. Jest ofiarą wymuszonego małżeństwa; stało się to kilka lat temu, ale wciąż nie może się pozbierać. Chciałby o tym z kimś porozmawiać.

- Masz jego numer?

- Naturalnie. Powiedziałam, że na pewno się z nim skontaktujemy.

Uznałam, że lepiej, jeśli się z nim spotkam; wtedy nie miałam jeszcze żadnego doświadczenia, jak wspierać mężczyzn, ofiary wymuszonych małżeństw, i nie chciałam popełnić błędu. Wolałam widzieć jego reakcję. Umówiliśmy się w małej kawiarni przy Normanton Road. Zafundowałam mu filiżankę herbaty i ciastko. Siedział zgarbiony, z zapadniętymi oczami, ogrzewając dłonie o filiżankę. Wydawał się kompletnie zagubiony. Miał trzydzieści jeden lat, ale wyglądał młodziej: w sportowych butach i bluzie z kapturem bardziej przypominał chłopca niż mężczyznę, i mimo pozornej pewności siebie był nieśmiały i mało-mówny. Rozmowa się nie kleiła, więcej ja mówiłam, opowiedziałam mu trochę o sobie, żeby się odprężył. Przyznał później, że po raz pierwszy od lat poczuł się, jakby ktoś się nim naprawdę zainteresował.

Imran jest muzułmaninem; pochodzi z rodziny, w której aranżowane małżeństwa są normą, i szczerze mówiąc, jego starsze siostry i brat są żywymi dowodami, że takie małżeństwa bywają szczęśliwe. Imran sam to przyznał.

- Mój brat nie chciał się zgodzić, bo zakochał się w dziewczynie poznanej w Indiach, ale mama oświadczyła: „Nie, już zostałeś komuś przyrzeczony”. Chodziło o dziewczynę z rodziny mojego taty. Mieli okazję poznać się i porozmawiać ze sobą. Wyrazili zgodę na ślub; ona jest nauczycielką, kobietą wykształconą. Są małżeństwem od siedmiu lat, mają dwójkę ślicznych dzieci i są zadowoleni z życia. Mój brat ją pokochał.

Kiedy Imran miał dziesięć lat, obiecano go córce jego wuja, chociaż wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy. Jedyne, co pamięta, to rodzinne wakacje w Pakistanie i przyjęcie, na którym on i mała dziewczynka, obok której kazano mu usiąść, byli w centrum uwagi. Pamięta, jak mrużył oczy przed fleszami aparatów fotograficznych. W wieku dziesięciu lat nie kwestionuje się własnego szczęśliwego losu, prawda?

Imranowi bardzo się podobały nowe, ładne ubranka, stoły uginające się pod górami jedzenia i pieniądze, które dostał. Był skrepowany, opisując mi to; jak większość osób w podobnej sytuacji wydawał się zawstydzony swoją uległością.

- Później nigdy o tym nie myślałem, ale kiedy miałem piętnaście lat, siostra pokazała mi zdjęcie zrobione tamtego dnia: „To ty i dziewczyna, którą poślubisz”. I chociaż zabrzmiało to żartobliwie, wiedziałem, że mówi poważnie. Wydało mi się to czymś absurdalnym.

Dziewczynka na zdjęciu była malutka, miała może pięć lat. Oświadczyłem: „Wykluczone, nie poślubię jej”. Na co moja siostra: „Nie masz wyboru. Musisz się zgodzić. Nie możesz powiedzieć »nie«. To sprawa honoru”.

„Nie masz wyboru”. Proszę sobie wyobrazić, co czuje dzieciak, kiedy usłyszy takie słowa w okresie swojego życia, kiedy świat zaczyna się przed nim otwierać i może po raz pierwszy posmakować odrobiny niezależności. Przypomniałam sobie swojego bratanka Sunny'ego w tym wieku: wiecznie gdzieś biegał z kolegami, myślał tylko o zespołach muzycznych i dziewczynach oraz o tym, w jaki sposób zarabiać dużo pieniędzy. Piętnastoletni Imran miałby być inny? Słowa siostry były dla niego jak wyrok więzienia. Nic dziwnego, że się zbuntował.

- Zupełnie mi odbiło. Zacząłem ostro pić, palić. Wpadłem w złe towarzystwo. Wyrzucili mnie z dwóch szkół. Wdawałem się w bójki, wybijałem szyby w oknach. To wszystko szczeniackie wybryki, nic poważnego, ale i tak policja była u nas w domu ze cztery razy.

Kiedy mama zaproponowała wyjazd na wakacje do Pakistanu, nie podejrzewałem, że kryje się za tym podstęp; bardzo mu się spodobał pomysł. Poleciał razem z siostrą, która miała ściągnąć do Anglii swojego męża. Przez tydzień mieszkali u jego rodziny w Sijalkot, a potem pojechali do Karaczi, by odwiedzić babkę.

- Byłem bardzo przejęty wyjazdem, wiedziałem, że Karaczi to duże miasto, dużo tam sklepów... Chciałem to zobaczyć. - Imran pokręcił głową; jakby nie mógł uwierzyć, że był taki naiwny.

Niewiele zobaczył. Kilka dni po przyjeździe do Karaczi szwagier obudził go o piątej rano.

- Szarpał mnie za ramię: „Wstawaj, pora na modlitwę”. Odpowiedziałem: „Nigdy się nie modliłem, nie potrafię”, odparł, że mnie nauczy. Trzymał w ręku kubek z herbatą i jakąś tabletkę. Powiedział: „Połknij to, szybciej oprzytomniejesz”.

Siedemnastoletni Imran w nieznanym sobie kraju, zaspany i ufny wobec ludzi, połknął tabletkę. Zanim szwagier wypchnął go z domu do ogrodu, a potem na uliczkę, chłopakowi zakręciło się w głowie.

Bał się, że upadnie, więc oparł się o samochód.

- Nagle ktoś mnie złapał od tyłu i wciągnął do auta. Próbowałem się wyrwać, ale było mi trudno poruszać rękami i nogami. Zdołałem jedynie zapytać: „Co się dzieje?”. Posadzono mnie z przodu. Pod nogami leżał worek z czymś twardym. Tylko tyle zapamiętałem, zaraz usnąłem.

Obudził się, gdy chluśnięto mu w twarz lodowato zimną wodą.

Dwaj mężczyźni wykręcili mu ręce do tyłu, a paru innych, wśród nich szwagier, otoczyło ich półkolem.

- Trudno było cokolwiek zobaczyć; byliśmy w pustym, murowanym pomieszczeniu, gdzie panował mrok. Niewiele widziałem, ale domyśliłem się, że jestem w meczecie. Z boku stał mężczyzna z długą, splątaną brodą, ubrany w kremową szatę. Imam. Powinienem się tam czuć bezpiecznie, ale gapili się tak, że ogarnął mnie lęk.

Szwagier wystąpił do przodu, trzymając kajdany.

- Sprawiał wrażenie zawstydzonego i był zdenerwowany, kiedy

powiedział: „Naprawdę bardzo mi przykro, Imranie. Ale spełniam prośbę twojej mamy. Zwróciła się do mnie, bo jesteś nieposłuszny. Chce, żeby cię resocjalizować”.

Nie wierzyłam własnym uszom. Kajdany! Myślałam, że w dzisiejszych czasach można je oglądać tylko w muzeum.

- Jak wyglądały? - wyrwało mi się.

Z trudem przełknął ślinę. Przypuszczam, że gdybyśmy nie siedzieli w kawiarni, rozplakałby się. Miał cienie pod oczami, był spięty.

- Żelazne kajdany składały się z łańcucha, zakładanego na kostki nóg, z kłódką i solidną sztabą, uniemożliwiającą normalne chodzenie.

Do sztaby był przytwierdzony drugi łańcuch z wielką żelazną kulą na końcu. - Milczał przez minutę.

- Szwagier przyklęknął, by mi je założyć. Nie winię go, robił to, co mu kazano. Płakałem i błagałem go, żeby mnie nie skuwał. Był bardzo zdenerwowany. Starał się powiedzieć, żebym zrobił parę kroków, ale słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Spróbowałem, lecz ciężkie kajdany ocierały mi kostki u nóg, sprawiając ból. Pod koniec pierwszego dnia skórę miałem czerwoną i startą.

Szwagier, wychodząc, przeproszał i obiecywał, że przyjedzie za tydzień z czystym ubraniem i pieniędzmi na jedzenie. Imran poczuł się opuszczony, pozbawiony jedynej więzi ze znanym sobie światem.

Pobiegł za szwagrem, zapominając o dumie własnej, płakał jak mały chłopiec, błagał, żeby go nie zostawiał. Zanim jednak z trudem dokuśtykał do drzwi, ciągnąc za sobą żelazną kulę, samochód, którym przyjechał szwagier, był już spowity tumanem kurzu.

- Rozejrzałem się, ale nie było tam nic. Słowo daję, Jasvinder, to przypominało pustynię, żadnej porządnej drogi, nic. Zobaczyłem może pięć byle jak skleconych domów w dużej odległości jeden od drugiego. Poza tym wkoło ciągnęły się jedynie porośnięte krzakami pola, po których chodziły kozy, i biegła polna droga. Wywieziono mnie na pustkowie. Pomyślałem, że mógłbym tu umrzeć, a nikt w prawdziwym świecie, moim świecie, by się o tym nie dowiedział.

- Stałem, a łzy płynęły mi po policzkach. Trwało to jakiś czas, zanim wziąłem się w garść. Rozejrzałem się przytomniej i zobaczyłem pewien przejaw cywilizacji. Mały sklep, właściwie budka, przed którą piętrzyły się skrzynki z napojami. Okazało się później, że mogłem tam chodzić; dalej miałem zakaz. Normalnie dotarłbym tam w ciągu trzydziestu sekund, ale z kajdanami zajmowało mi to prawie pięć minut.

Wkrótce okazało się, że nie jest w meczecie sam z imamem; zobaczył długi, niski stół, a wokół niego kilkunastu chłopców. Byli młodszy od niego, obdarci i bosy, kucali na betonowej podłodze i pochylali się nad Koranem, poruszając ustami, wolno i bezgłośnie w mroku czytali tekst. Współwięźniowie. Nie mieli kajdan, na noc wracali do swoich rodziców, ale w dzień byli uwięzieni tak samo jak Imran: zmuszeni do studiowania Koranu, bali się imama; gdy tylko stwierdził, że nie uważają, bił ich kijem po chudych plecach.

- Albo, kiedy go naprawdę rozgniewali, podnosił ich za uszy; krzyczeli i płakali.

Imam pchnął go, aż Imran upadł, i kazał mu zająć miejsce między

innymi uczniami. Położył na stole przed nim Koran.

- Kajdany wpiły mi się w ciało, próbowałem je przesunąć, żeby mnie tak nie uwierały, kiedy zauważyłem spojrzenie chłopaka siedzącego obok mnie. Wybałuszył oczy na widok kajdan. Spytał szeptem: „Co zrobiłeś?”. Przypuszczał, że dopuściłem się jakiegoś strasznego czynu. Powiedziałem, że nic nie zrobiłem, że nie wiem, dlaczego tu trafiłem. Odparł, że bardzo mu mnie żal. Miał osiem, może dziewięć lat, ale się zaprzyjaźniliśmy.

Najgorsza była pierwsza noc. Chłopcy poszli do domów, a imam zaprowadził Imrana do małego pokoiku z wąskim łóżkiem i zakratowanym oknem. Przyniósł mu jedzenie: curry ziemniaczane, ćapati i szklankę wody. Kiedy wychodził, Imran zawołał za nim: „Chyba nie myślisz, że będę jadł lub spał w kajdanach. Sprawiają mi ból. Spójrz na moją skórę, leci mi krew”. Ale imam tylko wzruszył ramionami: „Robię to, co do mnie należy. Na życzenie twojej matki. Mam ci nie zdejmować kajdan, póki nie przeczytasz całego Koranu i nie będziesz gotów stać się lepszym człowiekiem. Nie martw się, jesteś tu bezpieczny”.

- Nie czułem się bezpiecznie, Jasvinder. - Imran tym razem nie był bliski łez, tylko biła od niego złość. - Czułem się opuszczony, nawet nie wiedziałem, w jakiej części kraju się znajduję. Nie mogłem uwierzyć, że mama naprawdę chciała dla mnie czegoś takiego. Pomyślałem, że nie zrobiłaby tego, gdyby mnie kochała. Płakałem, aż

81

rozboleły mnie oczy, a poduszka była mokra od łez. Przez cały pobyt

tam nie mogłem spać. Leżałem i myślałem, że już nigdy nie zobaczę moich braci i sióstr ani przyjaciół. Czasami mówiłem do siebie, bo samotność mi doskwierała.

Do dzisiejszego dnia nie poznałam mamy Imrana i nigdy jej nie poznam, ale słyszałam, jak pochlebnie się o niej wyrażał. Słyszałam dumę w jego głosie, kiedy ją opisywał:

- W naszym domu rządziła mama. Tata nadużywał alkoholu.

Każdego wieczoru, kiedy kładłem się spać, i każdego ranka, kiedy się budziłem, w naszym domu było słycać terkot maszyny do szycia. Ludzie zostawiali duże worki z tkaninami, a mama całe dni szyła. Za to, co zarobiła szyciem, kupiła dla nas duży dom... Parę domów.

Niewątpliwie była kobietą dbającą o swoją rodzinę, i muszę wierzyć, że wysyłając Imrana do meczetu w Pakistanie, uważała, że to najlepsze dla krnąbrnego syna. Ciekawa jestem, czy pożałowałaaby tego, co zrobiła, gdyby go zobaczyła tamtego popołudnia, gdyby dostrzegła cierpienie i poczucie zdrady w jego oczach, usłyszała gniewny głos.

Ból nie minął, chociaż upłynęło czternaście lat.

\*

Imran zaznaczał na ścianie swojego pokoiku każdy mijający dzień.

Godziny wlokły się nieznośnie, nuda jakby stłumiła lęk i poczucie upokorzenia. Odzyskał umiejętność logicznego myślenia.

- Przyjrzałem się łańcuchom na nogach i stwierdziłem, że kłódki wcale nie są duże; z łatwością mógłbym je rozbić, gdybym miał jakieś narzędzie.

Potrzebował współnika i widział go w nowym przyjacielu, chłopcu



o wielkich oczach. Nie ponaglał go.

- Nie zapominaj, że w Anglii byłem bardzo nieposłuszny, a to wymaga sprytu.

Przez kilka dni zabiegał o względy chłopca pieniędzmi na kupno jedzenia w sklepiku. Kiedy nabrał pewności, że jego młody przyjaciel zgodzi się pomóc, zwierzył mu się ze swoich zamiarów i poprosił o jakieś narzędzie. Nazajutrz chłopiec, dumny, że może się na coś przydać, zadowolony, że będzie miał kogoś w Wielkiej Brytanii, przyniósł do meczetu schowany pod koszulą metalowy pręt.

82

- Przez cały dzień ukrywałem go w spodniach. Czekałem do drugiej nad ranem, żeby sprawdzić, czy się nada; tak się bałem, że najpierw zmówiłem modlitwę.

Udało się. Z całych sił naparł na metalowy pręt i kłódka się otworzyła. Co więcej, dała się z powrotem zatrzasnąć. Imran niemal zapał ze szczęścia; więziono go od piętnastu dni, ale teraz wiedział, że może się uwolnić.

- Nazajutrz zaczekałem, aż w południe dali nam jeść, bo nie wiedziałem, kiedy będę miał okazję spożyć kolejny posiłek. Potem spytałem imama, czy mogę pójść do sklepiku. Wysłał razem ze mną kilku chłopców, żeby mnie pilnowali. Śmiertelnie przerażony, ale starając się nie okazywać strachu, rozmawiałem z nimi i żartowałem.

Jak na uciekiniera musiał się poruszać śmiesznie powoli. Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu, wyobraziwszy sobie Imrana „uciekającego” z grupką dzieciaków, gdy te biegly przed nim, ciągnęły

za rękaw, by zwrócić na siebie jego uwagę. Imran w pierwszej chwili poczuł się urażony, ale potem też się uśmiechnął.

- To był dopiero początek. - Pokiwał głową.

Kiedy powłócząc nogami, minął niewidzialną granicę, której nie wolno mu było przekraczać, wszystko się zmieniło. Gdy mali strażnicy zorientowali się, że Imran nie zamierza się zatrzymać, przestali się śmiać i krzyczeli piskliwie, nie kryjąc oburzenia. Biegając przed siebie, usłyszał przez ich wrzaski niski śmiech i okrzyki zachęty. Zdumiony odwrócił się i zobaczył dwóch chłopów z kosami, zagrzewających go do biegu.

- Wiedziałem, że muszę zdjąć kajdany, bo w każdej chwili mogli przestać się śmiać i ruszyć za mną w pogoń. Kiedy się pochylałem, żeby otworzyć kłódki, zobaczyłem, że dzieciaki biegną do imama, by mu o wszystkim powiedzieć.

Oswobodziwszy się z łańcuchów, Imran zmrużył oczy przed oślepiającym południowym słońcem i spojrzął na przykurzoną równinę. Upał był nie do zniesienia, niczym koc opatulał kilometry buszu, pozbawionego jakichkolwiek punktów orientacyjnych, by można określić swoje położenie. W mokrej od potu koszuli, przyklejonej do ciała, z bijącym sercem ruszył w stronę, w którą odjechał samochód szwagra. Biegł najszybciej jak mógł bosą po piachu, ściernisku i kamieniach, aż dotarł do drogi, dysząc ciężko. Nogi miał poranione do krwi.

- Czuję się tak, jakbym biegł całe godziny. Może upłynęły dwie, może dwie i pół, nie wiem. A kiedy znalazłem się na drodze i zoba-

czyłem pompę, po raz pierwszy, odkąd przyjechałem do Pakistanu, pomyślałem, że los mi sprzyja. Wszedłem pod strumień wody, żeby się ochłodzić.

Zatrzymał pierwszy przejeżdżający autobus, wdrapał się po tylnym zderzaku na dach, gdzie już siedziało kilku chłopaków, starając się nie spaść. W pierwszej miejscowości, do której dotarli, był duży dworzec autobusowy. Odjeżdżały stamtąd autobusy do znanych mu z nazwy miast: Karaczi, Gudżarat, Sijalkot.

- Postanowiłem jechać do Sijalkot, gdzie mieszka moja siostra; zaprzyjaźniłem się tam z paroma chłopakami. Zależało im na znajomości ze mną, bo przyjechałem z Wielkiej Brytanii. Miałem nadzieję, że pomogą. Zostało mi niewiele pieniędzy, więc zaproponowałem konduktorowi złoty zegarek w zamian za bilet. Był bardzo zadowolony.

W Sijalkot Imran dokuśtykał na bosych, krwawiących nogach do centrum obsługi telefonicznej, w którym pracował jeden z poznanych przez niego chłopaków.

- Okazał się przyzwoitym, twardo stąpającym po ziemi facetem.

Powiedział, że mogę się u niego zatrzymać. Jego tata zaproponował, że zadzwoni do ambasady brytyjskiej w mojej sprawie, ale ubłagałem go, żeby dał mi chwilę wytchnienia, odczekał tydzień, zanim ujawni komukolwiek, gdzie przebywam.

Wspomnienie tamtego tygodnia sprawiło, że na twarzy Imrana po raz pierwszy pojawił się uśmiech. Rozsiadł się wygodnie i nie spiesząc się, opowiadał, jak to „żył w luksusie, zajadał owoce i oglądał filmy na DVD". Nawet nie próbował ukryć triumfu w głosie, kiedy

powiedział, że odczekał cztery dni, nim zadzwonił do swojej mamy. Czułam jego zadowolenie z tego, że odzyskał kontrolę nad swoim życiem.

- Była bardzo przejęta. Mówiła: „Gdzie się podziewałeś? Myśleliśmy, że cię porwali” i tym podobne. Byłem na nią naprawdę zły. Oświadczyłem, że podpale dom szwagra. I że nie wrócę do domu. Nie cofnąłem się przed żadnymi groźbami.

Nie przeszła mu złość. Po powrocie do Anglii wyprowadził się od rodziny, przeniósł do Blackpool, gdzie chwycił się dorywczych zajęć: mył okna, był pakowaczem. Rodzina jednak nie przestała go naciskać, dokuczała mu i nie dawała spokoju, nakłaniając do poślubienia dziewczyny, z którą był zaręczony.

-Tata mówił: „Zrób to dla swojej mamy”. Bracia mówili: „Nie możesz zawieść mamy”. Siostry: „Przestań się wygłupiać, jesteś w odpowiednim wieku”. Nie ustępowałem: „Nigdy się na to nie zgodzę”. Ale któregoś dnia zadzwonił do mnie jeden z moich bliskich i powiedział: „Twoja mama leży w szpitalu, naprawdę jest poważnie chora”.

\*

Ciekawa jestem, ilu synów Azjatów i córek Azjatek miało takie telefony? I ile mam i cioć, babć i dziadków w cudowny sposób ozdrowiało, kiedy zbłąkane dziecko ugięło się i zrobiło to, czego chciała rodzina. Mama Imrana nie była inna. Wcale się nie spieszyła, kiedy pojawił się w sali szpitalnej i zobaczył, że nikt nie czuwa przy jej „łożu śmierci”. Bąknęła, że ma wysokie ciśnienie, i od razu przeszła do rzeczy.

- Jeśli coś mi się dzisiaj stanie, to będzie twoja wina, synu. - Zaczęła jęczeć, pojawiły się łzy. - Gdybym miała dziś umrzeć, jedyne, czego pragnę, to wiedzieć, że się ożeniłeś. Proszę, Imranie, zrób to dla mnie. Uszczęśliw swoją matkę.

Dobrze znam Imrana, wiem, jakie ma wielkie serce, ale nawet gdyby było inaczej, jaki syn oparłby się takiej prośbie? Oczywiście się zgodził i oczywiście mama tak dobrze się poczuła, że mogła wyjść ze szpitala i mu pomachać na pożegnanie, kiedy zaledwie pięć dni później udał się do Pakistanu lotem załatwionym przez braci.

Nie tracono ani chwili. Kiedy tylko Imran dotarł na miejsce, odbył się ślub. Panna młoda była gotowa - podobno czekała właśnie na niego przez całe życie. Rozwahał powiedzenie „nie”, kiedy padnie pytanie, czy wyraża zgodę na poślubienie oblubienicy, ale kiedy nadeszła ta chwila, gdy cała rodzina zebrała się wkoło, zabrakło mu odwagi.

- Wiem, że zabiliby mnie w imię honoru, Jasvinder.

Panna młoda była ładną, inteligentną dziewczyną. Imran miał zawstydzoną minę, spuścił wzrok, kiedy przyznał:

85

- Nie kryła gniewu, gdy jej powiedziałem, że zmuszono mnie do małżeństwa wbrew woli. Nie rozumiała tego, nigdy nie zetknęła się z kulturą Zachodu. Pierwszą noc przesiedzieliśmy, rozmawiając. Płakała i pytała: „Jestem twoją żoną. Co mam zrobić?”. Powiedziałem jej, żeby się nie martwiła. Obiecałem, że zabiorę ją do Wielkiej Brytanii. Musiałem to zrobić, to nie była jej wina, że się pobraliśmy. Zresztą nie miałem wyboru.

Żona Imrana, chociaż doznała rozczarowania i upokorzenia, okazała się dzielna. Obiecała, iż sprawi, by mąż ją pokochał, wie, że kiedy przyjedzie do Wielkiej Brytanii, wszystko się między nimi ułoży. Myliła się jednak. Imran wyjechał po nią na lotnisko razem ze swoją mamą.

- Czułem się zdruzgotany. Pomyślałem, że cokolwiek robię, robię dla swojej rodziny, nie dla siebie.

Zamieszkali z jego matką - nie mieli dokąd się udać - ale okazało się to ponad siły Imrana. Nie potępiam go. Nienawidziłam mieszkać z rodzicami mojego drugiego męża: to poczucie klaustrofobii, bycia obserwowaną przez teściów, to wrażenie, że wszyscy wstrzymują oddechy i nasłuchują, kiedy kładę się do łóżka. W takiej atmosferze nie można nawiązać więzi, nawet jeśli się chce. Po trzech tygodniach Imran się wyprowadził.

To jeszcze nie koniec. Wpływ rodziny jest bardzo silny, Imran krążył tam i z powrotem, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie sytuacji.

Oświadczył żonie: „Za dwa lata podpiszę dokumenty dające ci prawo stałego pobytu, ale nie mogę z tobą mieszkać. Nie martw się, możesz zostać w Anglii, nie odeślę cię do twoich rodziców”.

Powiedział mamie: „Zrobiłem to dla ciebie. Przyjechała tutaj, ale nie mogę z nią być. To nie moja wina, nie dogadujemy się”.

Matki nie interesowało, czy się dogadują, czy nie. Oczekiwała konkretnej decyzji i oświadczyła bez ogródek: „Jeśli zostaniesz z żoną, kupimy wam duży dom. W przeciwnym razie wyprzemy się

ciebie. Jeśli zdecydujesz się na rozstanie z żoną, masz się wynieść stąd i nigdy nie wrócić".

Potrzebował dwóch godzin na podjęcie decyzji i nigdy od niej nie odstąpił. Odpowiedział matce:

86

- Nie chodzi o posiadanie dużego domu. Jak mogę być szczęśliwy, skoro nie kocham tej kobiety? Niech poślubi kogoś innego.

Żona wpadła w histerię, kiedy spakował rzeczy, niwecząc tym samym wszystkie jej oczekiwania i przekreślając ambicje, z którymi dorastała. Jeszcze tego samego dnia się wyprowadził i chociaż żona nadal mieszka w domu jego matki, widział ją tylko raz w ciągu tych siedmiu lat.

- W dniu naszego rozvodu. Poszedłem do domu, oznajmiłem, jakie mam zamiary. Cała rodzina zwróciła się przeciwko mnie. Próbowali mi zrobić pranie mózgu, radzili: „Zamieszkaj ze swoją żoną, jest na miejscu. Załatw to jakoś”. Nie mogłem tego znieść, nacierali na mnie ze wszystkich stron i mówili: „Zrób to, zrób tamto”, aż straciłem panowanie nad sobą i wykrzychałem żonie prosto w twarz: „Rozwodzę się z tobą, rozwodzę się z tobą, rozwodzę się z tobą”.

I było po wszystkim. Rozpłakała się i pobiegła na górę. Wiedziała, że w świetle prawa muzułmańskiego jesteśmy rozwiedzeni.

\*

Imran się skrzywił, opisując, co czuje wobec swojej byłej żony i wobec siebie: poczucie winy, wstyd, złość, żal. Kiedy zalała go fala wspomnień, ukrył twarz w dłoniach. Siedzieliśmy w milczeniu, zasta-

nawiając się nad dwojgiem niewinnych ludzi, którym w imię honoru zniszczono życie. Gdy zobaczyłam, że mu zaczęły drżeć ramiona, usiadłam obok niego.

- To nie twoja wina, Imranie. Dobrze o tym wiesz.

Zesztywniał, kiedy położyłam mu rękę na ramieniu, ale po paru sekundach się odprężył. Był bardzo chudy, skóra i kości; zupełnie jakbym dotknęła wieszaka. Po chwili usiadł prosto: potarł oczy dłońmi i próbował się uśmiechnąć.

- Mama powinna tulić swoje dzieci, prawda? Moja nigdy tego nie robiła. I rzadko się odzywała. Nigdy nie miałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać, tak jak rozmawiam z tobą.

Zanim się poznaliśmy, w życiu Imrana przez całe lata panował chaos. Utracił poczucie własnej wartości. Wciąż się przeprowadzał: z Birmingham do Blackpool, z Rugby do Derby; czasami miał własny pokój („zawsze było w nich lodowato zimno, bo nie mogłem sobie

87

pozwoić na czynsz i elektryczność”), ale najczęściej przemieszkiwał u znajomych, bywało, że spał na leżaku na plaży. Za wykonywaną pracę dostawał gotówkę do ręki, lecz skoro zarabiał cztery i pół funta na godzinę, zawsze brakowało mu pieniędzy; czasami nie miał nawet na jedzenie.

- Miałem w sobie tyle złości, zachowywałem się agresywnie i bywałem przykry dla innych. Dużo piłem i paliłem, żeby uśmierzyć napięcie i zapomnieć o tym, jak żyję.

\*



Wiele młodych kobiet, z którymi mam styczność, właśnie to wymienia jako przyczynę, dlaczego dokonały samookaleczeń. Dzięki rozmowom z nimi wiem, że presja nie pochodzi z zewnątrz, ale rodzi się z próżni, która powstaje, kiedy tracą poczucie własnego ja. Ulgę przynosi nie usunięcie czegoś, ale odzyskanie. Wysłuchanie ich jest początkiem tego procesu, ponieważ w taki sposób znajdują potwierdzenie - często po raz pierwszy po latach - że mają prawo do własnych uczuć, opinii, poglądów, własnej wizji życia.

Kiedy wolno wracaliśmy do biura - chciałam, żeby Imran wiedział, gdzie nas szukać - powiedział:

- Po raz pierwszy od siedmiu lat czuję, że żyję.

Uśmiechnęłam się. W mojej głowie już kiełkował pomysł. Niespełna dziesięć dni wcześniej czytałam raport rządowy, z którego wynikało, że piętnaście procent ofiar wymuszonych małżeństw i zabójstw honorowych to mężczyźni. Zastanawiałam się, czy w działalności Nirvany nie ma luki. A jeśli tak, jak temu zaradzić. I oto, jakby w odpowiedzi na modlitwę, której nie zmówiłam, pojawił się Imran, którego osobiste doświadczenia czyniły idealnym kandydatem na rzecznika mężczyzn w strukturach naszej organizacji.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, zmuszając do zatrzymania się.

- Imranie. Chciałbyś zostać wolontariuszem?

10

Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Sanah, Kiren i Shabana były pierwszymi osobami, o których myślałam każdego ranka. Sanah nie radziła sobie najlepiej.

Dotkliwie dokuczała jej samotność. Powiedziała mi, że dużo czasu spędza na lekturze, ale często zamyka książkę, nie doczytawszy do końca, bo nie może znieść szczęścia - czy nieszczęść - bohaterów. Była na skraju załamania nerwowego i przestała jeść.

- Pochodzę z licznej rodziny, zawsze razem spożywaliliśmy posiłki. Siadaliśmy na podłodze, bo mój tata nienawidził stołów: „Nie jesteśmy białymi ludźmi, inaczej się zachowujemy” - mówił. Zwykle siedział ze skrzyżowanymi nogami. Bardzo lubiłam posiłki w gronie rodziny, Jas, teraz nie mogę się zmusić do jedzenia w samotności. Nienawidzę jeść.

Sanah tylko raz miała kontakt z rodziną: kiedy jej jedyna siostra poinformowała ją, że kuzyn dał zdjęcie Sanah kolegom, żeby mogli ją odszukać.

- Nie lubię teraz wychodzić z domu. Boję się, że za każdym razem natknę się na nich, że na mnie czyhają. Czuję się bezpieczna tylko w domu.

A po jedynej rozmowie z mamą była zdruzgotana. Kiedy mi o tym opowiadała, chwilami nie mogłam zrozumieć, co mówi, bo słowa ginęły w szlochu.

- Oświadczyła, że już nie jest moją matką. I że zawsze mnie nienawidziła.

Próbowałam ją pocieszać, zapewniać, że mama tylko chciała się jej odpłacić za jej ucieczkę z domu, ale wiem, że to marna pociecha.

89

Można zachować spokój, nie załamać się, usłyszawszy coś takiego od własnej matki?

Shazia pojechała do niej w odwiedziny i uważam, że jej wizyta dobrze wpłynęła na Sanah, bo chyba uwierzyła w to, co zawsze powtarzam: przyjaciele mogą nam zastąpić rodzinę. Już wtedy Sanah mi mówiła, że jestem dla niej jak matka, ale potrzebowała też przyjaciółki, a Shazia zaproponowała jej właśnie to.

- Bardzo się bałam spotkania z nią; myślałam sobie: a jeśli uzna mnie za bezwstydnicę, kiedy zobaczy z papierosem? - zwierzyła się Sanah, kiedy potem do mnie zadzwoniła. - Ale... - Wybuchnęła śmiechem. - Pierwsze, co zobaczyłam, to jak Shazia wyjmuje papierosa.

Na Sanah duże wrażenie wywarła też otwartość Shazi i jej ufność, chociaż dopiero co się poznały.

- Otworzyła się przede mną, opowiedziała o sobie, chociaż musiała zdawać sobie sprawę, jakie to niebezpieczne. Mogłam przecież być członkiem jej rodziny, a jednak obdarzyła mnie zaufaniem. Nie sądzę, by coś przemilczała. To było dla mnie bardzo ważne.

\*

Byłyśmy w owym czasie liną ubezpieczającą dla Sanah i myślę, że to samo można powiedzieć o Kiren, która poznawszy smak niezależności, zachowywała się zupełnie inaczej niż Sanah. Kiedy nagle stała się wolna, doszły u niej do głosu różne emocje, można by je nazwać złymi i szalonymi. Jakby wynagradzała sobie lata, gdy rodzice nią poniewierali. Niedoszli teściowie wydzwaniali do niej z pretensjami, że okryła ich hańbą.

- Oświadczyłam, że nie ma mowy, bym poślubiła ich syna. Po-

ślubię tego, kogo pokocham. A kiedy zaczęli mi grozić, odparłam:  
w takim razie znajdźcie mnie. - Kiren roześmiała się na wspomnienie  
własnej odwagi.

Ponieważ zamierzała wnieść oskarżenie przeciwko rodzicom,  
policja objęła Kiren programem ochrony świadków, dostała nowe  
nazwisko i przeniesiono ją z Doncaster do Fort William. Z czasem  
mieli jej zapewnić całkiem nową tożsamość, a na razie powinna  
zerwać więzi ze starym światem, w tym ze mną.

90

- Tego nie zrobię, Jas. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę poroz-  
mawiać, poza tym nie podoba mi się tutaj, to zadupie. Jestem jedyną  
Azjatką w promieniu wielu kilometrów; kiedy wychodzę, czuję się  
jak kosmitka.

Chciałam jej poprawić humor, żeby zobaczyła wszystko w jaśniejs-  
szych barwach, więc poprosiłam, by mi opisała, co widzi za oknem.

- Nic! - krzyknęła. - Za oknem nie ma nic poza cholernymi orłami.  
Nie ma na czym zatrzymać oka, nie ma z kim porozmawiać. Czuję  
się tu jak w więzieniu, gorzej niż w domu. To się nie sprawdza, Jas.  
Nie chcę być objęta programem ochrony świadków, nie chcę wnieść  
oskarżenia przeciwko moim rodzicom. Chcę zapomnieć o przeszłości  
i zacząć nowe życie.

Rozumiałam, dlaczego tak się czuje, tak samo jak rozumiałam  
frustrację policji, kiedy dziewczyny narzekały, jak okrutnie obchodzą  
się z nimi rodzice, a potem nie chciały wnieść oskarżenia. Niedaw-  
no byłam tego świadkiem. Zajmując się sprawą Shabany, biedna

sierżant Jenkins czuła się tak, jakby związano jej ręce na plecach.

Wiem, policji trudno zrozumieć, że takie dziewczyny jak Shabana czy Kiren wciąż kochają swoje rodziny, mimo iż tyle przez nie wycierpiały. Trudno wytłumaczyć, że wbrew logice pragną pojednać się z bliskimi i są przekonane, iż ingerencja policji to uniemożliwi.

Wydaje się irracjonalne, że wstawiłam się za Kiren i policja zgodziła się przywieźć ją do Sheffield, a następnie, ponieważ dziewczyna odmówiła wniesienia oskarżenia przeciwko rodzicom, zamknięto jej sprawę. Kiren niewątpliwie się z tego ucieszyła, ale bardzo szybko wpakowała się w nowe tarapaty.

Kłopot z dziewczynami, które miały nadopiekuńczych rodziców - a dotyczy to większości Azjatek - wynika z tego, że nie mają pojęcia, jak sobie radzić z wolnością, kiedy ją uzyskają, szczególnie gdy - jak Kiren - przez lata trzymano je pod kluczem. Kiren przypominała dziecko, które zostawiono samo w sklepie ze słodyczami. Obiema rękami czerpała z wolności. Obcięła włosy, przedłużyła paznokcie, chodziła do klubów z innymi, nowo poznanymi dziewczynami.

- Wcześniej mnie to przerażało. Nie umiałam tańczyć. Nigdy nie miałam w ustach alkoholu. Mój Boże, Jas, wprost nie mogę uwierzyć, ile traciłam! I nigdy mężczyźni nie okazywali takiego zainteresowania

91

moją osobą. Dziwne uczucie. Kiedy się na ciebie gapią, czujesz się skrepowana, ale zarazem jest ci miło.

Okazało się, że łatwiej jej było pozbyć się nieśmiałości niż naiwności dziecka. Kiedyś zadzwoniła do mnie wczesnym rankiem i od razu

się zorientowałam, że gdzieś zniknęła jej rezolucja, że połyka łyżki pokorzenia. Powiedziała, że poprzedniego wieczoru rozmawiała w nocnym klubie z jakimiś mężczyznami, którzy sprawiali wrażenie „naprawdę miłych, sympatycznych”. Kiedy więc zaproponowali, że odwieżą ją do domu, zgodziła się bez chwili wahania.

- O drugiej nad ranem wsiadłaś do samochodu z nieznanymi mężczyznami? Kiren, co ty sobie wyobrażałaś?

- Myślałam, że mnie odwieżą prosto do schroniska, Jas. Nie de-nerwuj się, kazałabym im zatrzymać się gdzieś w pobliżu, nie ujawniałabym im, gdzie mieszkam...

- Nie o to chodzi, Kiren. Martwię się o ciebie, nie o schronisko.

Nic nie wiedziałaś o tych mężczyznach. Ilu ich było?

- Trzech. Ale mówiłam ci, Jas, w klubie wydawali się całkiem sympatyczni. Stawiali mi drinki i byli bardzo grzeczni. Dopiero kiedy znaleźliśmy się w samochodzie...

Nagle znów zaczęła szlochać. Minęła chwila, zanim mogła mówić.

- Nie od razu zorientowałam się, że nie pojechali w stronę schroniska, tylko głównej drogi wylotowej z miasta. Zwróciłam im uwagę, że jadą w złym kierunku, ale...

Tym razem musiałam zapytać, by przerwać jej milczenie.

- Co się stało, Kiren? Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

- Mężczyzna siedzący obok nagle złapał mnie za... No wiesz za co.

I zaczął całować w usta, przygniatając całym ciężarem ciała. To stało się zupełnie niespodziewanie, Jas, i było straszne.

- Co zrobiłaś?

- Zamarłam. Coś mi mówiło, że powinnam walczyć, odepchnąć go, ale nie mogłam zrobić żadnego ruchu. Zupełnie się nie spodziewałam czegoś takiego, Jas. Byłam w szoku.

Nie miałam odwagi zadać kolejnego pytania, tak bałam się odpowiedzi, ale zmusiłam się do wykrztuszenia przez ściśnięte gardło:

- Co się stało potem?

97

- Zabrał ręce. Ten, który siedział za kierownicą, zatrzymał samochód, zaczęli rozmawiać między sobą, ale mówili tak szybko, że nie mogłam zrozumieć. Potem ten obok mnie pochylił się, otworzył drzwiczki i wypchnął mnie z samochodu. Upadłam na chodnik i uderzyłam się w łokieć...

- Dzięki Bogu, że tylko tyle. - Ulga sprawiła, że zrobiło mi się słabo. Serce znów zaczęło normalnie bić. Powiedziałam: - Kiren, przestań płakać. Jeśli stłuczony łokieć to jedyna pamiątka po tej przejażdżce samochodem, nie wiesz, jakie miałaś szczęście. Groziło ci poważne niebezpieczeństwo. Będziemy musiały porozmawiać, zanim znów wybierzesz się do klubu. Słuchasz mnie? - Wygłosiłam piętnastominutowe kazanie, w którym zawarłam wszystkie matczyne rady, jakich udzieliłam Lisie przez te wszystkie lata, odkąd zostałam matką. Mam nadzieję, że przynajmniej część moich uwag wzięła sobie do serca.

Przygoda Kiren była nauczką również dla mnie: kiedy później nad tym myślałam, uświadomiłam sobie, że bardzo łatwo - i jakie

to błędne założenie - uznać, iż nauczenie tych młodych kobiet, jak się o siebie troszczyć, to tylko kwestia upewnienia się, czy potrafią gotować, wiedzą, jak wystąpić o zasiłki i płacić rachunki.

Kiedy uciekają z domu, ich niewinność i nieznajomość świata czynią z nich istoty bezbronne. Tamtego ranka uzmysłowiłam sobie, że służenie radą takim dziewczętom jak Kiren, bycie dla nich „starszą siostrą” może się stać jednym z zadań Friendship Network, Sieci Przyjaciół, nad której utworzeniem rozmyślałam od miesięcy.

W tamtym okresie pomysł dopiero przeradzał się w coś konkretnego; zastanawiałam się nad systemem wsparcia dla młodych kobiet, które codziennie zwracały się do Nirvany, tych, które niedawno uciekły z rodzinnego domu, wyklętych przez rodzinę. Byłam pewna, że takie wsparcie powinno mieć zasięg ogólnokrajowy. Jednostka do spraw Wymuszonych Małżeństw, powołana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych jako instytucja zapewniająca kompleksową pomoc zarówno w kraju, jak i za granicą młodym Brytyjkom, zmuszanym do małżeństwa, zgodziła

91

się sfinansować szkolenie dla pierwszych dziewiętnastu przyjaciół/mentorów. Z własnego doświadczenia wiedziałam, że będzie to użyteczna inicjatywa: kiedy parę lat temu zaczynałam życie od nowa, udało mi się to tylko dlatego, że znalazłam przyjaciół - osoby takie jak Trish. Ich zaangażowanie i dobroć pomogły mi wypełnić pustkę, jaka powstała wokół mnie, kiedy odtrąciła mnie rodzina.

Shabana też powinna skorzystać z pomocy sieci, pomyślałam,



czytając e-mail od niej, w którym opisywała swoją aktualną sytuację.

W tamtym okresie zasypywała e-mailami mnie i policję. Wszystkie były długie i zawile, jakby chciała zawrzeć w nich ogół swych przemyśleń.

Dostrzegałam w nich wołanie o pomoc, sposób na wyrażanie lęków i próbę zapanowania nad nimi.

Kiedy sierżant Jenkins opowiedziała mi o Shabanie, zreferowałam jej przypadek Brentowi Hyattowi. Niedawno, za jego namową, miejscowa jednostka policji pobrała odciski linii papilarnych Shabany i próbki DNA, a także nagrała na wideo jej oświadczenie, w którym opisuje swoje położenie. Shabana zgodziła się na to pod jednym warunkiem: że zostanie to wykorzystane, tylko jeśli „coś pójdzie nie tak”.

Wiedziałam również, że opracowano plan zabrania jej z domu i umieszczenia w schronisku, ale, ku rozczarowaniu policji, dziewczyna wciąż odmawiała zgody na wprowadzenie go w życie. Czekwała, by mieć pewność, że kiedy wyprowadzi się od rodziców, jej tożsamość będzie chroniona; w szczególności domagała się zmiany numeru ubezpieczenia społecznego, pewna, że rodzice spróbują ją odszukać, posługując się nim.

Zaczęłam się bać, że będzie zbyt długo zwlekać. Ze względów bezpieczeństwa zrezygnowała ze znajomości z Johnem Hendersonem, ale odrzuciła również dwóch kolejnych kandydatów do ręki, wybranych przez matkę, co jak zwykle doprowadzało do awantury. Kiedyś siostra zagroziła, iż wynajmie paru mężczyzn, żeby ją zgwałcili. A ojciec wyciął z gazety artykuł, opisujący zabójstwo honorowe, i zostawił go na jej łóżku. Wyobraźcie sobie życie w atmosferze takich gróźb, codzienne

stykanie się z taką wrogością; wcale się nie zdziwiłam, kiedy w swoich e-mailach zaczęła napomykać o samobójstwie.

Nagle sparaliżował mnie strach o nią. Wysłałam do niej SMS-a z pytaniem, kiedy mogę zadzwonić; musiałam się upewnić, że jest w domu

94

i nic jej nie grozi. Nigdy nie dzwoniłam do Shabany bez uprzedzenia.

Tak sobie życzyła i nie chciałam nic robić wbrew jej woli. Chociaż nie zawsze to było łatwe. Kilka razy nie odebrała telefonu mimo wcześniejszego zapewnienia, że to zrobi, i zastanawiałam się, coraz bardziej zaniepokojona, co się mogło wydarzyć, czy wszystko w porządku. „Gdzie byłaś?” - pytałam kilkakrotnie niczym niespokojna matka, której córka gdzieś się zasiedziała. Zawsze była niefrasobliwa, jak zwykle bywają córki w takich razach. „Przepraszam, coś mnie zatrzymało” albo „Coś mi wypadło”.

Musiałam powściągać irytację, przebijającą przez uczucie ulgi.

Musiałam sobie przypominać, że to nie moja córka, tylko dwudziestoosmioletnia kobieta, której nigdy nie widziałam na oczy.

11

Na początku 2007 roku otrzymałam od lorda Lestera, liberalnego członka Izby Lordów, zaproszenie na drugie czytanie ustawy o wymuszonych małżeństwach; wystąpił z inicjatywą uchwalenia aktu prawnego, który chroniłby obywateli przed takimi praktykami. Naturalnie przyjął zaproszenie; ta sprawa leży mi na sercu. Nie twierdzę, że trzeba ustanowić przepisy prawne, by zmienić sposób myślenia ludzi, ale prawdą jest, że gwałtu w małżeństwie nie uważano

za coś niewłaściwego, póki nie zakazało tego prawo. Podobnie osoby, z którymi się spotykamy w Karmie Nirwanie, są święcie przekonane, że wymuszone małżeństwo to coś nieuniknionego i -w powszechnym przekonaniu -jest dopuszczalne. Miałam nadzieję, że projekt ustawy lorda Lestera zmieni nastawienie do tej kwestii.

Nigdy wcześniej nie byłam w Izbie Lordów i muszę przyznać, że robi wrażenie, te szeregi ław, wybitych czerwoną skórą, okazały tron królowej. Zabrałam ze sobą młodą kobietę, którą niedawno Jednostka do spraw Wymuszonych Małżeństw uchroniła przed ślubem ze znacznie starszym od niej krewnym z Pakistanu. Próbowwała rozpocząć nowe życie w Londynie - daleko od rodzinnego domu w Newcastle - i miałam nadzieję, że przysłuchiwanie się debacie pomoże jej się otrząsnąć, uwierzyć, że wszystko jest możliwe i nie należy się bać marzeń. Obie byłyśmy trochę onieśmielone. Siedziałyśmy sztywno wyprostowane, mówiłyśmy szeptem, bo głośna rozmowa dowodziłaby braku szacunku.

Lord Lester przedstawił pokrótce kwestię wymuszonych małżeństw dokładnie tak, jak ja bym to zrobiła. Powiedział, że to forma przemocy

96

w rodzinie i zniewolenia seksualnego, podkreślił, że istnieje bezpośredni związek między wymuszonymi małżeństwami a zabójstwami honorowymi. Podczas debaty z satysfakcją słuchałam ludzi mówiących to, co głosiłam od lat, na przykład o konieczności stworzenia infrastruktury dla wsparcia tej inicjatywy, w tym obowiązkowych szkoleń dla policjantów i pracowników opieki społecznej, mających

na co dzień do czynienia z ofiarami. Pomyśleć, jak inaczej wyglądałaby wtedy sytuacja Kiren podczas pierwszej ucieczki z domu.

Baronessa Butler-Sloss przedstawiła niepokojące dane Towarzystwa Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci, z których wynikało, że w ciągu jednego roku dziesięć procent telefonów na linię zaufania dla dzieci azjatyckiego pochodzenia dotyczyło wymuszonych małżeństw. Lord Ahmed oświadczył, że:

...Żadna religia - chrześcijaństwo, judaizm, hinduizm, sikhizm czy islam - nie zezwala na takie praktyki. Przeciwnie, potępia je.

Udzielił również jasnej odpowiedzi na pytanie, które zawsze jest mi zadawane, dlaczego taki duży odsetek Azjatów nigdy nie przyswoił sobie ideałów kultury brytyjskiej. Powiedział, że dzieje się tak dlatego, iż wiele z aranżowanych małżeństw, nie mówiąc już o tych wymuszonych, zawieranych jest z osobami mieszkającymi za granicą:

...Po zawarciu małżeństwa chłopak czy mężczyzna, który przyjechał z zagranicy, przez dwa lata zachowuje się wzorowo. Po dwóch latach na świat przychodzi dziecko. A potem nagle dochodzi do rozpadu małżeństwa, kiedy mężczyzna ma już obywatelstwo albo prawo pobytu w naszym kraju. Co się dzieje później? Rozwodzi się i sprowadza sobie nową żonę z Indii, Pakistanu czy Bangladeszu. To znaczy, że społeczność staje się coraz bardziej konserwatywna, zamiast przyswajać sobie normy obowiązujące w Wielkiej Brytanii.

Debata była długa, ale tamtego wieczoru wracałam do domu pełna optymizmu. Po raz pierwszy słyszałam dyskusję o tym, z czym zmagam się codziennie, prowadzoną na wysokim szczeblu, i miałam nadzieję,

że to początek istotnej zmiany. Następnie projektem lorda Lestera zajął się rząd i dokonał w nim pewnych korekt. Na koniec ustawa w sprawie wymuszonych małżeństw otrzymała sankcję królewską: dzięki temu sądy mogą wydawać zarządzenia albo nakazy, by nie dopuścić do zawarcia wymuszonego małżeństwa albo udaremnić jego zawarcie. Uznałam to za pierwszy krok, ale według mnie trzeba się jeszcze zająć kwestią uznania tego proceduru za niezgodny z prawem.

\*

Wydanie mojej autobiografii, Zhańbiona, przyniosło lawinę zaproszeń na wszelkiego rodzaju spotkania. Odkąd Karma Nirvana rozpoczęła działalność, modliłam się o trybuny, z których mogłabym popularyzować jej przesłanie, ale na początku ubiegłego roku czasami miałam wrażenie, że karuzela zbyt szybko się kręci. Pod koniec każdego wystąpienia, nawet jeśli był przewidziany czas na pytania, zawsze ustawiała się kolejka ludzi; mnóstwo osób chciało porozmawiać ze mną osobiście.

Szczególnie jeden przypadek zapadł mi głęboko w pamięć. Byłam w Southall, przemawiając do około dwustu osób, w większości starszych Azjatek; przywiodły mi na myśl wspomnienia o mojej mamie. W pierwszej chwili pomyślałam: Nikt z tu obecnych mnie nie zrozumie, jeśli będę mówić po angielsku; przemawiałam w języku pendzabskim. Kiedy powiedziałam, że chcąc uniknąć małżeństwa, do którego zamierzali mnie zmusić rodzice, uciekłam z chłopakiem należącym do innej kasty -)&jat, z chamar - na sali rozległ się stłumiony okrzyk zgromy. Kobiety spoglądały na siebie, zgodne w okazywaniu

dezaprobaty. Zupełnie jakbym wymierzyła im policzek.

Część oficjalna wieczoru zakończyła się o wpół do ósmej, a ponieważ jeszcze tego dnia musiałyśmy wrócić do Derby, Shazia przypomniła mi, że o ósmej powinnyśmy wyjechać. Okazało się to jednak niemożliwe. Kiedy wreszcie udało nam się wyrwać, było wpół do jedenastej i przysięgam, że wysłuchałam historii połowy obecnych tam kobiet. Shazia poprosiła, by ustawiły się w kolejce i czekały cierpliwie, dużo w wyciągniętych, wełnianych swetrach, zapiętych pod samą szyję, włożonych na tradycyjne azjatyckie stroje. Za każdym razem kiedy unosiłam wzrok i widziałam kolejną kobietę, jak ściska torbę na zakupy, jak szurając nogami, podchodzi do mnie, jaka jest stara i spracowana, serce mi się ściskało. Po raz pierwszy od wielu lat ogarnęła mnie tęsknota za mamą.

Tamtego wieczoru wysłuchałam mnóstwo smutnych opowieści o długim, samotnym życiu u boku męża, obcego człowieka, do małżeństwa z którym zmuszono je, gdy były nastolatkami, i z którym nigdy nic ich nie łączyło. Słuchałam opowieści o porzuceniu, wyparciu się, stracie i pragnieniu powrotu do „domu”. Jakaś kobieta tak blisko się do mnie nachyliła, że czułam na policzku miękkie włoski na jej brodzie, gdy szeptała mi na ucho, jak rodzina jej męża rozprawiła się z nieposłuszną siostrzenicą. Innej łzy płynęły po pomarszczonej twarzy, kiedy mamrotała, że żałuje, iż cztery córki zmusiła do małżeństwa. Atmosfera była ciężka od brzemienia ich długo powstrzymywanych, niewypowiadanych skarg, ale było też słycać ciche westchnienia, mam nadzieję ulgi.

Czasami czułam, że opowiadając swoją historię, otworzyłam śluzę i uwolniłam strumień przepelniony cierpieniem, gdziekolwiek się pojawiłam. Zhańbiona spowodowała nieodpartą chęć mówienia, rozmawiania, dzielenia się przeżyciami pełnymi cierpień. Każdego ranka moja skrzynka była pełna e-maili, opowiadających losy kolejnych osób; przeglądałam je pospiesznie, bo ciągle' brakowało mi czasu, a w głowie kłębiły się historie z życia innych ludzi.

12

Kiedy zaczęłam jeździć z odczytami, w te dni, gdy musiałam się dokądś udać, zawsze wychodziłam z domu późno, a moja sypialnia wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado. Wciąż to widzę: drzwi szafy otwarte, części garderoby wystające z szuflad, stos ubrań na łóżku, buty rozrzucone na podłodze, i ja, kręcąca się jak derwisz; przymierzam czarny top, potem niebieski, zastanawiam się, czy żakiet nie będzie jednak lepszy, i może spódnica, a nie spodnie, przeklinam, zobaczywszy oczko w rajstopach. Dzieci jadły płatki na śniadanie, a ja przymierzałam więcej strojów niż Kate Moss podczas Tygodnia Mody i zadawałam sobie pytanie: Może być? Tak lepiej? A może tak? Nigdy nie byłam pewna, czy dobrze wybrałam, póki Maria nie zaczęła się interesować strojami. Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Teraz ona decyduje, co mam włożyć, dobiera dodatki i jeśli mam więcej niż jedno spotkanie i wyjeżdżam na kilka dni, pakuje za mnie walizkę. Teraz zdarza się to częściej, bo jeżdżę nie tylko po kraju, ale uczestniczę również w międzynarodowych konferencjach. Pierwsza odbywała się w Dubaju i była poświęcona wymuszonym małżeństwom

i wprowadzeniu dzieci. Pamiętam dzień, kiedy tam leciałam. Stałam w hali odlotów na Heathrow i zastanawiałam się, jakim cudem po upływie dwunastu lat, które zdawały się przemknąć z prędkością pociągu ekspresowego, dzięki Karmie Nirvanie nie siedzę na zapadniętej kanapie w pokoju od ulicy, tylko jestem na lotnisku, furtce do szerokiego świata.

Poczucie nierzeczywistości jeszcze się nasiliło osiem godzin później, kiedy jechałam do hotelu klimatyzowaną taksówką lśniącymi ulicami Dubaju; kiedy żołądek mi się ścisnął, gdy sunęłam windą na dwudzieste drugie piętro do swojego pokoju; kiedy stanęłam na progu i gapiłam się oszołomiona na ogromne łóżce, przykryte jedwabiem.

Dla moich rodziców „wycieczka” oznaczała jednodniowy wypad z dziećmi i dalszymi krewnymi do Markeaton Park na piknik. Znajdował się zaledwie pół godziny jazdy samochodem od szeregowego domku, w którym mieszkaliśmy, a jednak pamiętam tylko dwa, może trzy takie pikniki podczas szesnastu lat, spędzonych w domu rodzinnym. W naszym zamkniętym świecie to były wydarzenia, coś, co się planowało i czym się delectowało, wyjątkowy czas w naszym spokojnym, monotonnym życiu.

Zdjęłam buty i stanęłam na bosaka na zimnej marmurowej posadzce w łazience. Duże, okrągłe zwierciadło otaczały żarówki, niczym lustro w garderobie jakiejś hollywoodzkiej gwiazdki. Spoglądałam w nie, próbując rozpoznać siebie w tym luksusowym hotelowym wnętrzu. Gdybym poślubiła mężczyznę, którego wybrała dla mnie



mama, Markeaton Park mógł wciąż być najdalszym punktem na moim horyzoncie; teraz pewnie siedziałabym w domu, obierając cebulę, i planowała kolejny wyjazd tam, atrakcję letnich wakacji, wylegiwanie się na zaniedbanym trawniku. Ale nie poślubiłam tamtego mężczyzny i dwadzieścia pięć lat później znalazłam się tutaj, tysiące kilometrów od Derby, jako szefowa organizacji dobroczynnej, podróżująca służbowo, gość pięciogwiazdkowego hotelu.

- Co ja tu robię? - zapytałam na głos, bo poczułam się nieswojo w niczym niezmaconej ciszy. Karma Nirvana ze swoim zatłoczonym biurem, z niekończącymi się telefonami od nieznanymi osób, wypowiedających szeptem swoje lęki, swoje błagania o ratunek, wydawała się bardzo odległa. W jaki sposób moje pragnienie niesienia pomocy takim kobietom jak Robina i moja mama przeniosło mnie na drugi koniec świata do eleganckiego, sterylneho hotelu?

Nagle zrobiło mi się duszno. Mam klaustrofobię. Złapałam kapelusz od słońca i po chwili już byłam na tarasie na dachu. Musiałam wyjść z pokoju. Przyleciałam do Dubaju, żeby dyskutować o najlepszych sposobach postępowania, podzielić się z delegatami z Islamabadu, Bombaju i kto wie skąd jeszcze swoją wiedzą o wymuszonych mał-

101

żeństwach. Ale dlaczego? Co to ma wspólnego z Shabaną czy Kiren, kobietami, którym byłam potrzebna w kraju?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie pojawiła się kobieta. Szła korytarzem w stronę windy za sprawiającym wrażenie zamożnego mężczyzną i dwoma nastoletnimi chłopcami, wszyscy trzej mieli na so-

bie markowe ubrania uszyte według najnowszej, zachodniej mody. Śmiali się i żartowali. Ona, żona i matka, milczała, nikt nie zwracał na nią uwagi, kiedy dreptała dziesięć kroków za nimi w pełnej burce, z głową pochyloną w taki sposób, że - chociaż nie widziałam twarzy - musiała mieć oczy utkwione w podłogę. Wszystko, od jej zgarbionych pleców do pociągania nogami, świadczyło o przygnębieniu. Podcięto jej skrzydła i uwieziono w złotej klatce. W porównaniu z nią Kiren i Sanah były szczęściarami: przynajmniej udało im się uciec.

\*

Konferencja zakończyła się sukcesem. Zebraliśmy się, żeby rozmawiać o najlepszych formach działania, delegaci wydawali się zainteresowani tym, co miałam do powiedzenia. Ten wyjazd stanowił dla mnie potwierdzenie, że chociaż Karma Nirvana jest lokalną inicjatywą, jej wpływy sięgają daleko poza Derby. Coraz więcej podróżuję.

Byłam w Norwich, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Yasmin.

Zauważyłam ją w tłumie osób, do których mówiłam; zwróciła moją uwagę, siedziała zupełnie nieruchomo. Większość ludzi wierci się, słuchając kogoś, chrząka, krzyżuje nogi, sięga po coś do torebki.

Yasmin przypominała posąg. Za każdym razem kiedy spoglądałam w jej stronę, widziałam, że się we mnie wpatruje. Jej twarz przyciągała uwagę.

Koniecznym było z nią porozmawiać. Nie miałyśmy zbyt wiele czasu; musiałam zdążyć na pociąg, a Yasmin, jak się okazało, pracowała w ośrodku dla kobiet i powinna tam wrócić. Mimo to udało nam się zamienić parę słów. Opowiedziała mi o sobie: uciekła z domu

dziesięć lat temu i wciąż ukrywa się przed rodziną. Była przekonana, że jej szukają, i żeby nie trafili na jej trop, przeprowadzała się dziewięć razy.

- Nie wiedziałam, że są inne kobiety w takiej samej sytuacji jak ja, Jasvinder - powiedziała. - Nigdy nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby

102

zrozumieć, co przeszłam. Chciałabym dłużej z tobą porozmawiać...

Czy to możliwe?

Umówiliśmy się za dwa tygodnie w pubie. Przyszłam pierwsza.

To był staromodny lokal, z okiennymi szybkami w ołowianych ramach, powleczoną werniksem podłogą, skórzanymi krzesłami i ławami, poplamionymi i zniszczonymi. Przy barze rozmawiało czterech czy pięciu mężczyzn w roboczych kombinezonach, młody chłopak i dziewczyna stali koło automatu do gry, dwóch chłopaków grało w strzałki, jakieś starsze małżeństwo siedziało, trzymając się za ręce. Znalazłam stolik w kącie i zamówiłam małego guinnessa. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy Yasmin weszła do pubu. Głowy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

Yasmin jest bardzo wysoka i porusza się z gracją. Natura obdarzyła ją ciemnymi, długimi włosami i -jak Kiren -jasną cerą, typową dla Pasztunów. Myślę, że ze względu na wzrost i kształt twarzy przypomina Robinę.

- Opowiedz mi więcej o sobie - poprosiłam i jakbym odkręciła kurek. Trzy godziny później z jej ust wciąż płynął potok słów. Przez sześć lat dusiła w sobie strach, wstyd, ból, gniew, żal i - można by rzec

- swoją prawdziwą naturę, pogodną, żywiołową i niezłomną. Przez sześć lat czekała, żeby opowiedzieć komuś swoją historię, i znalazła we mnie wdzięczną słuchaczkę.

Zacząła od swojego ojca, imigranta w pierwszym pokoleniu, który w niedużej nadmorskiej miejscowości prowadził małe przedsiębiorstwo handlowe, oferujące urządzenia elektryczne. Był najstarszy wśród lokalnej społeczności i założył pierwszy w mieście klub dla Azjatów.

- Ponieważ odgrywał dominującą rolę wśród miejscowych muzułmanów, mieliśmy kontakt nie tylko ze społecznością pakistańską, lecz także z Arabami, Turkami, przybyszami z Bangladeszu. Ucieczką upokorzyłam go w oczach wszystkich tych ludzi.

Yasmin dorastała, darząc ojca respektem; budził w niej lęk.

- Gdy wszedł do jakiegoś pomieszczenia, w którym siedziałam, natychmiast wstawałam. Nieważne, czy było tam pięćdziesiąt wolnych miejsc, i tak zrywałam się na równe nogi.

W domu rozmawiali wyłącznie w języku paszto i przestrzegali bardzo surowych zasad; właściwie - powiedziała - dorastała w dwóch

103

krańcowo różnych światach. W szkole była niesforną i lubianą Angielką, w domu - cichą, uległą i posłuszną córką muzułmanką.

- Było mi bardzo trudno, wpadałam w furję, kiedy słyszałam, jak koleżanki planowały pójście na basen albo na zakupy w weekend, a nawet na zajęcia w szkolnych kółkach zainteresowań. Podczas pierwszego roku nauki proponowały mi, żebym poszła z nimi, ale potem przestały, wiedząc, że to nie ma sensu.

Całe weekendy spędzała w domu, z wyjątkiem dwóch godzin w soboty i niedziele, kiedy pracowała w sklepie ojca. To były jej chwile wolności, chociaż każdy ruch Yasmin bacznie obserwowano.

- Tata nie chciał, żebym rozmawiała z klientami, a nawet na nich patrzyła. Siedział na obrotowym krześle za ladą, a ja obsługiwałam kasę. Kiedy ktoś mnie zagadnął, starałam się jak najszybciej zapakować do torby jego zakupy, cały czas modląc się w duchu: „Proszę, nie odzywaj się do mnie, proszę, weź swoje zakupy i idź sobie”. Jeśli tata by się zdenerwował tym, że rozmawiam z klientami, odebrałby mi jedyną odrobinę wolności. Wtedy już nic by mi nie zostało, prawda? Chociaż nigdy o tym nie rozmawiano, Yasmin i jej siostry wiedziały, że rodzice zamierzają je wydać za mąż. Kiedy najstarsza siostra, Madeeha, miała trzynaście lat, wysłali ją na rok do Pakistanu.

- Wszystkie miałyśmy spędzić tam trochę czasu, to dobrze wyglądało w życiorysie panny na wydaniu.

Przez całe swoje dziewczęce lata Yasmin musiała dbać, żeby jej życiorys wyglądał jak najlepiej: jeśli do domu przychodzili znajomi na podwieczorek, jej obowiązkiem było wszystko przygotować, ładnie ułożyć herbatniki, podać napoje, oczywiście w starannie zawiązanym hidżabie na głowie. Jeśli pojawiali się z dziećmi, musiała je zabawić: „Ach, tylko spójrzcie, jak dobrze sobie radzi z dziećmi”. Nawet przedmioty, których uczyła się w szkole średniej, wybrał za nią ojciec z myślą o zamążpójściu córki. Chciała chodzić na zajęcia z tańca i aktorstwa, ale on zdecydował, że będzie się uczyć szycia. „Widzisz, teraz umiesz również szyć”. <

Małżeństwo było czymś bardzo ważnym, a zarazem wiązało się ze sporymi kosztami, kiedy się miało cztery córki. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Yasmin wiąże się ze wsiadaniem do samochodu - „ja, moje siostry i moi dwaj bracia siedzieliśmy ściśnięci

104  
z tyłu" - i jazdą do Southall, do jubilera z Azji. Spędzali tam godziny, podziwiając złote bransoletki, kolczyki, naszyjniki, a potem targowali się o ceny.

- Mama kupowała masę rzeczy, a po powrocie do domu szła na strych, gdzie w panującym półmroku otwierała wielgachną walizkę. W środku błyszczała cała ta biżuteria, którą kupowała latami, żeby być gotowa, gdy nadejdzie pora przygotować dla nas posag. Walizka była zamykana na kłódkę, kluczyk do niej wkładała do malutkiego woreczka, który wsuwała pod stanik.

Mimo wszystko Yasmin od najmłodszych lat była buntowniczką. W szkole podstawowej zawieszono ją w prawach ucznia za palenie papierosów. Przypomniała mi się Sanah, kiedy Yasmin powiedziała:

- Tylko tam mogłam być nieposłuszna. Siedem godzin w szkole to wszystko, co miałam, i pragnęłam maksymalnie wykorzystać ten czas.

W jedenastej klasie zaczęła się urywać z zajęć; podczas któregoś wypadu do miasta poznała Abdula. Miała piętnaście lat, on trzydzieści kilka, był znany policji, a przede wszystkim - czarnoskóry.

- Dla Pasztunów czarnoskóry to ktoś najgorszy z najgorszych - szepnęła.

Po ukończeniu szkoły średniej Yasmin udało się nakłonić rodziców, by pozwolili jej pójść na kurs dla sekretarek w miejscowym college'u. Abdul mieszkał w pobliżu i prawie cały czas spędzała u niego. Przychodziła na uczelnię w długiej spódnicy i bluzce z długimi rękawami, ale w toalecie przebierała się w dżinsy i bawełnianą koszulkę, a potem urywała się z zajęć. Zachowywali ostrożność. Nigdy razem nie pokazywali się na ulicy, kiedy jechała jego samochodem, opuszczała oparcie fotela, rzadko robili to, co zwykle robią młodzi, na przykład chodzili do kina.

- Byliśmy razem tylko w jego mieszkaniu. Nawet gdyby moi rodzice nie dowiedzieli się o nas, i tak nasz dziwny związek nie wytrzymałby próby czasu.

Jakoś się jednak dowiedzieli. Yasmin i Abdul zaczęli lekceważyć ryzyko tego, że ktoś ich zobaczy, i wkrótce w małej społeczności zaczęły krążyć plotki. Kilka osób podzieliło się swoimi podejrzeniami z rodzicami Yasmin, a ci zaczęli pilnie obserwować krnąbrną córkę.

Nie mogła odbierać telefonów ani do nikogo dzwonić, zabroniono jej nielicznym przyjaciółkom odwiedzać ją w domu; sprawdzano, ile czasu zabiera Yasmin dotarcie z domu do sklepu ojca i z powrotem.

Kiedyś, gdy szła ulicą z Abdulem, pojawiła się policja i aresztowała go pod zarzutem handlu marihuaną. Yasmin zabrano razem z nim na komisariat. Najbardziej się bała, że ojciec dowie się o ich znajomości.

- Błagałam policjantów, żeby mnie nie wydali. Spędziłam na komisariacie niespełną godzinę i kiedy podpisałam dokumenty, prosiłam policjanta, Azjata, żeby nic nikomu nie powiedział. Podałam adres Abdula jako adres swojego zamieszkania, nie popełniłam żadnego przestępstwa, skończyłam szesnaście lat, więc nie byłam nieletnia; nie zachodziła potrzeba, żeby informować o czymkolwiek mojego tatę.

Yasmin nie zdawała sobie sprawy, że posterunkowy Ahmed zajmował się zbrodniami z nienawiści, do jego obowiązków należała ochrona tych, którzy mogli paść jej ofiarą, nie wyłączając osób zmuszanych do małżeństwa. Mimo to go nie powstrzymało przed zrobieniem tego, co uważał za obowiązek wobec szanowanego członka swojej społeczności.

- Któregoś popołudnia, kiedy tata wrócił do domu, razem z mamą zamknęli się w salonie. Zawołali mnie, żebym zeszła na dół. Tata powitał mnie słowami: „Dziś po południu złożył mi w sklepie wizytę posterunkowy Ahmed”.

Yasmin oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Snop światła słonecznego podkreślał bladość jej twarzy; wyglądała jak duch na tle zielonej skóry ławki. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, zagłuszyć koszmarne wspomnienie.

- Zrozumiałam wtedy, że wszystko skończone. Przypuszczałam, że natychmiast wyślą mnie do Pakistanu.

Najpierw wybuchła awantura, ojciec wyliczał jej zbrodnie: „Masz czarnego chłopaka”. Wymówił te słowa tak, jakby samo to, że musiał



ich użyć, skalało mu usta. „Aresztowano cię z nim, kiedy szliście Glen Fern Road. Podałaś na policji fałszywy adres zamieszkania. Próbowaliśmy wciągnąć posterunkowego do swojego oszukańczego spisku.

106

Poprosiłaś Ahmeda, szanowanego członka naszej społeczności, żeby ukrył twoje obrzydliwe, nieczne postępy”.

Ciągnął litanie zagłuszaną płaczem i lamentem matki - „Och, jaki wstyd, jesteśmy skończeni, jak mogłaś zrobić coś takiego?” - i słowami Yasmin, próbującej przekrzyczeć jej łkania: „Nie, tato, to nieprawda... Nic nie zrobiłam... Musisz mi uwierzyć. Proszę”.

Jak długo to trwało? Ostatnie, co zapamiętała z tamtego dnia, to jak matka z siwymi włosami w nieładzie siedzi w fotelu, bujając się, z wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie, i mamrocze: „Ale hańba. To mnie zabije. Ale hańba”. Ojciec wymaszerował z pokoju, żeby, jak powiedział, umówić się na kolejne spotkanie z posterunkowym Ahmedem. Yasmin czmychnęła do swojego pokoju, wiedząc, że będzie to teraz jej więzienie.

- Tamtej nocy nie zmrużyłam oka. Za każdym razem, kiedy słyszałam kroki na schodach, myślałam sobie: „O, mój Boże, nie pozwól, by cokolwiek złego mnie spotkało”. Byłam przerażona.

Wkrótce cała rodzina dowiedziała się, co się stało. Yasmin widywała młodszych braci w porze posiłków, kiedy podawała im jedzenie i sprzątała nakrycia. Nic nie mówili, ale czuła, jak patrzą na nią oczami wielkimi z ciekawości. Natomiast jej siostry nie ukrywały pogardy i oburzenia; razem z matką stały pod drzwiami do pokoju Yasmin,

szepcząc. „Myślicie, że doszło między nimi do zbliżenia?” - pytała matka, zbyt przerażona, by dopuścić do siebie to, czego naprawdę się bała: „Uprawiali seks?”.

Yasmin zabroniono uczęszczać na uczelnię i utrzymywać jakiegolwiek kontakty ze światem zewnętrznym. Wykonywała swoje domowe obowiązki i o wpół do siódmej kładła się do łóżka.

- Zaczęłam długo sypiać, żeby szybciej mieć za sobą kolejny dzień życia.

Wyobraziłam sobie odretwienie, w jakie musiała zapaść. Czulałam się podobnie, zanim uciekłam z domu, kiedy moje położenie wydawało się tak beznadziejne, że odebrało mi całą chęć do działania. Byłam bezradna. Pragnęłam, żeby ktoś podjął za mnie decyzję, żeby mną pokierował i mnie chronił, żeby przeprowadził mnie do nowego, bezpiecznego świata. Kiedy siedziałam sama w pokoju, licząc godziny, przepelniona strachem, co może przynieść ranek,

107

tęskniłam za czymś, co zakończyłoby moje czekanie, i naturalnie z czasem to nastąpiło. W moim wypadku to była chwila niedbalstwa; moja siostra Lucy zapomniała zamknąć drzwi na klucz. W wypadku Yasmin zdecydowało postanowienie ojca, by dowieść perfidii córki. Oświadczył, że w piątek po modłach posterunkowy Ahmed przyjdzie do ich domu z dowodami, że Yasmin miała czarnoskórego chłopaka: wszystko wyjdzie na jaw.

- Nie miałam pojęcia, co mogłoby być tym dowodem: zdjęcia czy świstek papieru, który podpisałam w komisariacie, ale wiedziałam,

że jeśli coś ma, dla mnie to koniec. Konsekwencje będą straszne, nie mogłam ryzykować i czekać do piątku. Wiedziałam, że muszę uciec. •

Los okazał się łaskawy dla Yasmin. Nazajutrz Madeeha zawołała z dołu, że jedzie do sklepu, by zawieźć tacie drugie śniadanie, zanim sama uda się do banku. Chwilę później Yasmin usłyszała odgłos uruchamianego silnika; po raz pierwszy od tygodnia została sama w domu.

Dlaczego Madeeha to zrobiła? Yasmin wciąż zachodzi w głowę. Zapomniała, że w domu nikogo nie ma? Zmęczyła ją rola strażnika więziennego? A może to podstęp - żeby się przekonać, czy Yasmin spróbuje uciec?

- Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać ani rozmyślać, że nie mam pieniędzy i dokumentów, że liczę sobie zaledwie szesnaście lat. Zrobiłam to, co mi podpowiadał instynkt. Zadzwoiłam po taksówkę i spakowałam parę najpotrzebniejszych rzeczy.

Widziałam ją, jak już nie skrada się po domu, starając się nie rzucać w oczy, ale jak biega tu i tam, na oślep wyciąga z szuflad różne części garderoby i upycha w czarnych workach, jak klnie, kiedy pękły („Zawsze kupuj najtańsze worki, Yasmin, myślisz, że śpimy na forsie? Zresztą worki na śmieci nie muszą być grube”). Wiedzioną instynktem poszła do salonu, do masywnej serwantki na wysoki połysk. Porcelanowe figurki, ustawione na półkach, aż się zatrzęsły, kiedy energicznie otworzyła szufladę, w której trzymano rodzinne fotografie, i wzięła kilka pierwszych z brzegu, po czym upchnęła je razem z ubraniami.

- Taksówka zajęła przed dom. Wiedziałam, że na mnie już czas. Wpadłam w panikę, nic nie wzięłam. Nie zabrałam spakowa-  
108

nych rzeczy. Wybiegłam z domu i kiedy miałam wsiąść do taksówki, przez głowę przemknęła mi myśl, czy nie powinnam wrzucić cegły przez okno i zostawić drzwi frontowych otwartych, żeby wyglądało to tak, jakby mnie porwano. Pomyślałam, że tacie i mamie łatwiej byłoby to znieść.

13

Pamiętam tamten fragment opowieści Yasmin. Przez lata przechowywała te szczegóły w pamięci, ale czułam, że emocje, które nią targały, gdy wybiegła z domu, pozostały wciąż żywe. Wprawdzie siedziała ze mną w pubie - ostrożnie położyła szczupłe ręce na stole, tak by ominąć lepkie plamy po piwie - ale duchem nieobecna, znów przeżywała tamtą chwilę, kiedy przekroczyła Rubikon, punkt, od którego nie było powrotu do dawnego życia, chociaż wtedy nie zdawała sobie z tego do końca sprawy.

W moim wypadku ten moment, ten ułamek sekundy, w którym postanowiłam uciec, czego moi rodzice nigdy mi nie wybaczyli, nastąpił ponad dwadzieścia pięć lat temu, a szaleństwo, które potem nastąpiło, zdawało się trwać ciągle. Słuchając Yasmin, odmówiłam w duchu modlitwę dziękczynną za to, że nie muszę znów przeżywać tego, co minęło, bo chyba nie dałabym rady; to zbyt trudne. Nawet teraz odczuwam ból, kiedy oglądam się za siebie, a tamtego popołudnia oglądałam się za siebie, ponieważ błędy popełnione przez

Yasmin - nie, „błądy” to zbyt ostre określenie, to, do czego ją zmuszono - bardzo przypominały moje uczynki.

Yasmin nie miała wątpliwości, że gdyby nie uciekła, znajomość z Abdulem nie trwałaby długo. To był flirt, dla obojga mający smak zakazanego owocu, ale żadne nie chciało, by przerodziło się to w coś trwalszego. Przyjechała do jego mieszkania, poprosiła go, żeby zapłacił za taksówkę, podzieliła się z nim swoimi obawami.

- Boją się, że nie jestem dziewicą. Zabiją mnie. Jak mają mnie wydać za męża, jeśli nie jestem dziewicą?

Wykorzystując go jako koło ratunkowe przed rodzicami, związała się z nim i przez następne cztery lata żadne nie mogło od tego uciec.

Ich znajomość nie miała w sobie nic romantycznego. Czuli się niezręcznie. Ponieważ policja знаła adres Abdula, przenieśli się do jego kuzyna, Husseina, i we trójkę gnieździli w jego jednopokojowym mieszkaniu. To Hussein powiedział rodzicom Yasmin, gdzie mogą ją znaleźć; przypuszcza, że sownie go wynagrodzili. Przyszli po nią osiemnaście dni po ucieczce.

- Usłyszałam pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłam, na progu stały moja siostra Tasleem i mama.

Aż zaniemówiły, zobaczywszy, w jakich warunkach mieszka Yasmin. Matka rozglądała się po pokoju, zauważyła filiżanki po kawie, resztki jedzenia na talerzach, pełne popielniczki, zgniecione puszki po piwie i majtki Husseina koło kanapy, gdzie je rzucił rano, kiedy się obudził. Przez chwilę patrzyła na ekran telewizora („oglądałam wideoklipy, ojciec zawsze mi zabraniał”), a potem przeniosła wzrok

na swoją córkę, potarganą, wychudzoną po dwóch tygodniach, od-  
kład ostatni raz ją widziała, z oczami czerwonymi i podpuchniętymi  
od płaczu.

Yasmin i jej matka odezwały się jednocześnie.

- Napijesz się herbaty?

- Jak możesz tak żyć?

Potem włączyła się Tasleem, przemawiając piskliwie i napas-  
tliwie.

- Herbaty? Oszalałaś? Spójrz, co zrobiłaś matce! Płacze! Jak  
możesz być taka samolubna? W ogóle nie myślisz o swojej rodzinie,  
która nawet teraz, mimo tego wszystkiego... - Pogardliwie pokazała  
zabałaganiony pokój i żałośnie wyglądającą Yasmin -...ciebie nie  
opuściła. Przyszliśmy, żeby cię zabrać do domu.

- „Nigdzie nie pójdę”. - Yasmin się uśmiechnęła i pokręciła głową,  
dziwiąc się własnej zuchwałości. - Ledwo mogłam uwierzyć, że te  
słowa padły z moich ust, ale powiedziałam je.

Tasleem natychmiast wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła  
po ojca. Yasmin stała koło okna i widziała go, gdy wysiadł z białej  
furgonetki, której używał w pracy. Był z nim Anwar, starszy brat,  
oraz trzech pracowników: rośliwych, krzepkich mężczyzn, tych znała  
z widzenia. Ojciec odwrócił się w ich stronę i coś powiedział, pewnie  
ich instruował, a potem udał się na górę.

- Kiedy wszedł razem z Anwarem, rzucił tylko: „Idziemy”. Bardzo  
kocham ojca, zwykle wykonywałam wszystkie polecenia, ale tym razem  
powiedziałam: „Nie”. Lecz nie miałam odwagi na niego spojrzeć;

w telewizji leciały wideoklipy, a ja... - Yasmin zaczęła mówić bardzo cicho, spuściła oczy, zaczerwieniła się. - Miałam na sobie salwar kamiz, w którym uciekłam z domu. Był z przejrzystej tkaniny, zwykle wkłada się pod niego halkę, żeby nie było widać bielizny, ale ja nie miałam pod spodem.

Właśnie wtedy wszedł Abdul z pizzą. Zapadła grobowa cisza, kiedy spojrzeli na siebie. Nie ukrywali nienawiści, gdy się nawzajem rozpoznali. Abdul odezwał się pierwszy i muszę przyznać, podziwiam go. Poprosił krewnych Yasmin o opuszczenie mieszkania. Oświadczył, że ich córka nie pójdzie z nimi; zostanie tu, gdzie jej miejsce.

Na ojcu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Podszedł do Yasmin, stanął przed nią i przemówił niskim i groźnym tonem w języku paszto. „Chodź z nami albo moi pracownicy wejdą do środka i pobiją tego mężczyznę”.

Nie wiem, skąd Yasmin wzięła siły, ale znów odmówiła ojcu. Kiedy później o tym rozmawialiśmy, twierdziła, że była zdesperowana.

- Tata jest Pasztunem, Jas. Wiedział, że straciłam dziewictwo.

W Pakistanie kobiecie, która zadawała się z mężczyzną, grozi śmierć przez ukamienowanie.

Jej zgoda okazała się zbędna. Ojciec złapał Yasmin za włosy i zaczął ją wypychać przed sobą z mieszkania. Powiedziała, że czuła się, jakby występowała w jakimś dziwnym, awangardowym balecie. Szła na palcach, by zmniejszyć ból, jaki sprawiał jej ojciec, ciągnąc za włosy; on kroczył za nią, sztywno jak automat, a matka i siostra dreptały za nim, przestraszone myszki. Mieszkanie Husseina mieściło

się w akademiku, Yasmin pamięta otwierające się drzwi i zaciekawione spojrzenia. Kiedy schodziła po stopniach, zebrała się grupka gapiów. Zanim znalazła się na dole, Abdul wykręcił 999 i powiadomił policję, że została porwana przez swoją rodzinę.

Policja już znała historię Yasmin. Rodzice zgłosili zaginięcie córki i gdy policjant ustalił miejsce jej zamieszkania, wyjaśniła mu, dlaczego uciekła z domu, i dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza wrócić do rodziców. Ta informacja powinna się znajdować w aktach. Policja powinna sięgnąć do tego dokumentu, kiedy Abdul powiadomił o porwaniu Yasmin. Dlaczego policja tak niewiele zrobiła, żeby ją ratować?

- Twierdzili, że mnie szukali, ale widocznie niezbyt gorliwie.

Przerwała opowieść, żeby mi to powiedzieć, w jej głosie było oburzenie.

- Wystarczyło wstukać na komputerze nazwisko mojego ojca, sprawdzić, jakie nieruchomości do niego należą, i je przeszukać. Napisałam do nich, prosząc o wyjaśnienie, dlaczego tego nie zrobili. Zapytałam również, czy właściwe było zachowanie posterunkowego Ahmeda, który rozmawiał z moim ojcem, ale nie doczekałam się odpowiedzi.

Ojciec zabrał ją do znajdującego się nieopodal mieszkania, gdzie postanowiono, że Madeeha najszybciej, jak to możliwe, polecą z nią do Pakistanu. Była cały czas pilnowana - „siostra nie spuszczała mnie z oka nawet wtedy, kiedy szłam do toalety” - a następnego ranka, gdy policja przeszukała rodzinny dom Yasmin, ojciec wysłał ją na komisariat. Miała powiedzieć, że jest cała i zdrowa, nic jej nie dolega i żałuje swojego głupiego postępu.



- Poszłam z Madeehą. Wydawało mi się, że czekałyśmy parę godzin, siedząc na twardych, plastikowych krzesłach w recepcji. Ale byłam naprawdę szczęśliwa. Wierzyłam, że kiedy przedstawię swoje położenie, wszystko zostanie załatwione i zacznę normalnie żyć. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że pozwolą, by Madeeha przysłuchiwała się moim wyjaśnieniom.

Siostra nie odstępowała jej na krok, Yasmin nie miała wyjścia, musiała powiedzieć to, co kazał ojciec. Funkcjonariusz z wydziału dochodzeniowego, który zadawał pytania, odczytał jej oświadczenie. Jego beznamiętny, bezbarwny głos nieświadomie odzwierciedlał przygnębienie Yasmin, kiedy wypowiadała te słowa:

„Wróciłam do domu z własnej, nieprzymuszonej woli, bo chcę nadal mieszkać ze swoją rodziną. Żałuję, że ucieczką przysporzyłam jej cierpień. Żałuję swojego postępuku, to był błąd”.

- Wszystko się zgadza, panienko? - Policjant spojrzał na nią wyczekująco. Nie zauważył, jak Madeeha z całej siły szturchnęła siostrę łokciem, ale uśmiechnął się, gdy Yasmin skinęła głową.

113

- Dobrze. W takim razie proszę podpisać. - Podsunął jej dokument i wręczył pióro, kiedy gwałtownie otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła policjantka o niesfornych, rudych włosach.

- Chwileczkę. Przerwywam przesłuchanie, chcę porozmawiać z Yasmin na osobności. - Wzięła oświadczenie z biurka i szybko przebiegła dokument wzrokiem.

- Szkoda, że nie widziałaś miny mojej siostry! Od razu wiedziała,

jak to się zakończy, próbowała do tego nie dopuścić, upierała się, że już wszystko zostało wyjaśnione, ale policjantka okazała się niewzruszona. Przeczytała moje oświadczenie i spytała: „Chcesz wrócić do domu?”. Odparłam: „Skądże znowu”. Na to ona: „W takim razie zaczniemy wszystko od początku”. Usiadła, wyjęła pióro, kartkę papieru, i spojrzała na Madeehę: „Nie ma potrzeby, by tu pani siedziała. Słyszała pani, co powiedziała siostra: nie wraca do domu”.

To był początek koczowniczego życia Yasmin. Z komisariatu pojechała do swojej szkolnej koleżanki, ale kiedy bracia zaczęli krążyć w okolicy, uznała, że ani ona, ani przyjaciółka nie są bezpieczne. Nie wiedząc nic o schroniskach, nie miała pojęcia, do kogo się zwrócić.

Wróciła więc do Abdula i razem przeprowadzili się do obskurnej kawalerki, w której mieszkali jeszcze dwaj mężczyźni. Abdul dużo czasu spędzał poza domem, Yasmin prawie nie wstawiała z łóżka. Kiedy teraz na nią patrzę - tryskającą energią, pełną entuzjazmu, radosną - trudno mi ją sobie wyobrazić w takim stanie, a jednak rozumiem to. Krótka chwila triumfu, kiedy nie zgodziła się wrócić do domu rodziców, szybko minęła i w gruncie rzeczy dziewczyna mieszkała jak w więzieniu z mężczyzną, którego nie kochała.

Minęło kilka tygodni i Abdul znów zaczął mieć kłopoty z policją. Musiał opuścić miasto. Yasmin wyjechała razem z nim. Przez dwa miesiące mieszkali u jego mamy w Luton, ale potem ich wyrzuciła, ponieważ, jak powiedziała, jacyś ludzie - Pakistańczycy - obserwowali jej dom i bała się, że to krewni Yasmin. Po powrocie do rodzinnego

miasta, do tej samej nędznej kawalerki, Yasmin, jak tyle osób, które znalazły się w jej położeniu, zażyła zbyt dużo tabletek paracetamolu.

Przechodzień, który był świadkiem, gdy upadła na ulicy, wezwał pogotowie.

W szpitalu wysłuchali jej wołania o pomoc („powiedziałam im wszystko, od początku do końca”), współczująco pogłaskali po głowie („zatrzymali mnie przez dwa dni na obserwacji”), po czym ją wypisali.

- Nim wyszłam ze szpitala, pracownica opieki społecznej złożyła mi wizytę i zapytała: „Kto po ciebie przyjedzie? Twój partner?”. Uważała, że to w porządku, chociaż wiedziała, że Abdul traktuje mnie grubiańsko. Na pożegnanie powiedziała: „Gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie”. Pomyślałam sobie: czemu miałabym do ciebie zadzwonić? Nic mi nie zaproponowałaś.

\*

Ile przerażonych kobiet czuło to samo? Z praktyki wiem, że to, czego doświadczyła Yasmin, jest niestety czymś bardzo typowym w Wielkiej Brytanii. Weźmy Heshu Yones, która trzy razy zwracała się do swoich nauczycieli o pomoc, nim straciła życie, albo nieszczęsną, zadreżaną Banaz Mahmod. Na kilka tygodni przed tym, nim zamordowała ją rodzina, Banaz cztery razy zgłaszała się na policję, mówiąc, że boi się o swoje życie. Powiedziała, że grożono jej śmiercią, nawet wymieniła nazwiska tych, którzy jej zdaniem mogą ją zabić, ale to nie uratowało dziewczynie życia.

Dwa dni po jej ostatniej wizycie na posterunku policji chłopak Banaz zgłosił zaginięcie. Trzy miesiące później - po, jak napisano, „niezwykle trudnych” poszukiwaniach - znaleziono jej zwłoki w walizce, zakopanej w ogrodzie opuszczonego domu w Birmingham, prawie dwieście kilometrów od Londynu, gdzie mieszkała. Wokół szyi miała sznurowadło, którym ją uduszono. Podczas śledztwa ustalono, że zabójstwo zlecił ojciec i wuj Banaz, dwóch z trójki morderców uciekło za granicę. Przechwalali się, że zgwałcili Banaz, nim ją zabili, bo chcieli jej pokazać, że nie zasługuje na szacunek.

Dlaczego? To zawsze pierwsze pytanie, jakie cisnie się na usta w wypadku takich tragedii, a odpowiedź jest nieodmiennie taka sama: ponieważ rodzina była przeświadczona, że ofiara okryła ją hańbą.

Najpierw miała czelność odejść od męża, narzuconego jej przez ro-

115

dzinę, od mężczyzny, który ją gwałcił i regularnie bił. Na domiar złego zakochała się w człowieku, który ani nie był członkiem kurdyjskiego klanu, do którego należała jej rodzina, ani nie był przesadnie religijny.

Okazało się, że to za wiele dla jej ojca, którego honor już naraziła na szwank starsza córka, Bekhal. Uciekła z domu, nie mogąc dłużej wytrzymać z ojcem tyranem. A skoro nie udało mu się nakłonić córki do powrotu, jego młodszy brat uznał, że lepiej od niego nadaje się na głowę rodu.

Nasuwa się pytanie, jak policja może dopuścić do czegoś takiego. Dlaczego funkcjonariusze nie zapobiegli tragedii, chociaż już wcześniej wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo grozi Banaz? Mimo

wielu głosów krytyki, także mojego, należy współczuć wszystkim, którzy zajmują się takimi sprawami. Kiedy mówię o tym na konferencjach, przedstawiam to tak: „Proszę sobie wyobrazić, że jesteście dyżurnym oficerem na posterunku, przychodzi ładna, młoda kobieta i oświadcza - jak to zrobiła Banaz, kiedy pierwszy raz zgłosiła się na policję - »Widziano mnie, jak całowałam się z chłopakiem przed wejściem do stacji metra i teraz mój wuj mnie zabije«. Łatwo byłoby wam w to uwierzyć?”.

No i jeszcze zachowanie Banaz. Podobnie jak Kiren i Shabana, szukała pomocy policji, a potem z niej rezygnowała. Za pierwszym razem kiedy udała się na posterunek, by zgłosić, że wuj grozi jej śmiercią, poprosiła, by policja nic nie robiła w tej sprawie. Nie zgodziła się zamieszkać w schronisku, co jej zaproponowano. Z raportu wynika, że wierzyła, iż matka ją obroni. Gdy następnego dnia funkcjonariusz udał się do jej domu, nie wpuściła go. Kiedy poszła na policję, by zgłosić, że grożą i jej, i chłopakowi, Rahmatowi Suleimaniemu, znów odrzuciła propozycję umieszczenia jej w bezpiecznym miejscu. Dopiero podczas ostatniej wizyty na posterunku, kiedy poinformowała o próbie porwania i zabicia Suleimaniego, zgodziła się wnieść oskarżenie przeciwko rodzinie. Następnego dnia zniknęła. Zbyt późno podjęła decyzję.

Może powinniśmy o tym wszystkim pamiętać, oceniając zachowanie policji tej nocy, gdy ojciec Banaz pierwszy raz próbował ją zabić; ale nawet uwzględniając to, co napisałam wyżej, czasem policja postępuje karygodnie. Ostatniego dnia roku ojciec kazał Banaz przyjechać

do Wimbledonu, do domu jej babki, rzekomo, by omówić kwestię jej rozwodu. Kiedy ojciec uraczył ją brandy - po raz pierwszy miała wtedy alkohol w ustach - Banaz zaczęła coś podejrzewać. Żeby wydostać się z domu, gołymi rękami wybiła szybę w oknie i boso wybiegła na ulicę.

Jej chłopak sfilmował telefonem komórkowym, co było później. Na filmie kiepskiej jakości widać Banaz, siedzącą na szpitalnym łóżku, jak wciąż dygocząc, opowiada, co ją spotkało. Błaga pielęgniarki, by ukryły ją przed ojcem. Nim trafiła do szpitala, rozmawiała z nią policja, wezwana z restauracji, w której się ukryła. Po przybyciu funkcjonariusze zobaczyli zakrwawioną, zrozpaczoną Banaz, ale nie uwierzyli w jej opowieść. Uznali, że upiła się i zmyśla.

No cóż, był sylwester - tego dnia można spotkać wielu pijanych, opowiadających rzewne historie. Poza tym w dwudziestym pierwszym wieku w wielokulturowej Wielkiej Brytanii są też muzułmanie niestroniący od kieliszka, więc zapłakana muzułmańska dziewczyna, od której czuć alkohol, mogła nie wzbudzić niepokoju. To nie usprawiedliwia faktu, że w raporcie o tym wydarzeniu nie wspomniano ani słówkiem, że Banaz twierdziła, iż próbowano ją zamordować. Ani tego, że nie sprawdzono bądź co bądź poważnego oskarżenia. Co więcej, policja przesłuchiwała również ojca Banaz, w ten sposób ujawniając, że córka szukała u niej pomocy.

Nie wiem, czy cokolwiek może usprawiedliwiać takie postępowanie.

Po opisanu historii Banaz w gazetach liczba telefonów do Nirvany wzrosła. Kobiety się bały, że jeśli zwrócą się do policji, zostaną odprawione z kwitkiem albo potraktowane lekceważąco, jak w ich mniemaniu postąpiono z Banaz. Dla mnie to był sygnał, jak pilna jest potrzeba szkolenia osób z pierwszej linii: nauczycieli, pielęgniarek środowiskowych, pracowników opieki społecznej, funkcjonariuszy policji. W Wielkiej Brytanii rośnie liczba osób wychowywanych w kulturze, w której dużą wagę przywiązuje się do honoru. Dla obserwatorów z zewnątrz natomiast obowiązujące w niej obyczaje - nieakceptowane zachowania, wymagany stopień lojalności, wywoływane przez nią lęki i wymierzone kary - są czymś niepojętym albo zwyczajnie nieprawdopodobnym. Na przykład czy ktoś wychowany w kulturze zachodniej zdolny jest zrozumieć, nie mówiąc już o wcześniejszym przewidzeniu tego, że u przebywającej w szpitalu Yasmin po przedawkowaniu paracetamolu niepokój budziła obecność lekarza Azjaty.

- Nie ufałam mu, uważałam, że musi znać mojego tatę, że stanowi ogniwo w sieci.

Właśnie ten niepokój skłonił ją do działania. Znow wróciła do Abdula, podtrzymując destrukcyjną znajomość, ponieważ w poczuciu winy i mając mętlik w głowie, uważała, że tylko na to zasługuje. Nie mieli pojęcia, dokąd mogliby wyjechać, nie mieli powodu, żeby udać się w jakieś konkretne miejsce, na chybił trafił przypięli pineskę do mapy. Wskazała Norwich.

- Nic nie wiedziałam o tym mieście; nie wiedziałam nawet, gdzie

leży, póki się tam nie znalazłam. - Yasmin się uśmiechnęła, ja też.

118

Mieszkała w Norwich pięć lat, zanim ją poznałam, ale tak się nauczyła grasejować, że trudno było sobie wyobrazić, że nie urodziła się w Norfolk.

Stosunki z Abdulem się pogarszały. Po przeprowadzce do mieszkania komunalnego stał się jeszcze bardziej agresywny, sąsiedzi często wzywali policję. Yasmin nigdy nie mogła się zdobyć, żeby wnieść przeciwko niemu oskarżenie. I tak to trwało do czasu, kiedy dotkliwie ją pobił, była cała posiniaczona. Swoje wybawienie zawdzięcza przyjaciółce z uczelni, gdzie studiowała zarządzanie. Lesley przyszła do niej, pomogła się spakować i zabrała ją do siebie. Od tamtej pory Yasmin już nigdy więcej nie widziała się z Abdulem.

Miała wtedy dwadzieścia lat i postanowiła zacząć normalnie żyć; podjęła pracę w sklepie, żeby opłacić studia, i uczyła się cieszyć niezależnością. Wciąż jednak czuła się i czuje zagrożona przez rodzinę. Krewnym zajęło trzy lata odszukanie jej w Norwich.

- Jakies siedem miesięcy po tym, gdy odeszłam od Abdula, listonosz przyniósł list polecony. List, wysłany przez rodziców, pełen był emocjonalnego szantażu. Pisali: „Twój brat wpadł w depresję, bo twoja siostra ciągle płacze; interesy ojca cierpią, nie może się skupić na pracy; jak sobie poradzisz z płaceniem rachunków, nigdy nie znałaś wartości pieniądza”.

Yasmin jest przeświadczona, że rodzice otrzymali aktualny adres od policji w jej rodzinnym mieście; podała go w zażaleniach na pracę



funkcjonariuszy. Przestała się czuć bezpiecznie. Wprowadziła się do Lesley i mieszkała z nią, aż - gdy podjęła drugą pracę w barze - zaoszczędziła dość pieniędzy, by wpłacić kaucję za własne mieszkanie. Zaczęła się urządzać, kupiła trochę mebli; była szczęśliwa w swoim nowym domu do czasu, kiedy pewnego ranka ujrzała na progu matkę i Madeehę.

Yasmin wezwała policję, przekrzykując dźwięk dzwonka, na który naciskała matka, i bębnienie Madeehy w drzwi. Kiedy pojawili się dwaj policjanci, młodszy poradził Yasmin, żeby wyszła porozmawiać z mamą. Powiedział, że nie może patrzeć na zrozpaczoną starszą panią.

- Odstawiła całą azjatycką szopkę: zawodziła, rwała włosy z głowy, mówiła, że się zabije. Trochę czasu zajęło mi przekonanie go, że to mnie grozi niebezpieczeństwo, a matka nie daje mi spokoju.

119

- Co poczułaś, kiedy ją zobaczyłaś? - To był jeden z nielicznych wypadków tamtego popołudnia, kiedy jej przerwałam.

- Byłam jak sparaliżowana. Tyle myśli kłębiło mi się w głowie, że nie wiedziałam, jak zareagować. Nawet nie byłam zdolna do płaczu. Mama bardzo się zmieniła, postarzała się, co mnie zasmuciło. Ostatni raz widziałam ją parę lat temu, cierpiałam z tęsknoty za nią, ale kiedy stała na progu mojego mieszkania, czułam złość, że znowu będę musiała wyprowadzić się gdzieś indziej.

Po tym incydencie na miejscowym posterunku policji zorganizowano

spotkanie i opracowano plan, jak zapewnić Yasmin bezpieczeństwo; należało właściwie oszacować ryzyko, zainstalować alarm, sporządzić harmonogram regularnego monitorowania sytuacji.

- Plany były ambitne, ale właściwie nic się nie zmieniło. Zaczęłam wszystko od początku. Znalazłam nowe mieszkanie, przeprowadziłam się, urządziłam, a po kilku miesiącach Madeeha pojawiła się w sklepie, w którym pracowałam. Akurat mnie tam nie było, ale ekspedient podał mojej siostrze nazwę ulicy, przy której mieszkam. Nie chciał mi zaszkodzić, po prostu nie znał mojej sytuacji. Na szczęście była tam inna dziewczyna, która o wszystkim wiedziała.

Ostrzeżona przez przyjaciółkę Yasmin natychmiast się wyprowadziła, znów do Lesley. Znalazła się w punkcie wyjścia.

- To jak zabawa w kotka i myszkę: wyprowadzam się, odnajdują mnie, wyprowadzam się, odnajdują mnie. - Umilkła i westchnęła. Miała ziemistą cerę i cienie pod oczami; zgarbiła ramiona. - Skończyłam dwadzieścia sześć lat, Jasvinder, i ciągle wynajmuję mieszkanie. Zarabiam przyzwoicie w schronisku, mogłabym uzyskać kredyt hipoteczny, kupić dom, urządzić go, ale co potem? Pojawią się moi rodzice i znów będę musiała się wyprowadzić. Kiedy to się skończy? Do samej śmierci będę uciekać?

15

Letnie wakacje, długie tygodnie, kiedy dziecko nie musi nigdzie iść, może siedzieć w domu, to niebezpieczny czas dla dziewcząt, którym grozi wymuszone małżeństwo; rodzice wiedzą, że osoby postronne, w szczególności nauczyciele, nie zauważą, że kogoś brakuje.

To okres wzmożonej pracy dla Nirvany i dla Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, bo na kilka tygodni przed końcem roku szkolnego zaczynają dzwonić zaniepokojone dziewczyny. W zeszłym roku postanowiłam uprzedzić wydarzenia.

Podczas letniego semestru razem z Shazią wyszukałyśmy szkoły średnie w Derby, do których uczęszcza znaczny odsetek dzieci należących do mniejszości etnicznych. Skupiłyśmy się w szczególności na placówkach, o których miałyśmy wcześniejsze informacje. Spytałyśmy dyrekcje, czy wywieszą plakat, przygotowany przez Jednostkę do spraw Wymuszonych Małżeństw. Przedstawiał ręce mężczyzny i kobiety skute łańcuchem, ale do niczego nie podburzał. Można było na nim jedynie przeczytać WYMUSZONE oraz MASZ PRAWO WYBORU, poza tym konkretne informacje. Wszystkie szkoły odmówiły zgody, nawet nie oglądając plakatu. Przepraszano i tłumaczono, że pilnują się, by nie urazić uczuć religijnych ani nie krytykować obyczajów osób o odmiennej kulturze; wolą uniknąć konfliktu z rodzicami. Nawet Heather Jackson, moja przyjaciółka, zastępca dyrektora, powiedziała, że jej szefowa też przyjęła tę linię postępowania i chociaż Heather bardzo się starała, nie udało jej się nakłonić dyrektorki do zmiany stanowiska. Większość dyrektorów szkół nawet nie chciała o tym rozmawiać; tylko niewielu wysłuchało

191

mojego tłumaczenia, że tu nie chodzi o kulturę czy religię, tylko o prawa człowieka i dziecka.

Trudno mi zrozumieć, jak dyrektorzy szkół mogą utrzymywać, że kwestia

wymuszonych małżeństw nie dotyczy uczniów ich placówki, kiedy mają na to dowody. Kilka lat temu lokalne władze Bradford postanowiły przyjąć się frekwencji dzieci z południowej Azji podczas całego okresu ich uczęszczania do szkoły. Zaczęto od tysiąca chłopców i tysiąca dziewczynek. Stwierdzono, że liczba uczniów i uczennic pozostaje na niezmiennym poziomie do czasu, kiedy dziewczynki kończą piętnaście lat. Podczas kolejnych dwóch lat dwieście dziewcząt zniknęło z listy uczniów i nikt nie wiedział dlaczego. „Co się stało z tymi dziewczętami?”. - To pytanie przewijało się przez cały raport. I nikt nie zna na nie odpowiedzi.

Doszłam do wniosku, że nie mogę pogodzić się z decyzją szkół, i umówiłam się z miejscowymi radnymi na rozmowę. Spotkanie od samego początku potoczyło się nie po mojej myśli. Jeden z obecnych na sali Azjatów zaczekał, aż usiądę, chrząknął i powiedział:

- Zanim zaczniemy, czy mogę coś powiedzieć?

Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco, a on usiadł i splótł ręce na brzuchu.

- Zdaje sobie pani sprawę, pani Sanghera, że nie cieszy się pani sympatią wśród naszych mieszkańców?

Ta uwaga była osobista, obcesowa. Na chwilę odebrało mi mowę. Przewyciężyłam jednak chęć odpowiedzenia na jego atak i najspokojniej, jak potrafiłam, stawiałam mu czoło.

- Nie przyszłam tutaj, by się przypodobać, tylko żeby reprezentować interesy dużej części społeczności, której ochrona należy do obowiązków władz lokalnych.

- Tak, wiem o tym. A czego pani od nas oczekuje? Że powołamy

zespoły ludzi, którzy będą chodzić po szkolnych korytarzach, zaczepiać każde azjatyckie dziecko i pytać, czy grozi mu wymuszone małżeństwo? - Rozejrzał się po sali, szukając uznania dla swojej pomysłowości, ale chociaż nikt nie spojrzał mu w oczy, również nikt nie zaprotestował.

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie, nie oczekuję tego. Tak samo jak nie oczekuję, że będziecie chodzić, zaczepiać każdego nastoletniego ucznia i pytać, czy pali,  
122

bierze narkotyki albo pije alkohol. Ale - i mówię to jako matka nastoletniej córki, uczennicy szkoły w tym mieście - oczekuję, że nauczyciele uświadomią jej, czym grozi palenie papierosów, zażywanie narkotyków, picie alkoholu. Oczekuję, że udostępnią jej materiały i literaturę, dotyczącą tych zagrożeń, i wskażą organizację, która mogłaby jej pomóc, gdyby uznała, że ma kłopoty. Według mnie sprawę wymuszonych małżeństw można potraktować tak samo: z takim problemem też się zmagają dzieci i powinny wiedzieć, gdzie szukać pomocy, gdyby jej potrzebowały.

Moje argumenty nikogo nie przekonały. Tylko jeden radny mnie poparł, lecz nawet jego apel - „Dlaczego chodzimy wokół tej sprawy na paluszkach? Przecież mowa jedynie o wywieszeniu plakatów” - trafił w próżnię. Po półgodzinie wyszłam, nic nie osiągnęłam.

Uznałam, że została mi jedyna droga, poruszenie tej kwestii w lokalnej gazecie, „Derby Evening Telegraph”. Redakcja w przeszłości popierała nasze inicjatywy, teraz też udostępniła nam dwie strony,

gdzie umieszczono zdjęcie moje i Shazi; trzymamy plakat Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw. Pojawiło się tuż przed końcem roku szkolnego i przed dziesiątą rano w dniu ukazania się gazety Shazia odebrała pierwszy telefon.

John Stone, specjalista do spraw nieletnich, zadzwonił, żeby porozmawiać z nami o szesnastolatce z college'u w pobliżu Birmingham. Dziewczyna, nazwijmy ją Tarvinder Kaur, parę miesięcy temu zwróciła się do uczelnianego doradcy ze skargą, że rodzice, sikhowie, zanadto ją kontrolują: nie pozwalają mieć telefonu komórkowego, zabraniają gdziekolwiek chodzić w weekendy, nie wolno jej obciąć włosów i tym podobne. Problemy Tarvinder przypominały to, na co się skarżyły inne azjatyckie dziewczęta. Do czasu, gdy w zeszłym tygodniu jej matka się dowiedziała, że córka ma chłopaka muzułmanina. Wyobraziłam sobie, jaka wybuchła awantura.

Tarvinder była przekonana, że kiedy tylko się zaczynają letnie wakacje, rodzice skorzystają z okazji, by zabrać ją do Indii i zmusić do małżeństwa.

- Czuję się zagubiony i byłbym wdzięczny za wsparcie ze strony kogoś, kto lepiej się zna na tych sprawach ode mnie -wyjaśnił John.

- Czy znalazłaby pani dziś trochę czasu, żeby przyjść na uczelnię  
191

i porozmawiać z Tarvinder? Jest zaniepokojona, a ponieważ dziś ostatni dzień nauki, chciałbym jej jakoś pomóc, nim rozpoczną się wakacje.

Shazia udała się na uczelnię. Jej zdaniem dobrze się stało, że tam

poszła, bo Tarvinder, wyglądająca na nie więcej niż dwanaście lat i zupełnie bezradna, miała kompletny mętlik w głowie. Płakała i powtarzała w kółko: „Muszę coś postanowić. Gdy tylko skończy się rok szkolny, zamkną mnie w domu i wtedy nikt nie będzie mi mógł pomóc. Jeśli rodzice wywiozą mnie za granicę, nikt nawet nie będzie o tym wiedział. Nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem, nikt mi nie pomoże”.

Często widziałam Shazię wspierającą zrozpaczone dziewczyny, takie jak Tarvinder. Jest opanowana, serdeczna, pełna empatii.

Wyobraziłam ją sobie, jak siedzi obok tej nieszczęsnej dziewczyny, spokojnie przedstawia możliwości, nie ponagla jej. Tarvinder nie miała wątpliwości, że chce opuścić dom rodziców, bała się nie tylko o siebie, lecz także o swojego chłopaka, do którego jej rodzice wysyłali listy z pogroźkami, ale nie miała pojęcia, co ją może czekać później. Wyobrażała sobie, że zostanie sama, bez środków do życia, że będzie spać w parku na ławce.

- Kiedy jej wytłumaczyłam, że nic takiego jej nie grozi, dość szybko zdecydowała, że opuści rodziców - powiedziała mi Shazia.

Sytuacja wymagała szybkiego działania. John Stone zwrócił się do policjantki, którą znaliśmy, by udała się z Tarvinder do jej domu, żeby dziewczyna mogła zabrać swoje rzeczy. Szczęśliwie się złożyło, że w domu nie było nikogo, obyło się więc bez sceny. Shazia wróciła do Karmy Nirvany, żeby poszukać miejsca w jakimś schronisku.

Bywają dni, że w pierwszej placówce, do której zadzwonimy, jest wolne łóżko, ale nieczęsto tak się zdarza. Zadzwoniła do siedem-

dziesięciu schronisk, zanim wreszcie znalazła miejsce. O ósmej wieczorem otrzymaliśmy wiadomość, że mama dziewczyny wypatruje jej na dworcu. Podróż pociągiem okazała się zbyt ryzykowna, ale Shazi kolejną godzinę zajęło przekonanie policji, żeby zawiozła Tarvinder do schroniska.

- Nie chcę się widzieć z mamą, nie chcę z nią rozmawiać, nie chcę się z nią kontaktować. Proszę jej nie mówić, gdzie jestem. - To były

174

ostatnie słowa, jakie Tarvinder powiedziała do Shazi, nim wsiadła do policyjnego samochodu. Shazia obiecała, że uszanuje jej wolę.

\*

Następnego ranka na automatycznej sekretarce w biurze były dwie albo trzy wiadomości, pozostawione przez matkę Tarvinder. Na pierwszym nagraniu mówiła nieśmiało: „Nazywam się Kamal Kaur, jestem matką Tarvinder. Proszę o wiadomość, czy macie jakieś informacje o mojej córce. Niepokoję się o nią”. Na drugim nie była już taka grzeczna: „Proszę do mnie oddzwonić. Wiem, że Tarvinder jest u was”. Kiedy Shazia nie skontaktowała się z nią, Kamal powiadomiła policję, która z kolei zadzwoniła do nas z pytaniem, czy zgodzimy się na rolę mediatora między matką i córką. Potem, jak było do przewidzenia, Kamal pojawiła się w recepcji i zadzwoniła na wewnętrzny numer do Nirvany. Tym razem ja odebrałam telefon.

- Jeśli pani córka zapyta, czy kontaktowała się pani z nami, powiem jej prawdę i przekażę wiadomość, jeśli chce pani jej coś przekazać.

Ale póki o to nie poprosi, nic jej nie powiem o pani wizycie u nas.



Kamal zaczęła zawodzić.

- Jesteśmy bardzo zżytą rodziną. Jak będę mogła chodzić z podniesioną głową? Co powiem bratowym? Utrzymujemy bardzo bliskie kontakty.

- No cóż, skoro jesteście żyte, jestem pewna, że okażą pani współczucie i będą panią wspierać - odparłam, ale nie chciała tego słuchać. Zaczęła mówić o swoim zdrowiu i jaki to będzie miało na nie wpływ; mówiła coraz głośniej, coraz bardziej swarliwym tonem, aż musiałam ją uciszyć grzecznie, ale zdecydowanie.

Przez kolejne dwa dni dzwoniła sporadycznie, a potem, w dniu urodzin Tarvinder, przyszedł list z prośbą, by go jej doręczyć. Jak wszystkie tego rodzaju listy, pełen był szantażu emocjonalnego. Matka napisała, że odkąd Tarvinder opuściła dom, jej młodsza siostrzyczka ciągle jej szuka, a babka przestała jeść. Wymieniła wszystko, co zrobili dla niej rodzice: opłacali lekcje jazdy, kupowali złotą biżuterię, finansowali wycieczki. Przypomniała, że dziadek jest chory, a teraz jego stan zdrowia jeszcze się pogorszył, bo niepokoi się o wnuczkę.

Kiedy Kamal znów zadzwoniła, zachowywała się agresywnie.

- Wiem o was wszystko, Shazia. Popytałam o ciebie i Jasvinder, wiem dokładnie, czym się zajmujecie. Oświadczam wam, że nie cofnę się przed niczym... Nie cofniemy się przed niczym, by odzyskać córkę.

Potem umilkła. Shazia pozostawała w kontakcie z Tarvinder, która wciąż była w szoku, lecz dobrze sobie radziła. Twierdziła stanowczo,

że nie chce mieć żadnych kontaktów z rodziną. Przestałyśmy się o nią martwić, a tu pewnego piątkowego ranka, kiedy czekałam na stacji w Derby na pociąg do Londynu, zadzwoniła do mnie Shazia.

Natychmiast się zorientowałam, że coś jest nie tak.

- Chodzi o Tarvinder. Wczoraj wieczorem matka ją porwała i zabrała do domu. Właśnie zadzwoniła do nas policja. Wiozą Tarvinder do nas.

Spojrzałam na zegarek: mój pociąg odjeżdżał za trzy minuty.

Wybierałam się na spotkanie grupy roboczej, powołanej w celu przedstawienia zaleceń dla Niezależnej Komisji do spraw Skarg na Pracę Policji (IPCC) - prowadziła odrębne śledztwo dotyczące postępowania policji w sprawie śmierci nieszczęsnej Banaz Mahmud.

Spotkanie zorganizowano na mój wniosek i chciałam być na nim obecna, ale zawsze uważałam, że najważniejsze w mojej działalności jest wspieranie kobiet, i tego się trzymam. Zadzwoniłam do śledczego i pokrótce przedstawiłam sytuację. Spytałam, czy jeśli spiszę swoje przemyślenia, dotyczące sprawy, i prześlę je przed spotkaniem, może przypilnować, by je odczytano. Zgodził się, więc zadzwoniłam jeszcze do Nicoli Williams, przewodniczącej IPCC, z przeprosinami, po czym udałam się do biura. Spisałam swoje sugestie i zadzwoniłam na policję w rodzinnym mieście Tarvinder.

Zdaje się, że poprzedniego wieczoru po wyjściu z kina Odeon, dokąd poszła z koleżanką, Tarvinder zobaczyła w holu matkę. Uciekła, ale na parkingu wpadła prosto w ramiona kuzyna.

- Przyszło tam z osiem osób, byli silniejsi ode mnie. Bili mnie

i popychali, a potem wpełnęli do samochodu. Krzyczałam, ale nikt mi nie przyszedł z pomocą.

Wczesnym rankiem Tarvinder zmuszono, by zadzwoniła na policję, powiedziała, że jest cała i zdrowa, że ucieczka z domu to błąd,

126

że z własnej nieprzymuszonej woli wróciła do rodziców. Na szczęście posterunkowy, który odebrał telefon, czytał informację Karmy Nirvany o Tarvinder. Zorientował się, o co chodzi, zachował przytomność umysłu i natychmiast zareagował.

- Koło czwartej nad ranem odszukał mnie w domu mojej babci. Właśnie do niej mnie zawieźli. Chyba mama przypuszczała, że policja może mnie szukać, bo oświadczyła mi, że jeśli się pojawi, mam powiedzieć, iż cieszę się, że wróciłam do domu. Obawiałam się, że nie starczy mi odwagi, by się jej sprzeciwić, ale kiedy ujrzałam policję na progu, zdobyłam się na odwagę i powiedziałam prawdę.

Policja zabrała Tarvinder z domu babki i jeszcze tego samego dnia dziewczyna wróciła do schroniska. Pozostajemy z nią w kontakcie, dobrze sobie radzi. Matkę i kuzyna oskarżono o porwanie, do czasu rozprawy umieszczono ich w areszcie. Shazia przez trzy godziny udzielała wyjaśnień policji. Obie bałyśmy się zemsty ze strony rodziny Tarvinder, ale do tej pory zostawili nas w spokoju.

Na rozprawie Kamal, matka Tarvinder, i jej kuzyn przyznali się do porwania dziewczyny, chociaż trudno się tego domyślić na podstawie wyroków, jakie otrzymali. Oboje skazano na rok więzienia

w zawieszeniu. Kamal będzie również przez rok pod nadzorem policji. Moim zdaniem wyroki są za niskie, można powiedzieć, że sprawcom wszystko uszło na sucho. Sędzia przewodniczący uzasadniał werdykt tym, że porywacze mieli dobre intencje, tylko okazali się nieudolni.

Dlaczego tak uważał? Na sali sądowej odczytano oświadczenie Tarvinder, że boi się, iż rodzina zmusi ją do małżeństwa. Dlaczego miałyby zmyślić? W dniu ogłoszenia wyroku siedziałam obok zastępcy prokuratora generalnego, Very Baird, i mogłam jej powiedzieć, że jestem rozczarowana. Póki władze nie uwierzą, że te problemy są prawdziwe, a nie wymaginowane, nigdy nie zanotujemy postępu. Odmowa przyznania, że porwanie jest poważnym przestępstwem, bo sprawa dotyczy członków jednej rodziny, usprawiedliwia działania takich osób jak Kamal Kaur. Pomniejsza wagę ich czynów i pozwala im rozpowszechniać i utwierdzać wypaczone, fałszywe pojęcie honoru.

127

Nicola Williams przysłała mi protokół ze spotkania, na którym nie mogłam być obecna. Odbyło się w porozumieniu z lokalnymi organizacjami oraz organizacją wspierającą ofiary przemocy w imię honoru. Wśród obecnych były Hannana Siddiaui z Southall Black Sisters i Diana Nammi z Organizacji Obrony Praw Kobiet Irańskich i Kurdyjskich. Ucieszyłam się, że moją notatkę włączono do protokołu: proponowałam między innymi przemyślenie kwestii programu ochrony świadków, tak by mogły z niego skorzystać młode kobiety,

na przykład Kiren i Shabana, którym potrzebna jest ochrona, ale które nie chcą wnosić oskarżeń przeciwko rodzinom. Należy postarać się, by te kobiety mogły zostać objęte programem ochrony świadków, a także o wprowadzenie do niego takich modyfikacji, by odpowiadał ich potrzebom; w szczególności konieczna jest zmiana przepisu nakładającego wymóg zerwania wszelkich kontaktów z osobami z ich „poprzedniego” życia z chwilą, kiedy zostaną objęte programem. One mają za sobą miesiące, jeśli nie lata izolacji i wymaganie, by rozpoczęły nowe życie bez wsparcia znajomych, którym ufają, jest nierealne, a także nierozsądne.

Stwierdziłam, że zapis dyskusji, odbytej tamtego dnia, jest przygnębiającą lekturą. Z jednej strony wyraźnie przebijała z niej frustracja, jaką odczuwamy my wszyscy, wolontariusze, wywołana tym, że policja niewystarczająco zajmuje się tymi kwestiami; z drugiej strony widoczny był lęk - a czasem niezadowolenie - policji, krytykowanej za niewłaściwe zajmowanie się tymi bardzo złożonymi problemami. Przeczytałam protokół i pomyślałam, że daremne są moje wszystkie starania. Odnoszę wrażenie, iż obie strony często drą ze sobą koty, chociaż w gruncie rzeczy pragną konstruktywnej dyskusji. Tylko w taki sposób możliwy jest jakiś postęp.

Kilka tygodni po spotkaniu IPCC Shazia dostała e-mail od młodej kobiety, mieszkającej w schronisku w Szkocji. Uciekła z domu, by uniknąć wymuszonego małżeństwa i wyrafinowanego znęcania się nad nią matki, ale, tak jak w wypadku Yasmin, rodzina ją odnajdywała. Pisała z siódmego miejsca pobytu:

Zgłosiłam się na posterunek policji w Glasgow. Wyjaśniłam wszystko i usłyszałam, że jeśli nie czuję się bezpieczna, powinnam sobie znaleźć zakwaterowanie z wyżywieniem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to rozwiąże mój problem. Płakałam, byłam przerażona i prosiłam o pomoc. Powiedziano mi, że niepotrzebnie zawracam im głowę, żebym przestała martwić się na zapas. Usłyszałam też, że jeśli rodzice odszukali mnie

w schronisku, może chcieli tylko się ze mną zobaczyć.

Gdy to piszę, minął prawie miesiąc od dnia, kiedy mieliśmy ostatnią wiadomość od tej kobiety. I ja, i Shazia dzwoniłyśmy do niej, wysyłałyśmy e-maile. Nie możemy jej odnaleźć. Mam nadzieję, że żyje.

16

Gdy tylko zaczęłam zbierać materiały do swojej pracy doktorskiej, wiedziałam, że właśnie to chcę robić. Nieliczne książki, które znalazłam w bibliotece, zawierały istotne uwagi; trafiłam na sporo tekstów feministycznych, poruszających tę kwestię, ale moim zdaniem były albo zbyt wojownicze, albo zbyt neutralne, nie próbowały znaleźć wyjaśnienia, dlaczego niektórym kobietom udało się uniknąć tragicznego losu. Rozmawiałam z kobietami, których wyrzekły się rodziny - wciąż zgłaszały się do Nirvany - szukając podobieństw w ich zachowaniu, wspólnych wzorców postępowania i reagowania. Tak mnie to pochłonęło, że od czasu do czasu notowałam swoje myśli i spostrzeżenia. Zawsze prowadziłam dziennik, teraz mogłam z pożytkiem to wykorzystać. Sprawiało mi to zadowolenie, chociaż nie wierzyłam, bym potrafiła, wykorzystując to, czego się dowiem, napisać pracę doktorską.

- Nie znam się na statystyce ani analizie ilościowej. No i ten język...

Czytałam prace innych i nie potrafię pisać tak jak oni - skarżyłam się Gordonowi.

- Ale masz wiedzę na ten temat, Jasvinder. To najważniejsze.

Jestem pewien, że twoja propozycja tematu pracy doktorskiej do-  
wiedzie, iż mam rację.

Przedstawienie propozycji budziło we mnie przerażenie. Inni doktoranci, a także wykładowcy różnych przedmiotów przyszli posłuchać mojego wystąpienia; w sali zebrało się ponad trzydzieści osób.

Chociaż bardzo się starałam znaleźć czas na zbieranie materiałów, działałam jednocześnie w Karmie Nirwanie, jeździłam z odczytami i zajmowałam się swoimi dziećmi. Czułam, że jestem niedostatecznie przygotowana; za mało przeczytałam na ten temat i pośpiesznie przygotowałam konspekt pracy doktorskiej. Wiedziałam o tym ja, wiedział Gordon, ale nie stracił wiary we mnie, za co jestem mu niezmiernie wdzięczna.

Stałam w małej sali wykładowej, czekając, żeby zacząć, gdy nagle, zupełnie mimo woli, wróciłam myślami do Bradford, gdzie mieszkałam dwadzieścia lat temu. Dwadzieścia lat: wydaje się, że to cała wieczność. Byłam wtedy żoną taty Lisy, zajmowaliśmy się handlem. Mieliśmy stoiska z zegarkami w Leeds i Bradford, kupowaliśmy je na kartony po dwadzieścia pięć pensów za sztukę, a sprzedawaliśmy z marżą, która wydawała mi się szokująco wysoka. Do dziś pamiętam, jak zachwalałam towar: „Zegarek pokazujący czas i datę, z cyfrowym wyświetlaczem, stoperem i luminescencyjną tarczą za śmiesznie niską cenę półtora funta. Co pan na to? Proszę się nie wahać, idą jak ciepłe bułeczki

i zostały tylko trzy". Bywały dni, kiedy sprzedawaliśmy ich sto. „Sprzedać, sprzedać: musisz im dziś jedynie sprzedać swój pomysł". Powtarzałam sobie to jak mantrę, kiedy wchodzili spóźnialscy i zajmowali miejsca. Wiedziałam, że potrafię bez końca mówić na ten temat, ale bałam się pytań, które padną po mojej prezentacji. Niektórych doktorantów znałam ze stołówki i biblioteki, wszyscy byli młodszy ode mnie i lepiej wykształceni. Byli w komfortowej sytuacji, poświęcali swoim studiom pięć dni w tygodniu. Gdyby zechcieli, z łatwością przyparliby mnie do ściany.

Mogło się tak stać już po pierwszym pytaniu. Zadała je młoda kobieta o prostych włosach i bladej cerze, ubrana w kamizelkę zrobioną szydełkiem.

- Jak zamierza pani przeprowadzić analizę danych?

Głośno przełknęłam ślinę.

- Ustaliłam ze swoim promotorem, że moje podejście będzie opisowe.

Skinęła krótko. Miałam nadzieję, że to znaczy, iż usatysfakcjonowałam ją odpowiedzią.

- Jest pani tak bardzo zaangażowana w te sprawy. Uważa pani, że będzie panią stać na obiektywizm? - zapytał mężczyzna w lenonkach.

- Mam duże doświadczenie w tych kwestiach. Ale są jeszcze rzeczy, o których nie wiem ani których nie uwzględniałam. Zamierzam stworzyć pewien dystans między sobą a tematem, prosząc kogoś o przeprowadzenie ze mną wywiadu. - Wiedziałam, że plotę trzy



po trzy, ale nie zadał mi więcej pytań.

Ratunek nadszedł ze strony starszego pana, który krótko się przedstawił, mówiąc, że zajmował się problemem wykorzystywania dzieci.

- Są uderzające podobieństwa między tymi dwiema dziedzinami i uważam, że to, co pani proponuje, może wnieść dużo nowego, jeśli chodzi o poszerzenie wiedzy i zrozumienie tematyki, którą sobie pani wybrała. Życzę pani powodzenia.

\*

Kilka dni później otrzymałam zielone światło. Tak się ucieszyłam, że moja propozycja została przyjęta, iż odsunęłam na bok taki drobiazg jak to, kiedy znajdę czas na doktorat. Jakoś to będzie, powiedziałam sobie i prawdę mówiąc, z chwilą, kiedy przystąpiłam do pisania pracy doktorskiej, całym sercem w to wierzyłam. Przydzielono mi gabinet, schludny pokoik, pusty jak niezapisana kartka papieru. Wykroiłam nieco czasu, który będę mogła w nim spędzać: wczesnym rankiem, między spotkaniami, sporadycznie, kiedy dzieci miały dodatkowe zajęcia, w drodze do domu. Zaczęłam postrzegać uniwersytet jako ustronie, oazę spokoju, gdzie nie dzwoniły telefony i nikt nie prosił mnie o radę czy opinię ani nie oczekiwał, że będę z kimś siedzieć i pocieszać. Czasami kładłam policzek na chłodnym, gładkim blacie biurka, zamykałam oczy i chłonełam ciszę. Spokój. Parę godzin tygodniowo, które udawało mi się tam spędzić, mogłam pracować i nikt mi nie przeszkadzał. To był czas dla mnie. Chociażby na chwilę mogłam zapomnieć o tym, co propagowałam, o świecie zewnętrznym

i skupić się na pracy badawczej. Spędzałam tyle czasu, przemawiając publicznie, że naprawdę bardzo mi odpowiadała rola anonimowej studentki, pochłoniętej lekturą książek.

Nigdy, przenigdy nie przeszło mi przez myśl, że uniwersytet jest miejscem, gdzie mogę się czuć zagrożona, kiedy więc tak się stało w całkiem zwykły dzień, byłam zupełnie na to nieprzygotowana. Szłam szybko korytarzem, kiedy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciłam się i zobaczyłam wykładowczynię, którą ledwo znałam.

- Jasvinder, muszę z tobą porozmawiać. Możesz mi poświęcić chwilkę? - Sprawiała wrażenie bardzo poruszonej, na jej twarzy malowała się troska, kiedy złapała mnie za rękę. Nie miałam pojęcia, czego mogła ode mnie chcieć: moja praca była zła?

- Muszę z tobą porozmawiać - powtórzyła, kiedy wciągnęła mnie do swojego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Przez sekundę opierała się o nie, a potem podbiegła do okna i przymknęła żaluzje. - Musimy porozmawiać o zagrożeniach, Jasvinder. Wiesz, jakie powinnaś przedsięwziąć środki ostrożności?

Bez zastanowienia powiedziałam:

- Tak, ja...

- Niektórym nie podoba się to, co robisz.

Zupełnie mnie zaskoczyła. Stałam i gapiłam się na nią. Wiem, że starała się mi pomóc, ale poczułam się tak, jakby mnie spoliczkowano.

- Słyszę takie uwagi, kiedy jestem na mieście. W zeszłym tygodniu byłam na spotkaniu kobiet sikhów. - Wzięła z biurka duży, czerwony

notes. - To było tak szokujące, że sobie zapisałam. - Kartkowała notes, aż znalazła to, czego szukała. Zaczęła czytać. - „Trzeba uciszyć Jasvinder. Jeśli pojawi się w »Panoramie«, zginie, zabijemy ją. Zna nasz zwyczaj zabójstw honorowych”. - Urwała i spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Wiesz, że kobiety są zdolne zabić kobietę?

Serce mi waliło, dłonie miałam wilgotne od potu, ale mój umysł nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co usłyszałam. Starłam się zachować spokój, nie poddawać lękowi, który we mnie narastał.

- Nie można ich powstrzymać przed powiedzeniem tego, co czują. Chętnie się z nimi spotkam, żeby porozmawiać - wyjąkałam, jakby to miało być jeszcze jedno zwykłe spotkanie, jeszcze jedna okazja głoszenia poglądów.

- Wiesz, jak sprawdzać podwozie samochodu? - Miała bardzo poważną minę.

- W jakim celu? - Domyśliłam się, jeszcze zanim skończyłam zadawać pytanie. Przed oczami przesunęły mi się setki obrazów,

133

widzianych w telewizji. Niespodziewany wybuch. Płonący wrak samochodu. Ogarnięci paniką krzyczący ludzie. Zakrwawione ciała. Czyjś but. Chciałam odsunąć od siebie te straszne obrazy, które sprowokowała swoimi słowami, ale zarazem pragnęłam pocieszenia, żeby ktoś mnie ochronił, i przez krótką chwilę wyobraziłam sobie, że się do niej tulę. Zmusiłam się do słuchania tego, co miała do powiedzenia, póki nie byłam pewna, że przekazała mi wszystkie informacje,

które mogłam wykorzystać jako tarczę przeciwko niebezpieczeństwu.

Potem oznajmiłam:

- Muszę zawiadomić policję. Powinni wiedzieć, kim są te osoby.
- Nie udało mi się zdobyć ich nazwisk.
- Dlaczego? Była tam pani. Musi je pani znać. Dopiero co powiedziała pani, że grożono mi śmiercią...
- Przykro mi, Jasvinder. Powiedz policji, żeby skontaktowała się ze mną, spróbuję pomóc. - Pochyliła się nad biurkiem i zapisała coś na karteczce samoprzylepnej. - To numer mojej komórki.

Wzięłam karteczkę i wyszeptałam „dziękuję”.

Chciałam opuścić gabinet i uciec gdzieś daleko, jak najdalej od tych okropnych przestróg. Pasaże, którymi zawsze przechadzałam się z taką dumą, nagle wydały mi się tunelami, grożącymi uduszeniem. Pospiesznie szłam korytarzem, szukając w torbie telefonu komórkowego, walczyłam z pokusą obejrzenia się za siebie. Wciąż słyszałam jej słowa: „niezadowolone”, „środki bezpieczeństwa”, „zabójstwo”, „samochód”, „sprawdzać”, „sprawdzać”, „sprawdzać”.

Kiedy wyszłam przez podwójne drzwi, wybrałam numer swojej przyjaciółki Trish i stałam w pełnym słońcu, dygocąc.

\*

Trish mówi, że nigdy nie zapomni przerażenia, które usłyszała w moim głosie, kiedy odebrała telefon.

- Naprawdę nie panowałaś nad emocjami, Jas, zachowywałaś się jak zaszczute zwierzę.

Nie płaczę w miejscach publicznych, ale wtedy byłam bliska hi-

sterii; tak bardzo się trzęsłam, że w pewnej chwili wypadł mi z ręki telefon komórkowy. Stojąc pośrodku swojego gabinetu, Trish starała się mnie uspokoić, a kiedy przestałam płakać, zgodziła się ze mną

134

spotkać zaraz po pracy. Znaczący za dwie godziny; minuty się wlokły, a ja ani na chwilę się nie odprężyłam. Sprawdziłam tylne siedzenie w samochodzie, nim usiadłam za kierownicą; idąc ulicą, oglądałam się przez ramię, szybko przechodziłam przez skrzyżowania. Kiedy wreszcie spotkałam się z Trish, nerwy miałam napięte jak postronki i bałam się, że w każdej chwili mi puszcza.

- Dlaczego się tym zajmuję? Bo pora z tym skończyć. - To pierwsze, co jej powiedziałam.

Nigdy wcześniej tak się nie czułam. Mocno wierzę w to, co robię, Karma Nirvana jest dla mnie niezwykle ważna, rezygnacja z tej działalności byłaby dla mnie równoznaczna niemal z porzuceniem własnego dziecka. I Trish o tym wie. Zastanowiła się chwilę, potem głęboko westchnęła, zgasiła papierosa i powiedziała:

- Wolno ci z tym skończyć tylko wtedy, kiedy sama tego zechcesz. Nie pozwól, by ktokolwiek cię do tego zmusił.

Tamtego popołudnia odciągnęła mnie od skraju przepaści. Dzięki niej się uspokoiłam. Po wyjściu z kawiarni razem ze mną udała się na policję, by zawiadomić o incydencie. Relacjonując to, znów się zdenerwowałam.

- Grupa kobiet sikhów? - spytała policjantka. - Może pani wyrażać się jaśniej? - Oczywiście nie mogłam. Dostałam gęsiejszej skórki, czułam

pulsowanie krwi w skroniach. W East Midlands wszędzie są grupy kobiet sikhów; czy gdziekolwiek jestem bezpieczna?

Kiedy opuściłam posterunek policji, wciąż się bałam, byłam wytrącona z równowagi. Rozmowy o zagrożeniach i ocena ryzyka to teraz część mojego życia. Zwykle po zgłoszeniu na policji jakiegoś przypadku czułam się uspokojona. Policjanci potrafili rzetelnie, rozsądnie przypomnieć mi o środkach bezpieczeństwa, jakie przedsięwzięliśmy: „Macie niebieską skrzynkę, macie przycisk alarmu...”. Kończyli tę wyliczankę słowami: „A więc, Jasvinder, nie bój się, nie spuścimy cię z oka”.

Tym razem inaczej zakończyli rozmowę. Policjantka, zmarszczywszy czoło, podsumowała rozmowę:

- W porządku. Mam wszystkie szczegóły. Postaramy się jak najszybciej z panią skontaktować.

135

Dwa dni później pojechałam z Trish na konferencję do Londynu; policja poradziła mi, żebym nie podróżowała samotnie. Wróciliśmy do Derby koło piątej po południu i szliśmy na parking koło stacji kolejowej, kiedy zobaczyłam dwójkę funkcjonariuszy policji z naszego posterunku, kierujących się w moją stronę. Serce mi zamarło; pomyślałam o dzieciach, starałam się sobie przypomnieć ich rozkład dnia. Przyspieszyłam kroku, ale kiedy znalazłyśmy się bliżej, zorientowałam się po ich spokojnym chodzie, że nie pojawili się, by przekazać mi jakąś złą wiadomość.

- Jeśli może nam pani poświęcić dziesięć minut, pokażemy

pani, jak sprawdzać podwozie samochodu - powiedział funkcyj-  
nariusz.

Stałam jak wryta; nie miałam odwagi się odezwać. Przez dwa  
ostatnie dni świadomie starałam się wymazać z pamięci złowieszcze  
słowa, usłyszane na uniwersytecie, zapomnieć o nich, by móc zajmo-  
wać się sprawami dnia codziennego. Teraz je sobie przypomniałam;  
w jednej chwili zburzyły mój kruchy spokój umysłu.

Jasvinder należy uciszyć. Zna nasz zwyczaj zabójstw honoro-  
wych.

Stałam, jakbym wrosła w ziemię.

- Nie ma powodów do niepokoju, Jasvinder, to zwykłe środki  
ostrożności. Rozmawialiśmy o tym poprzednio? - Policjant dotknął  
mojego ramienia. We czwórkę poszliśmy w stronę samochodu. Trish  
i ja musiałyśmy przyspieszyć kroku, żeby za nimi nadążyć. Serce ło-  
motało, w głowie mi się kręciło. Był letni wieczór, powietrze wciąż  
ciężkie po upalnym dniu. Jechał sznur pojazdów, mój samochód po-  
winien znajdować się wśród nich, a tymczasem stałam razem z Trish  
obok swojego wozu i przyglądałam się, jak sprawdzać, czy nikt nie  
podłożył mi bomby. Czułam się dziwnie, jakbym obserwowwała siebie,  
patrząc przez teleskop z niewłaściwego końca. To z pewnością nie  
mogło się dziać naprawdę.

Ścieśniliśmy się, kiedy policjant odpakował urządzenie. Był to długi  
pręt z lusterkiem na jednym końcu. Zamachał nim przed nami, nim  
przystąpił do prezentacji - jak sztukmistrz różdżką, pomyślałam

- a potem się zawstydziałam, że w takiej chwili niepoważne myśli przychodzą mi do głowy.

- Przesuwaj lusterko pod podwoziem w taki sposób. - Przesunął lusterko do przodu i do tyłu. - A potem tak. - Zmienił kierunek ruchu. - Jeśli będziesz nachylała lusterko pod takim kątem, zawsze będziesz mogła zobaczyć...

- Przepraszam, ale czego ma szukać, jak rozpozna... - Trish zawahała się, bo w tamtej chwili uciekło jej z głowy neutralne, ugrzecznione określenie bomby, które miało nas chronić przed tym, że szukaliśmy czegoś, co mogło rozerwać mnie i moje dzieci na strzępy.

- Ładunek? - Policjant przesunął lusterkiem. - Zwykle przypomina pudełko lodów. Jest umieszczony mniej więcej w tym miejscu podwozia. - Przechylał lusterko pod różnym kątem w jednym miejscu. - No więc, Jasvinder, ważne, żebyś robiła to każdego ranka...

- Każdego ranka? - Nagle przestałam patrzeć na siebie przez teleskop i wróciłam do rzeczywistości. - Spodziewacie się, że będę to robić każdego ranka! Co powiem dzieciom? „Nie wsiadaj do samochodu, Mario, przytrzymaj Joshuę. Muszę sprawdzić, czy nie podłożono bomby. Nie martwcie się, to nie potrwa długo. Nie spóźnimy się”. Miejsce strachu zajął gniew i aż mi drżał głos. Dostałam białej gorączki. Nie byłam zła na nieszczęsnych policjantów, dobrze ich znałam i robili to, co do nich należało. Byłam wściekła na pozbawionych imion i twarzy ludzi, tchórzy, niemających dość odwagi, by otwarcie mnie krytykować, przez których wszyscy znaleźliśmy się



w tym nedorzecznym położeniu. Czułam, jak się we mnie gotuje, już chciałam dać upust emocjom, które dusiłam w sobie przez dwa ostatnie dni, kiedy nagle Trish nachyliła się do mnie. Poczulałam jej ciepłą obecność i w jednej chwili się zreflektowałam. Nie chciałam robić z siebie pośmiewiska na parkingu, złorzecząc anonimowemu wrogowi na oczach mijających nas strudzonych podróżnych i w obecności policjantów, którzy, prawdopodobnie zmęczeni, pragnęli iść do domu na kolację. Nie chciałam na nich wyładowywać złości. Wzięłam głęboki oddech i podziękowałam policjantowi, który dał mi lusterko na wysięgniku. Wsadziłam je do bagażnika, gdzie leży do dzisiaj.

137

W następną sobotę Trish przyszła do mnie do domu; parę godzin rozmawiałyśmy, czyja, matka trójki dzieci, mam prawo narażać się na ryzyko. Jak wielkie jest niebezpieczeństwo? Czy udziela się im mój strach, który czasami mnie ogarnia? A co one czują? Boją się? Jestem samolubna? Nieodpowiedzialna? Czy jestem im winna całe swoje życie? Co by się stało z Karmą Nirvaną, gdybym ją zostawiła samą sobie? Te biedne kobiety, odrzucone przez rodzinę, nie zasługują na pomoc, gdy się do nas zwrócą?

W kółko maglowałyśmy temat, starając się odpowiedzieć na pytania cisnące się nam na usta, uparte jak rój os. Było dobrze po północy, resztki kawy zdążyły wystygnać, a szalone myśli, od których pękała mi głowa, zniknęły, zostawiając po sobie tępe łupanie, kiedy utwierdziłam się w przekonaniu w dwóch kwestiach. Czasami dzieci nie

chcą, żebym się zajmowała tym, co robię; wiem o tym i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Ale wiem również, że poza dziećmi ta praca jest sensem mojego życia. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę zdolna z niej zrezygnować.

17

Rozważania nie skończyły się na tym. Wciąż się zastanawiałam nad prowadzoną działalnością, jaki wpływ ma ona na moje życie. W głowie rozbrzmiewały mi argumenty, które przedstawiłam Trish i sobie. Rozpraszały mnie, kiedy pracowałam późno albo próbowałam czytać, jadąc pociągiem na konferencję. Ponieważ dni i tygodnie upływały, pozostawiając mnie w przeświadczeniu, że wiecznie biegę, by nie zostać w tyle, uzmysłowiłam sobie, że chodzi nie tylko o ryzyko i niebezpieczeństwo, ale również poczucie winy, gdy muszę dzieci posyłać do świetlicy albo zbyt często mówić im „dobranoc” przez telefon. Jak wszystkie matki pracujące zawodowo, czułam się rozdarta między dwiema najważniejszymi rzeczami w życiu.

Nie ma łatwej odpowiedzi na to pytanie, wie o tym każda matka pracująca zawodowo, ale nim upłynął miesiąc, spotkałam dziewczynę - nazwijmy ją Lamika - której losy przekonały mnie, że muszę działać, że nie mogę się wycofać, bo jeśli odwrócę się tyłem do takiego okrucieństwa i niesprawiedliwości, nigdy nie będę mogła spokojnie spać.

Lamika miała zaledwie trzynaście lat. Razem z ojcem aresztowano ją pod zarzutem zamordowania dwudziestojednoletniego mężczyzny, o którym wiadomo, że był jej chłopakiem. Zmarł w wyniku obrażeń

głowy, spowodowanych najprawdopodobniej uderzeniami kija baseballowego. Jej nastoletniego brata i matkę aresztowano za utrudnianie pracy policji, Lamikę też przesłuchiowano na tę okoliczność.

Akta jej sprawy przesłano do mnie; śledczy poprosili o wydanie opinii, czy Lamice może teraz coś grozić ze strony jej rodziny, czy

139

moim zdaniem bliscy mogą się posunąć do przemocy, a nawet zabójstwa w imię honoru.

Przeczytałam całość materiałów i aż krew ścięła mi się w żyłach, kiedy pomyślałam o tej dziewczynie, jeszcze dziecku, w wieku mojej Marii. Śmiem twierdzić, że każdej dziewczynie muzułmance, która ma chłopaka, grozi ryzyko ze strony rodziny, szczególnie kiedy ona ma zaledwie trzynaście lat, a jej przyjaciel - dwadzieścia jeden. O zabójstwie i aresztowaniach rozpisywała się prasa, w jednej gazecie zacytowano wypowiedź „przyjaciela rodziny”. Powiedział: „Można sobie wyobrazić, jak zdenerwowali się matka i ojciec dziewczyny, kiedy się dowiedzieli, że ich córka spotyka się z dwudziestoletnim mężczyzną. Chociaż ta znajomość zaczęła się bardzo niedawno, chcieli jak najszybciej położyć jej kres”. Wstydzili się przed ludźmi i uważałam, że w najlepszym razie wyślą Lamikę do ojczyzny i wydadzą za pierwszego, kto ją zechce za żonę.

Nie dawało mi jednak spokoju pytanie, dlaczego podejrzewano ją o morderstwo. Znane są przypadki, kiedy młodszy członkowie azjatyckiej rodziny są zmuszani do ponoszenia odpowiedzialności za przestępstwa popełnione przez starszych, którzy zakładają, słusznie,

że wobec nieletnich sąd nie będzie zbyt surowy.

W swojej opinii nic nie kryłam. Moim zdaniem Lamice grozi niebezpieczeństwo wymuszonego małżeństwa albo zabójstwa honorowego, dodałam również, że dopóki będzie przebywać w domu rodziców, wszystkie słowa, które padną z jej ust, wtłoczyli jej do gardła rodzice. Ponieważ wciąż mają nad nią władzę, niemożliwością będzie ustalenie prawdy. Napisałam, że dziewczynę należałoby umieścić w rodzinie zastępczej, najlepiej nieazjatyckiego pochodzenia, i miałam nadzieję, że ten prosty środek zaradczy zapewni Lamice bezpieczeństwo.

Po zapoznaniu się z moimi uwagami funkcjonariusz policji, który przysłał mi materiał do zaopiniowania, powiedział, że pracownik opieki społecznej zadzwoni do mnie, byśmy mogli właściwie ocenić ryzyko, ale nigdy nikt się ze mną nie skontaktował. To smutne, lecz taka jest zwykle reakcja opieki społecznej. Czasami tracę nadzieję, czy kiedykolwiek doczekam się jakichś prawdziwych zmian. Przez wiele nocy prześladowały mnie myśli o tym dziecku; wiem, że ze strachem przeżywa każdy kolejny dzień, wieczorami boi się usnąć, zadrećza

140

się przeszłością, lęka przyszłości, nie ma nikogo, do kogo mogłoby się zwrócić o pomoc.

W dniu, w którym doszło do incydentu, rodzina Lamiki kilkakrotnie dzwoniła pod 999, wyrażając swoje zaniepokojenie o chłopaka dziewczynki, ale policja nie zareagowała na czas, pojawiła się na miejscu wydarzenia, kiedy młody mężczyzna dogorywał. Gdyby się pospieszyli, może chłopak by nie umarł, a życie Lamiki nie zo-

stałoby zrujnowane.

Jakże często ważna jest szybkość reakcji; minuty, nawet sekundy decydują o czyimś życiu lub śmierci. Komisarz Tony Hutchinson z policji w Cleveland rozumie to lepiej od innych. Uważa, że szczególnie w sprawach przemocy w imię honoru najważniejszy jest czas. Kiedy się z nim spotkałam, opracowywał plan działania, który to uwzględnił.

Z miejsca polubiłam Tony'ego: jest dużym, krzepkim mężczyzną o łysej głowie i najsympatyczniejszej twarzy, jaką widziałam.

Przepracowawszy dwadzieścia pięć lat w wydziale dochodzeniowym policji w Cleveland, został szefem sekcji do spraw zabójstw. W jego obecności nabiera się otuchy, bo widać, że jest człowiekiem o ogromnym doświadczeniu, chociaż, i to najbardziej w nim cenię, nie boi się przyznać, że czegoś nie wie.

Nie wiedział nic o zabójstwach honorowych i wymuszonych małżeństwach, póki nie udał się do Londynu na konferencję poświęconą tym sprawom, gdzie usłyszał wypowiedź Anny, która nas reprezentowała. (Kiedy teraz to wspominamy, obie się śmiejemy: przemawiałam gdzie indziej i poprosiłam Annę, żeby mnie zastąpiła. Zapewniałam ją, że to tylko warsztaty dla dwudziestu kilku policjantów - gdybym powiedziała prawdę, że to konferencja z udziałem ponad dwustu osób, nie pojechałaby na nią!). Doskonale się spisała. Tony powiedział, że zrobiła na nim wrażenie.

- Przez całą drogę powrotną pociągiem do domu zadawałem sobie pytanie, czy takie przypadki dotyczą Cleveland, i wciąż wracałem

myślami do domów, do których byłem wzywany, kiedy podpałała się jakaś Azjatka. Zawsze uważałem to za samobójstwa. Rozmyślałem: wstąpiłem do policji dwadzieścia dziewięć lat temu, żeby chronić słabych i bezbronnych, ale czy to robię? Czy też nocami leżę w ciepłym łóżku, kiedy w moim rewirze są osoby przymuszane do małżeństwa albo, co gorsza, żyjące w strachu o swoje życie?

Po konsultacjach z kolegami zorganizowałem seminarium, by zwrócić uwagę na te kwestie. Zaprosił mnie, bym na nim wystąpiła.

- Najwygodniej byłoby ignorować to, co się dzieje z tymi kobietami, ale wygodne rozwiązanie nie zawsze jest słuszne - powiedział tamtego dnia. - Uderza mnie, że my - a mówiąc „my”, mam na myśli większość społeczeństwa - traktujemy dziś sprawę wymuszonych małżeństw tak, jak w latach siedemdziesiątych traktowaliśmy przemoc w rodzinie: „To dotyczy innych ludzi, to nieszczęście, ale cóż można poradzić?”. Potrzebna była olbrzymia kampania władz, środki finansowe i niestrudzona praca ze strony organizacji społecznych, żeby doprowadzić do zmiany tej postawy i - moim zdaniem - to samo należy zrobić teraz.

Pomysł Tony'ego, podobnie jak początki działalności Karmy Nirvany, był obliczony na małą skalę i bardzo praktyczny. Chciał uruchomić bezpłatną linię telefoniczną, dostępną przez całą dobę, obsługiwaną przez maksymalnie dwudziestu ochotników, dla osób, dzwoniących w sprawie wymuszonych małżeństw albo zabójstw honorowych.

- Moim zdaniem, Jasvinder, te dziewczyny nie mają czasu, żeby przedstawić swoją sprawę, dzwoniąc pod jeden numer, który ob-

sługuje straż pożarną, policję i pogotowie ratunkowe. Mogą być niepilnowane tylko przez kilka chwil, więc muszą poprosić o pomoc przed powrotem tego, kto ich pilnuje. Gdybyś pomogła nam przeszkolić naszych ochotników, zrozumieliby problem i mogliby kierować kobiety do właściwych służb - na przykład Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw albo do Nirvany. Pomyślałem sobie, że, jeśli nie masz nic przeciwko temu, na początku przyszedłbym, żeby poobserwować was przy pracy.

Traktował tę linię telefoniczną jako lokalną inicjatywę i szukał środków finansowych.

- To początek; może z czasem inne jednostki zaadaptują albo ulepszą mój pomysł. Poczekamy, zobaczymy. Być może nikt nie zadzwoni, ale myślę, że jeśli zatelefonuje choćby jedna osoba, można to uznać za sukces.

18

Musiałam stoczyć ostrą walkę, żeby zatrzymać dla Sanah miejsce w schronisku. Przez ostatnie tygodnie coraz więcej czasu spędzała u siostry.

- Poszłam ją odwiedzić, Jas, a potem - sama nie wiem kiedy

- zrobiło się późno, więc zostałam u niej na noc.

Musiałam jej wytłumaczyć, że zajmuje miejsce przeznaczone dla osób bezdomnych, i rozumiała to, ale walczyła: próbowała żyć jak kobieta niezależna, chociaż w gruncie rzeczy była dzieckiem, które tęskniło za mamą. Łaknęła choćby odrobiny uwagi ze strony rodziny i nie przyjmowała do wiadomości, że miłość jej siostry jest warunkowa, że siostra

próbuję ją manipulować. Wydaje się czymś okrutnym pozbawianie jej złudzeń, ale dlaczego siostra Sanah dzwoniła do niej i mówiła:

- Jesteśmy wszyscy tutaj, zaprosił nas tata. Gdybyś tylko zgodziła się zrobić to, czego chce, mogłabyś być z nami.

Lepiej zrozumiałam jej położenie, kiedy pewnego dnia przypadkiem usłyszałam, co o niej sądzi osoba postronna. Spotkałam się z jej dawną szkolną przyjaciółką, Kuljit. Nie widziałam się z nią od czasu naszej pierwszej rozmowy w gabinecie Heather Jackson, ale ona i Rashpal od miesiąca albo dwóch utrzymywały ze sobą kontakt. Rashpal mówiła o ucieczce z domu, lecz o ile wiem, nigdy się na to nie zdecydowała; przestała dzwonić i od tamtej pory nic o niej nie wiedziałam. Kuljit uciekła z domu. Miała za sobą okres ucieczek i powrotów, a potem, dość niespodziewanie, zmieniła zdanie. Powiedziała mi przez telefon, że już więcej do mnie nie zadzwoni; postanowiła podporządkować się woli rodziców.

- Uważam, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze, Jas.

- Jak się masz, Kuljit? - Przypadkiem spotkałyśmy się na ulicy.

Była blada, miała na sobie workowaty, czarny strój. Przestała chodzić do szkoły, czeka na właściwy moment, na ślub z mężczyzną, którego wybiorą dla niej rodzice. - Chcesz tego? - zapytałam delikatnie, mając nadzieję, że jakoś uda mi się ją przekonać, by zrezygnowała z powściągliwości, jakiej wymaga honor, i wyznała mi, co naprawdę czuje.

Bez chwili wahania i zupełnie szczerze odparła:

- Wolę to niż drugie rozwiązanie, Jas. No bo spójrz na Sanah. Widuję



ją na ulicy, idzie do waszego biura albo wraca na noc do domu. Czuje się dobrze, kiedy jest z tobą, ale przez resztę czasu? Nie ma pieniędzy, nie ma prawdziwego domu. Zawsze jest sama, rodzice nie chcą mieć z nią nic wspólnego. Nie potępiam ich, poświęcali się dla niej, a jak się im odplaciła? Ucieczką z domu. Wiesz, co mówią ludzie, Jas? Że Sanah jest niewdzięczną zdzirą.

Ostre słowa mnie nie zdziwiły, chociaż było mi przykro, że odnoszą się do Sanah. Znam kilka kobiet, które po skontaktowaniu się z Karmą Nirvaną zdecydowały pozostać w rodzinnym domu. Wiem, co myślą o tych, które zerwały z rodziną. Uważają to samo co Kuljit. „Powinny okazać szacunek rodzinie i nie być egoistkami”. „Uciekły z domu, bo chcą się puszczać na prawo i lewo”. „Budzą mój wstręt, próbując zachowywać się jak białe kobiety”. No i zawsze, naturalnie, zdanie świadczące o ich rozgoryczeniu: „My się poświęciliśmy, dlaczego one nie mogą?”.

Poczułam się odpowiedzialna za losy Sanah, próbowałam pomóc nadać jej życiu jakiś sens. Powiedziałam jej, że powinna sporządzić rozkład dnia, w którym znalazłyby się lekcje angielskiego i matematyki. Brakowało jej jednak motywacji. Zaczynała naukę, a potem z niej rezygnowała. Miało to związek z brakiem pewności siebie.

Sanah zawsze się wycofywała, kiedy napotkała trudności. Była jedną z dziewcząt, które umocniły mnie w przekonaniu, że muszę stworzyć Sieć Przyjaciół.

W tym czasie już trwały szkolenia menterek, ale wiedziałam, że będą potrzebne pieniądze na świadczenie usług w takim kształcie,

jak to sobie wyobrażałam, i postanowiłam znów się zwrócić do Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw. Mieliśmy dobre stosunki. Personel Karmy Nirvany pomógł przy opracowywaniu informatora dla ofiar, który otrzymują osoby próbujące na nowo ułożyć sobie życie: Shazia i Kiren są bardzo dumne, że zacytowano tam ich wypowiedzi. Uważam, iż pomogliśmy urzędnikom zrozumieć kilka związanych z tym kwestii; z całą pewnością ta instytucja przebyła długą drogę od czasu, kiedy miałam z nią kontakt po raz pierwszy, co wspominam z uśmiechem.

Zadzwoiłam jakiś rok po jej utworzeniu i się przedstawiłam.

Powiedziałam, że działam w Karmie Nirvany, organizacji z siedzibą w Derby, pomagającej kobietom z południowej Azji, które padły ofiarą przemocy w imię honoru i wymuszonych małżeństw. Po chwili ciszy w słuchawce usłyszałam:

- Chce pani powiedzieć, że w Derby są przypadki wymuszonych małżeństw?

- Tak - potwierdziłam - i rozmawia pan z osobą, która ledwo tego uniknęła.

Był zdumiony. Widzę go, jak pociera czoło i mówi:

- Wiedziałem o takich przypadkach w Bradford, ale nie w Derby.

Pomyślałam sobie: świetnie, teraz wiem na pewno, dlaczego musimy współpracować z tymi ludźmi.

Do jednostki zgłasza się teraz pięć tysięcy osób rocznie, każdego roku repatriują do czterystu obywateli Wielkiej Brytanii,

zmuszonych do małżeństwa albo zagrożonych tego rodzaju przemocą. Poza prewencją ważną częścią ich działalności musi się stać późniejsza pomoc dla kobiet, które uniknęły wymuszonego małżeństwa albo którym ułatwiono rozstanie z narzuconym przez rodzinę partnerem. Wydawało mi się, że mamy wspólne cele.

Zadzwoiłam do Petera Abbotta, wówczas szefa jednostki, i umówiłam się na spotkanie. Dzięki temu, że często występowaliśmy na konferencjach, w czasie kiedy piastował to stanowisko, dobrze go poznałam i polubiłam. Różnimy się, ale dzięki wspólnym zainteresowaniom zawsze mamy o czym rozmawiać. Żartowałam sobie z niego, że należy do przedstawicieli rzadkiego gatunku: urzędników z sercem.

145

Peter nie ukrywa, że musiał się bardzo dużo nauczyć, kiedy wstąpił do jednostki; przyznał się, że niektóre szkolenia były szokujące, wspominał o powierzonej mu misji ratunkowej w Pakistanie. Sześćdziesiąt pięć procent spraw, jakimi zajmuje się Jednostka do spraw Wymuszonych Małżeństw, dotyczy tego kraju. Wezwano ekipę na pomoc do Brytyjki, którą dalsi krewni przetrzymywali w wiosce, jakieś dwie godziny jazdy od Islamabadu.

Wyruszyli we trójkę: Peter, Shailin, też z Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, i Ammara, miejscowa; jej zadaniem było prowadzenie rozmów. Peter nie ukrywał, że bardzo się denerwował. Krajobraz, upał, język - wszystko obce, na dodatek wiadomo, że nie zostaną mile powitani. Wyobraziłam go sobie, gdy pojawia się w małej

wiosce, która wyglądała jakby żywcem przeniesiona z kart podręcznika do historii średniowiecza. Obdarte dzieciaki biegły za jadącym samochodem, a kiedy wóz się zatrzymał i Peter z niego wysiadł, przylgnęły płasko do ścian, w ich wielkich, brązowych oczach malowały się ciekawość i podejrzliwość.

Powiedział, że wszedł na podwórko najbardziej okazałego domu w wiosce i zastał tam tłum zgromadzony wokół bardzo wiekowego mężczyzny, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na niskim taborecie.

- Rozmawiali. Nim tam weszliśmy, było słychać przyciszony gwar rozmów. Ale kiedy dotarliśmy sklepionym przejściem na dziedziniec, natychmiast umilkli i poczułem utkwione w nas wrogie spojrzenia pięćdziesięciu par oczu.

Kiedy Peter mi to opowiadał, aż dostałam gęsiej skórki. Niemal widziałam, jak bierze głęboki oddech, by się uspokoić, prostuje kościste ramiona, a kropelki potu spływają mu po plecach.

- Ammara podeszła do starca i przedstawiła nas. Wyjaśniła, że przyjechaliśmy sprawdzić, czy nie dzieje się krzywda obywatelce brytyjskiej, Mariam Khan. Nie musiała tłumaczyć jego odpowiedzi. Z kręcenia głową, kiwania palcami i wzruszania ramionami łatwo dało się wywnioskować, że jej tam nie ma. Nie ulegało również wątpliwości, że nas też tam nie chcieli.

146

Petera uprzedzono, że ekipa musi być nieustępliwa, ale dotarcie do Mariam okazało się łatwiejsze, niż się spodziewał. Kiedy Ammara

oświadczyła, że nikt nie może się oddalić, póki nie zobaczą Mariam, z tłumu wystąpiła jakaś kobieta i - dając znak ekipie, by za nią poszła - zaprowadziła ich do domu, potem na górę i wąskim, nieoświetlonym korytarzem. Kobieta była w średnim wieku, zachowywała się władczo, niemal arogancko. Peter podejrzewał, że może jest teściową Mariam. Na końcu korytarza zatrzymała się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami i zanim je otworzyła, rzuciła mu spojrzenie, które można by określić jako „wyzywające”.

Drzwi prowadziły do sypialni - przynajmniej stało tam łóżko, na którym siedziała dziewczyna. Mimo półmroku Peter rozpoznał w niej Mariam, wcześniej widział zdjęcia. Poza łóżkiem nie dostrzegł innych sprzętów, betonowej podłogi niczym nie przykryto, żadnej lampy, światło wpadało tylko przez pozbawione szyb okna w ścianach po obu stronach łóżka. Dziewczyna nie była w pokoju sama. Peter poprosił Ammarę, by wytłumaczyła, że zgodnie z przepisami muszą porozmawiać z brytyjską obywatelką bez świadków. Wtedy Mariam zaczęła krzyczeć po angielsku: „Nic mi nie jest, dziękuję. Proszę odejść. Nie prosiłam, żebyście tu przyjechali. Nie chcę was tu”.

Wszyscy się zmieszali, ludzie skupili się wokół Ammary, prosząc, by przetłumaczyła słowa dziewczyny. Mariam skorzystała z tej chwili nieuwagi, żeby wskazać otwarte okna po obu jej stronach, a potem przytknęła dłoń do ucha, by dać do zrozumienia, że wszyscy nasłuchują, co się tutaj dzieje. Przesunęła też palcem po szyi i powiedziała bezgłośnie: „Zabiją mnie”.

- Uznałem, że jest tylko jedno wyjście z sytuacji - ciągnął Peter.

- Ammara udała się do starca, niewątpliwie członka starszyny, i oświadczyła, że musimy na jakiś czas zabrać Mariam do ambasady, bo coś jest nie w porządku z jej paszportem. Tym razem nie tracił czasu na kręcenie głową, ale nadal nie potrzebowałem tłumacza, by zrozumieć jego słowa. Nie ulegało wątpliwości, że krzyknął: „Nie, nie możecie jej zabrać! Wynoście się stąd”. Byłem przerażony. Widziałem mężczyzn stojących na dachach domów, które otaczały dziedziniec, kilku trzymało broń; później się dowiedziałem, że powiedziano im, by zabili Mariam, gdyby próbowała opuścić budynek.

147

Musieliśmy działać szybko. Poprosiłem Ammarę, żeby powiedziała: „Bardzo mi przykro, wiem, że to kłopotliwe, lecz nie ma innego wyjścia, musimy ją zabrać. Ale może ktoś z rodziny pojedzie z nią? Niestety w naszym samochodzie nie ma wolnych miejsc, lecz możecie pojechać za nami swoim wozem”.

Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, jak Peter wykorzystuje brytyjskie dobre maniery w charakterze oręza, ale szybko spoważniałam, bo to, co mi powiedział potem, wstrząsnęło mną do głębi. Kiedy krewni odprowadzili Mariam do samochodu, wsiadła - poruszając się bardzo sztywno - i zgięła się wpół na siedzeniu. Nikt się nie odzywał, póki nie odjechali kawałek, a tłum nie zniknął w chmurze pyłu. Dopiero wtedy Shailin próbowała jej dodać otuchy.

- Jesteś bezpieczna, możesz usiąść prosto. Nie martw się. Wprawdzie twoi teściowie jadą za nami, ale nic ci nie grozi, kiedy jesteś z nami. - Miriam nie zmieniła pozycji, tylko zwróciła głowę w stronę

Shailin.

- Nie mogę usiąść prosto - odezwała się słabiutkim głosem.

- Tak często mnie bili, że każdy ruch sprawia mi ból. Nie mogę się oprzeć.

- Dzięki Bogu, że ją wywiozłeś - powiedziałam. - Musiałeś być z siebie dumny, że udało ci się ją uratować.

- Mylisz się - odparł Peter. - Zawieźliśmy ją do ambasady, zdołaliśmy zaprowadzić do pokoju przesłuchań samą. Kiedy Shailin udało się zdobyć jej zaufanie, Mariam opowiedziała jej o swoim małżeństwie, o biciu, o wszystkim. Zmuszono ją do poślubienia kuzyna. On i jego bracia zabierali ją do szopy, swego rodzaju arsenału, pełnego karabinów i noży - i tam bili. Zagrozili, że ją zamordują, jeśli wspomni o tym komuś spoza rodziny. Spisaliśmy wszystko, a potem zaczęliśmy czynić przygotowania do przewiezienia jej do Anglii. Była bardzo młodziutka, ale powiedziała, że ma chłopaka i może na niego liczyć. To z jego powodu rodzice wydali Mariam za mąż. Mogła lecieć do Londynu za dzień lub dwa, więc załatwiłem dla niej miejsce w bardzo dobrym schronisku w Islamabadzie, utworzonym przez rząd Wielkiej Brytanii. Właśnie stamtąd zadzwoniła do Shailin. - Peter urwał; na jego twarzy malował się ból pomieszany z konsternacją. - Oświadczyła, że zmienia zdanie, nie wróci do Anglii. Skontaktował

148

się z nią jej chłopak, powiedział, że się boi, nie czuje się na siłach udzielić jej wsparcia. „Rozumiesz mnie, prawda?” - spytała, a potem dodała - to jej słowa, nigdy ich nie zapomnę: „Jestem nikim bez mojej

rodziny. Muszę wrócić do wioski. Nie mam wyboru".

19

Często uczestniczę w konferencjach organizowanych podczas weekendu. Pewnego ranka stwierdziłam, że mam pierwszy wolny dzień chyba od miesiąca. Lisa właśnie się przeprowadziła do nowego domu. Umówiłam się z nią i z Shazią na zakupy w Pak Foods na końcu Normanton Road. To jeden z największych sklepów azjatyckich w Derby; wszyscy tam chodzą, ale nigdy nie w pojedynkę. I wcale nie dlatego, że okolice są niebezpieczne, ale pracuje tam tylu Azjatów, że gapiliby się na samotną kobietę robiącą zakupy. Kiedyś mnie to złościło, patrzyłam na nich i pytałam: „O co chodzi? Na co się gapisz?”. Ale teraz tylko sobie myślę: „Cóż, wybierzmy się razem”. We trzy chodziłyśmy więc po sklepie razem z innymi mamami, córkami i synowymi, między kolorowymi górami papryk i bakłażanów, przypraw i ziół, cebul, szpinaku i ziemniaków, zastanawiając się, co kupić.

- Może tego melona? Uważacie, że jest dojrzały?

- Wezmę garść tego... I spójrzcie... Kupimy na spółkę czosnek?

- Potrzebuję kilku papryczek chili. Ile powinnam wziąć, mamo?

- zapytała Shazia. Nie pamiętam, kiedy zaczęła mówić do mnie „mamo”, ale tak się do tego przyzwyczaiła, że musi się pilnować, by na konferencjach zwracać się do mnie po imieniu.

\*

Nie umiałabym robić zakupów, nie miałabym pojęcia, jakie kupować przyprawy, gdybym się tego nie nauczyła od mamy. Potem



podzieliłam się moją wiedzą z Lisą, a teraz przyszła kolej na Shazię; wymieniamy się doświadczeniami, ona nauczyła mnie używać pewnych przypraw, a ja nauczyłam ją.

Moja mama nigdy nie robiła zakupów w Pak Food - kiedy otworzyli ten sklep, była już zbyt słaba i chora, by tam chodzić - ale ostry, korzenny zapach przypraw zawsze przywodzi mi na myśl kuchnię w naszym domu przy Dale Road, w której mama, zaróżowiona od gorąca, mieszała curry w dużym garnku na kuchence.

Kupowała najrozmaitsze przyprawy w stanie świeżym, suszyła je, a potem mełła, by zrobić garam masalę. W całym domu były stosy korzeni, każde pomieszczenie przesycił ich zapach. Po śmierci mamy tata próbował kontynuować tradycję, ale uznał, że to zbyt trudne, zaczął więc kupować gotowe mieszanki przypraw w torebkach. Po przyjeździe do domu wystarczyło je zemełć. Na pewno mama też by tak robiła, gdyby wiedziała, że jest taka możliwość.

Po śmierci taty zabrałam ostatnią torbę masali, jaką zemeł - nie psuje się, im dłużej ją trzymać, tym lepiej smakuje. Używałam jej po odrobinie, wydzielałam oszczędnie, wzbogacając wspomnieniem taty różne dania. To moja jedyna więź z nim i chciałam, żeby trwała wiecznie. Kiedy zużyłam całą masalę, byłam niepoczyszona.

Wzięłam też jego tawę, metalową patelnię, na której smaży się ćapati. Zrobił ją w odlewni, gdzie pracował, i to, że trafiła teraz do mojego domu, jest dla mnie bardzo ważne. Tawa odgrywa istotną rolę w azjatyckiej kuchni; to pierwsza rzecz, jaką muszą kupić dziewczyny, które uciekły z domu, gdy zakładają własne gospodarstwo.

Jedzenie dla wielu z nich jest bowiem czymś niezwykle istotnym.

Gryzący zapach gotowanych potraw, garnek z curry na kuchence, wspólny posiłek - to podstawa azjatyckiego życia rodzinnego. Kiedy tego zabraknie i ich miejsce zajmują potrawy podgrzewane w mikrofalówce, puszki fasolki i dania na wynos - tym dotkliwsza wydaje się pustka w życiu tych dziewcząt.

Niektóre jakby na przekór wszystkiemu zostają doskonałymi kucharzami, inne, większość, nie wracają do tradycyjnych potraw. Tego dnia, kiedy poznałam Yasmin, odprowadziła mnie do samochodu i zobaczyła w bagażniku worek mąki na ćapati.

- Ojej - zawołała takim tonem, jakby zobaczyła dawno niewidzianą, ukochaną zabawkę. Stanowiło to dla niej przypomnienie domu

151

rodzinnego. Mąkę na ćapati można kupić tylko w dużych opakowaniach, przeznaczonych dla całej rodziny -jedna osoba, mieszkająca samotnie, nie zużyłaby takiej ilości przez całe życie.

- Weź trochę - zaproponowałam i chciałam otworzyć torbę, ale błyskawicznie wyciągnęła rękę, by mnie powstrzymać.

- Nie, nie. Nie ma mowy. Nie chcę sobie zaprzętać głowy gotowaniem. Powiedziałam ci, że nie przyrządzam posiłków w domu.

\*

Tamtego dnia była piękna pogoda, po zakupach w Pak Food postanowiłam zabrać Marię, Joshuę oraz naszego psa Lyrics i pojechać do Whitby, żeby pospacerować brzegiem morza. Lisa miała inne plany, ale Shazia zgodziła się wybrać z nami. Siedziałyśmy na piasku

i spoglądałyśmy na horyzont, zmrużywszy oczy przed słońcem odbijającym się od powierzchni wody. Nie było dużo ludzi, powietrze stało, panował spokój, tylko Lyrics biegał po przybrzeżnych płycznach i płoszył mewy, przysiadające na falach. Joshua - ma bzika na punkcie futbolu - uganiał się za piłką, a Maria szukała muszelek w zagłębieniach i szczelinach skał, by powiększyć swoją kolekcję. Była tym bez reszty pochłonięta. Zazdrościłam jej. Chciałabym umieć tak jak ona zapomnieć o całym świecie. Staralam się myśleć jedynie o słońcu, grzejącym mnie w plecy, i gołych nogach, które zakopałam w zimnym, wilgotnym, szorstkim piasku, ale nie potrafiłam. Nie mogłam się uwolnić od historii młodej dziewczyny - właściwie dziecka, bo miała zaledwie trzynaście lat. Nie znałam jej osobiście; opowiedział mi o niej funkcjonariusz stołecznej policji; przyznał, że ta sprawa nie daje mu spokoju. Teraz zawsze, kiedy siedzę dłużej bez ruchu, prześladowuje również mnie, ciągle tkwi w zakamarkach mojego umysłu.

Dziewczynka, o której mowa, Meera, mieszkała w zachodniej części Londynu. Każdego ranka, jak tyle innych dziewcząt muzułmanek, zawiązywała hidżab i szła do szkoły; do tej szkoły średniej uczęszczało około tysiąca uczniów. Założę się, że lubiła panujący tam harmider. Jestem pewna, że tak samo jak Sanah kochała wolność, jaką jej dawała szkoła, możliwość prowadzenia normalnego życia, jak każda nastolatka.

152

Jak tyle zwykłych nastolatek poznała chłopaka, rok lub dwa star-

szego od niej. Chodził do tej samej szkoły, ale nie był jedynie kimś, na którego widok chichotała i się czerwieniła. To, że coś ich łączy, zauważyli nauczyciele. Uznali, że owo „coś” odciąga uwagę Meery od nauki. Kiedy piątkowa uczennica zaczęła oddawać prace, które ledwo zasługiwały na ocenę dostateczną, doszli do wniosku, że jej myśli zaprzęta chłopak z dziesiątej klasy; widziano kiedyś, że trzymają się za ręce.

Może mieli rację. Kim jestem, by twierdzić inaczej? Nie wątpię, że nauczycielom wydało się to oczywistym wytłumaczeniem, jeśli uwzględnić, że Meera pochodziła z przyzwoitej rodziny i wszystko wskazywało, że rodzice interesują się córką. Ci nauczyciele nie znali Sanah, nie słyszeli, jak powiedziała ze złością: „Po co mam odrabiać lekcje, skoro i tak będę musiała przerwać naukę i poślubić jakiegoś Pakistańca!”. W przeciwnym razie może inaczej oceniliby sytuację. Powiadomili dyrektora szkoły o słabych wynikach Meery w nauce, a on uznał za swój obowiązek zadzwonić do jej ojca i podzielić się uwagami. Zadzwonił w piątek po południu. Domyślam się, że powiedział: „Żeby mieli państwo cały weekend na rozmowę o tym z córką”. Przypuszczam, że zbagatelizował związek dwójki młodych. „To nic poważnego, nie ma powodów do niepokoju, zwykła szkolna miłość, ale zdaje się, że przeszkadza jej w nauce, a nie chcielibyśmy do tego dopuścić”.

Tamtego dnia Meera opuściła szkołę o wpół do czwartej po południu i już więcej się w niej nie pojawiła. Kiedy nie przyszła do szkoły w poniedziałek, sekretarka zadzwoniła do niej do domu, ale nikt nie

odebrał telefonu. Tak samo we wtorek. W środę telefon odebrała mama Meery i powiedziała, że córka zniknęła; jeszcze nie zgłosili na policji.

Gdzie jest teraz Meera? Co się z nią stało? Chociaż bardzo się staram tego nie robić, zawsze myślę o niej w czasie przeszłym: miała trzynaście lat, miała chłopaka...

Drgnęłam, kiedy zabrzączał telefon. Trish mówi, że dzwonek mojej komórki w weekendy doprowadza ją do szaleństwa, twierdzi, że nigdy nie przestaje dzwonić, że powinnam nie zwracać na to uwagi, bo każdy potrzebuje odrobiny wytchnienia od pracy, ale - jak zawsze jej to powtarzam - nasza praca jest inna. Tak czy owak, kiedy spojrzalam na wyświetlacz i zobaczyłam, że dzwoni Shabana, nie mogłam nie odebrać. Zapomniałam o Meerze.

Minęło pięć miesięcy, odkąd pobrano próbki DNA od Shabany, nagrano jej oświadczenie, ale poza tym nic się nie zmieniło; mieszkała w domu rodziców, wciąż żyła w ciągłym strachu. Dochodziło do drobnych incydentów, czasami sytuacja się zaostrzała, ale dziewczyna umiała sobie radzić z gniewem rodziców. Ta sytuacja mnie niepokoiła. Pytałam ją: „Na co czekasz? Na jakieś wielkie wydarzenie?”.

Kiedy odebrałam telefon, dziewczyna była bliska hysterii. Nawet nie powiedziała „halo” ani „jak się masz”, tylko od razu przeszła do rzeczy.

- Porozmawiasz z kierownikiem mojego banku? Tata zauważył, że nie dostaję wyciągów. Powiedziałam, że korzystam z bankowości internetowej, ale wie, że kłamię. Oświadczył, że wybierze się ze mną

do kierownika banku. Mówi, że pójdziemy jeszcze dziś rano. Proszę, Jas, zadzwoń do niego. Proszę. Tata mnie zabije, jeśli się dowie, co robię.

Zerwałam się na równe nogi, zanim jeszcze skończyła mówić pierwsze zdanie. Myślałam gorączkowo, ale czułam się zupełnie bezradna. Chociaż nie miałam pełnego obrazu sytuacji, te skąpe szczegóły, które znałam, w połączeniu z przerażeniem w głosie Shabany przekonały mnie, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Byłam jednak wiele kilometrów od niej: jak mogłam jej pomóc?

- Shabano, posłuchaj mnie. Bądź realistką. Wykluczone, żeby kierownik twojego banku zechciał ze mną rozmawiać. Nie zna mnie, nie ma dowodu, że ja znam ciebie. Jak mam to zrobić?

- Musisz. Co innego mi pozostało? Nie mogę się dodzwonić do policjantów zajmujących się moją sprawą. Proszę, Jas, musisz mi pomóc.

Wcześniej widziałam się z Shabaną tylko raz, przelotnie, kiedy przyszła na moją prelekcję w jej mieście. Pod koniec podeszła do mnie i się przedstawiła, ale potem się ulotniła, zanim miałyśmy okazję porozmawiać. Ale i tak widziałam ją w tamtej chwili. Jest drobniutka, wprost tryska energią, jakby całe napięcie nerwowe, w którym wiecznie żyje, przemieniało się w jej ciele w ładunki elektryczne. Przypomina

154

napiętą strunę. Wyobraziłam sobie, jak przyciska słuchawkę do ucha, jak nerwowo krąży po pokoju.

- Przestań! Uspokój się - powiedziałam ostrym tonem, żeby za-

maskować swój strach i przekonać ją, że nie pora na histerię. - Skoro udało ci się dodzwonić do mnie, to możesz zadzwonić i do banku.

Warto spróbować. Ja skontaktuję się ze Steve'em Allenem.

Od razu udało mi się do niego dodzwonić. Przedstawiłam mu sytuację Shabany podczas naszej ostatniej rozmowy, ponieważ chciałam rozpocząć dialog na temat właściwego systemu ochrony młodych kobiet będących w takim samym położeniu jak ona. Teraz, słysząc mój zaniepokojony głos, obiecał, że zorientuje się w sprawie i do mnie oddzwoni. Nie miałam odwagi zadzwonić do Shabany, ona też się do mnie nie odzywała. Siedziałam więc i czekałam. Cały urok tego dnia przysł. Mój nastrój zatruł atmosferę. Dzieci straciły zainteresowanie tym, co robiły, przyszły, usiadły koło mnie i się przytuliły.

- Obiecałaś, że dziś nie będziesz pracować - powiedziała Maria z pretensją w głosie.

- Codziennie pracujesz - dodał z goryczą Joshua.

Zwykle wzięłabym go na ręce, usłyszawszy takie słowa, ale wtedy nie mogłam się na to zdobyć. Po czterdziestu minutach znów zadzwoniłam do Steve'a Allena.

- Niepokoję się o nią. Jakie szanse ma ta dziewczyna? Jak mamy nie dopuścić do jej śmierci?

- Słuchaj, Jas, gdyby naprawdę chciała wyprowadzić się z domu, wystarczyłoby, że zadzwoniłaby pod 999.

- Już o tym rozmawialiśmy... Wiesz, że nigdy tego nie zrobi. Nie chce widzieć umundurowanych policjantów w domu ani samochodów z wyjącymi syrenami i kogutami na dachu przed domem. Wykluczone,

by przyniosła rodzinie taki wstyd.

Byłam sfrustrowana, wydawało mi się, że utknęliśmy w martwym punkcie, i nie widziałam wyjścia z sytuacji. Rozłączyłam się w przekonaniu, że niczego nie osiągnęłam. Razem z Shazią i dziećmi wolno wróciłam do samochodu. Podczas drogi powrotnej do domu nikt nie odezwał się ani słowem.

20

Reszta weekendu upłynęła mi na niepokoju o Shabanę. Myślałam tylko o niej, kiedy w poniedziałek poszłam do pracy. Poczułam ulgę, gdy po zalogowaniu się do poczty zobaczyłam wiadomość od niej: dowód, że przynajmniej wczoraj piętnaście po siódmej wieczorem żyła.

Szybko przebiegłam wzrokiem treść listu. Wyznała, dlaczego wpadła w panikę: likwidowała konta, przelewała wszystkie pieniądze na jeden rachunek, szykując się do ucieczki z domu. Napisała, że udało jej się skontaktować z kierownikiem banku, który zgodził się pomóc: w obecności jej ojca wyjaśnił, że na adres Shabany wysłano nową książeczkę oszczędnościową i ze względów bezpieczeństwa w tej chwili nie może udzielić żadnych bliższych informacji.

Jeśli książeczka oszczędnościowa nie nadejdzie do wtorku, ojciec będzie wiedział, że kłamie i coś kombinuję. Przestanę być bezpieczna w domu. Potrzebna mi teraz twoja pomoc, Jasvinder. Nie odmawiaj mi.

Zadzwoiłam do zastępcy komisarza policji w jej miejscowości:

- Shabana się zdecydowała, jeszcze dziś chce opuścić dom rodzi-



ców. Może pan wszystkiego dopilnować? - Zapewnił mnie, że już się o to postarano: o trzeciej po południu dwóch policjantów przyjdzie po Shabanę w miejscu jej pracy.

- Będą po cywilnemu, tak? Bardzo ważne, żeby nie zwracać na nią niczyjej uwagi. Nie chcemy jeszcze bardziej rozżłościć jej rodziny. A co z objęciem jej programem ochrony świadków? Wiem, że o tym rozmawiano. No więc, jak będzie?

- Nie kwalifikuje się do tego, Jasvinder. Dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza wnieść oskarżenia przeciwko rodzicom, więc mamy związane ręce. Program jest dla tych, którzy zgodzą się zeznawać przed sądem.

- Ale ona widzi to inaczej. - Postanowiłam wstawić się za Shabaną.

- Widzi, że mieszkającą w Soham Maxine Carr objęto tym programem, bo ludzie chcieli ją zabić, natomiast jej, Shabanie, tego odmówiono, bo jedynie jej ojciec grozi, że ją zabije. Ciągle mnie pyta, dlaczego jest traktowana inaczej, i nie wiem, co jej odpowiedzieć.

Usłyszałam ciężkie westchnienie, a potem:

- Wiesz, że program ochrony świadków jest bardzo kosztowny.

- Wyznaczasz cenę na jej życie? - Nie przestawałam wywierać na niego presji. Ku mojej ogromnej uldze okazało się to skuteczne; ugiął się i obiecał, że jeszcze raz to sprawdzi.

Teraz najpilniejszą sprawą było znalezienie dla Shabany miejsca w schronisku. Chciałam ją umieścić w Norwich, bo czułam, że ona i Yasmin do siebie pasują, uważałam, że będą nawzajem sobie pomagać. Szybko znalazłam dla niej miejsce, ale potem dobre pół godziny

zajęło mi tłumaczenie kierownicze, że przez kilka pierwszych dni będzie musiała zrezygnować ze skrupulatnego przestrzegania przepisów, by pomóc Shabanie ukryć się przed rodziną. Wzięłam głęboki oddech i wyjaśniłam wszystko wolno i dokładnie, bo wiedziałam, jak trudno jest kierownikom schronisk łamać prawo.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że kiedy tylko się wprowadzi, powinna wystąpić o zasiłek na mieszkanie. Rozumiem, że to główne źródło finansowania waszej działalności, ale problem w tym, że aby wystąpić o zasiłek na mieszkanie, będzie musiała podać swój numer ubezpieczenia społecznego. A kiedy pojawi się on w bazie danych w powiązaniu z adresem w Norwich, rodzina z łatwością ją odszuka. Proszę mi wierzyć, że to bardzo proste: wystarczy, że jej ojciec skontaktuje się z biurem pośrednictwa pracy. A jak pani z pewnością wie, Azjaci mają bardzo prężną sieć. Dostanie pani swoje pieniądze, jedynie będzie pani musiała na nie trochę poczekać.

Zgodziła się, chociaż bez entuzjazmu. Już nie mogłam się doczekać, kiedy przekażę Shabanie dobrą wiadomość. Kiedy tylko się dowiedziałam, że jest bezpieczna w radiowozie, zadzwoniłam na jej komórkę.

- Wysyłasz mnie do Norwich, żeby mnie wspierała jakaś pieprzona Pakistanka? Nie! Nie ma mowy! Nie chcę mieć nic wspólnego z Pakistańcami... To zbyt niebezpieczne.

To pierwsze, co usłyszałam, i wcale się nie zdziwiłam. Wiele młodych kobiet, z którymi miałam do czynienia, powiedziałyby to samo.

Dorastały w przeświadczeniu, że azjatycka sieć jest wszechpotężna... Wszystko widzi, o wszystkim wie. Zaczyna się od cioci, która mówi twojej mamie, że widziała cię, jak wstąpiłaś do sklepiku na rogu, zamiast wrócić prosto ze szkoły do domu. I chociaż wciąż cię boli ręka po tym, jak oberwałaś od matki, zastanawiasz się, skąd ciocia o tym wiedziała, bo przecież nawet nie mieszka na tej samej ulicy co wy. Cztery lata później doniesie na ciebie wujek - słyszał od kogoś, z kim pracuje, że rozmawiałaś z jakimś chłopakiem na przystanku autobusowym. Potem taksówkarz z zupełnie innej części miasta wspomni twojemu tacie, że przyjaciółka jego żony widziała cię przed kinem o takiej porze, kiedy powinnaś się uczyć u koleżanki.

Uważam, że jest coraz gorzej. Imran odebrał ostatnio telefon od jakiejś kobiety z Londynu, która dzwoniła w imieniu szkolnej koleżanki swojej córki, piętnastoletniej uczennicy szkoły prywatnej. Jej rodzicom nie podoba się, że gdzieś wychodzi z koleżankami. Żeby śledzić każdy jej krok, dali zdjęcie córki wszystkim właścicielom azjatyckich sklepów i wszystkim taksówkarzom w okolicy, prosząc, by przekazywali im informacje o niej. I wcale nie tylko wtedy, gdy będzie robiła coś niewłaściwego. Chcieli znać każdy jej krok.

Kiedy się dorasta, będąc bezustannie obserwowaną, przestaje się komukolwiek ufać, bo nie można mieć pewności, czy dana osoba nie jest jakoś powiązana z naszą rodziną. Jeśli do tego wrodzonego braku zaufania dodać, że tyle organizacji, wspierających te młode kobiety, odruchowo wysyła Azjatów na pierwszą linię frontu, to powstaje prawdziwy problem. Przykładem tego jest chociażby

posterunkowy Ahmed, z którym miała do czynienia Yasmin - był rozdarty wewnątrz, nie wiedział, co jest ważniejsze: to, że pracu-  
158

je w policji, czy że jest członkiem swojej społeczności. W Wielkiej Brytanii są prawdopodobnie setki takich posterunkowych Ahmedów i to coś, co musimy zmienić; potrzeba edukacji.

Moim ostatnim, chyba najważniejszym zadaniem tamtego dnia było przekonanie Shabany, żeby pozwoliła policjantom porozmawiać z jej rodzicami.

- Wiem, że nie chcesz wnieść przeciwko nim oskarżenia, i nie zamierzam cię do tego nakłaniać - powiedziałam. Musiałam mówić coraz głośniej, żeby przekrzyczeć jej protesty. - Chcę jedynie, żebyś się zgodziła, by dwóch policjantów w cywilnych ubraniach poszło do domu twoich rodziców. Będą to funkcjonariusze wyższego stopnia, bo wiem, że twój tata nie traktuje poważnie policjantów patrolujących ulice. Nie będą go pouczać, tylko udzielą mu upomnienia. Chcę, by powiedzieli twojemu tacie, że wiedzą, co się dzieje w jego domu; chcę, by go poinformowali, iż wiedzą, że ciebie nie ma, że złożyłaś oświadczenie i zgodziłaś się na pobranie próbek DNA. Chcę, by mu oznajmili bez ogródek, że jeśli spotka cię coś złego, w pierwszej kolejności zapukają do drzwi jego domu.

- Nie, Jas, nie chcę tego. Bardziej mnie znienawidzą. To tylko zaogni sytuację. - Shabana była niewzruszona i rozumiałam jej tok rozumowania. Można żyć, bojąc się swoich najbliższych, i nadal ich kochać. Można nienawidzić tego, czego dla nas chcą, i nie tracić na-

dziei, że pewnego dnia posłuchają głosu rozsądku. Można pragnąć pogodzenia z nimi, nawet jeśli nie przyznaje się tego przed sobą. Jednak w dniu, w którym złoży się na nich doniesienie na policji, wszystkie te nadzieje grzebie się bezpowrotnie. To niechybny sposób, by rodzina nigdy nam nie wybaczyła.

- Dobrze. Tylko obiecaj mi, że o tym pomyślisz. - Niechętnie, ale się zgodziła.

Kiedy wreszcie odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na zegarek, była czwarta po południu. Pomoc Shabanie zajęła większość dnia, a zostało jeszcze dużo spraw do załatwienia. Należało rozwiązać kwestię pieniędzy, bo wiedziałam, że nadanie jej nowego numeru ubezpieczenia społecznego, co było niezbędne, nie nastąpi szybko.

W ciągu tych wszystkich lat, odkąd zaczęłam pomagać takim młodym kobietom jak Shabana, ani razu nie udało mi się nakłonić policji,

159

by zmieniła numer ubezpieczenia społecznego albo dokonała prawnej zmiany nazwiska, jeżeli dana osoba nie była objęta programem ochrony świadków.

Shabana chciała być objęta programem, a ja przekonywałam policję, że powinna zostać nim objęta, ale tylko dlatego, że groziło jej niebezpieczeństwo - byłam tego pewna - i nie widziałam lepszego wyjścia. Prawdę mówiąc, wątpiłam, czy taka zadziorna, niezależna dziewczyna jak Shabana potrafi spełnić wszystkie wymagane warunki. Ostatecznie Kiren uznała, że to zbyt ograniczające, nie umiała się pogodzić z tym, że musiałaby wieść spokojne życie. Po kilku dniach

zaczęła pytać: „Dlaczego nie mogę się widywać z moimi przyjaciółkami, dlaczego nie wolno mi wychodzić, dlaczego ludzie kontrolują każdy mój ruch?”. Powiedziała, że czuje się, jakby była w więzieniu. Nie zdziwiłam się, kiedy zrezygnowała z programu.

Musiało istnieć jakieś wyjście. Shabana, Kiren i inne wymagały maksymalnej ochrony i jeśli trzeba zrezygnować z programu ochrony świadków, czym można go zastąpić? Dużo nad tym rozmyślałam i doszłam do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem byłoby skreślenie w nazwie słowa „świadek” i opracowanie programu dostosowanego do szczególnych potrzeb tych młodych osób, bo nie chodzi wyłącznie o kobiety, również mężczyźni wymagają ochrony.

Te, które widzimy, są jak kilka ziarenek piasku w oceanie. Znajdzie się kilka dzielnych i tak bardzo zdesperowanych osób, by uciec z domu, chociaż wiedzą, że nie można im zapewnić wymaganej ochrony; muszą być setki takich, które się ukrywają, których nikt nie widział ani nikt o nich nie słyszał, żyjących w wiecznym strachu. Oczywiście problemem jest znalezienie środków na sfinansowanie nowego programu; to normalka. Zwróciłam uwagę Steve'owi Allenowi, że organizacja Pomoc Ofiarom dostaje ogromne kwoty z budżetu na walkę z przestępczością, ale nie ma wiedzy ani doświadczenia, jak postępować z takimi przypadkami jak na przykład Shabana. Są środki, które można wykorzystać, i moim zdaniem to teraz priorytetowa sprawa.

21

Osiem lat po tym, jak Shazia odeszła od swojego męża, ten pojawił się nie wiadomo skąd. Zadzwoił do biura, telefon

odebrała Anna. Przedstawił się, ale jego imię nic jej nie powiedziało.

Zawołała przez pokój do Shazi:

- Jakiś Mohammed pyta o ciebie. Chcesz z nim rozmawiać?

Akurat byłam na uniwersytecie, kiedy to się wydarzyło, ale powiedziano mi później, że Shazia zbladła i zaczęła dygotać. Kiedy pojawiłam się w biurze, kompetentna kobieta, z którą przyzwyczaiałam się pracować, znów przemieniła się w nieśmiałą, płochliwą dziewczynę, jaką była Shazia, kiedy ją zobaczyłam pierwszy raz. Zupełnie jakby sam dźwięk jego imienia odebrał jej pewność siebie, zyskaną po rozstaniu. Wcale mnie to nie dziwi. Ten mężczyzna i rodzina Shazi ignorowali wszystkie jej prawa, nie mówiąc o życzeniach, by osiągnąć swój cel, uzyskać brytyjski paszport. Jej organizm nie mógł inaczej zareagować na wspomnienie wypełnionych cierpieniem miesięcy, które z nim spędziła. A w głowie musiało jej się kłębić od myśli: Gdzie on jest? Jak mnie znalazł? Czego ode mnie chce? Co się stanie, jeśli tu przyjdzie?

Jej obawy były uzasadnione. Jeszcze w tym samym tygodniu pojawił się razem ze swoim przyjacielem w recepcji, wspólnej dla Karmy Nirvany i innych firm, mieszczących się w budynku. Recepcjonistka przyszła do nas i powiedziała:

- To było wczoraj, przepraszam, ale dopiero teraz mam czas do was wpaść. Przyszło dwóch, obaj Azjaci, pytali o Alana, księgowego, który pracuje na górze. Alan nie chciał się z nimi spotkać; nie miał pojęcia, co to za jedni. Pomyślałam sobie jednak, że przyjdę i wam o tym powiem, bo mieli w sobie coś takiego, co mnie zaniepokoiło.

Właściwie to nie moja sprawa, ale uznałam, że powinniście o tym wiedzieć.

Shazia poszła z nią do recepcji, żeby obejrzeć zapis z kamer telewizji przemysłowej, i oczywiście rozpoznała Mohammeda, chociaż nie wiedziała, kim jest towarzyszący mu mężczyzna. Na filmie było widać, jak opuszcza budynek i wsiada do czarnego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Siedział w nim do końca dnia.

- Musiał za mną pojechać, kiedy wracałam do domu - domyśliła się Shazia. - Patrz, tu jest godzina: odjechał o siedemnastej trzydzieści trzy, a ja wyszłam z biura punktualnie o wpół do szóstej. - Wzdrygnęła się. - Na samą myśl, że patrzył na mnie, robi mi się niedobrze. Czego może ode mnie chcieć? Jak mnie odnalazł? Sądysz, że wie, gdzie mieszkam? Och, Jas, uważasz, że nadal jestem tam bezpieczna? Zgłosiła ten incydent na policji. Spisali jej wyjaśnienia, skopiowali nagranie z kamery telewizji przemysłowej. Zapisali również nagły wzrost liczby telefonów z grubiańskimi uwagami do Karmy Nirwany w tamtym tygodniu. Gdyby Mohammed jeszcze próbował skontaktować się z Shazią, gotowi byli interweniować. Nie zrobił tego; minął jeden tydzień, drugi, trzeci, i gniew wyparł strach Shazi.

- Złości mnie to, co on tu robi, Jas. - Oczy jej płonęły, głos, zwykle cichy i łagodny, niemal drżał z wściekłości. - Nie chodzi mi o Derby, tylko o Anglię. Odeszłam od niego trzy tygodnie po jego przyjeździe tutaj, więc powinien zostać odesłany do Pakistanu, tymczasem nadal tu mieszka, co znaczy, że dwa lata po tym, jak go zostawiłam, musiał uzyskać bezterminowe pozwolenie na pobyt. Jak to możliwe? Kto był



jego sponsorem? Chciałabym wiedzieć, kto sfałszował mój podpis na dokumentach.

W całym Zjednoczonym Królestwie setki kobiet są w identycznym położeniu jak Shazia. Pamiętam pierwsze spotkanie z Surjit i jej smutną opowieść, jakże typową.

Urodziła się w Indiach i przyjechała do Anglii razem z rodzicami, kiedy miała roczek. Wciąż pamięta, że kiedy poszła do szkoły, tam mogła być sobą. Natomiast w domu panowała schizofreniczna atmosfera, obowiązywały zasady odmienne o sto osiemdziesiąt stopni. Nie wolno było mówić po angielsku, nie wolno było przyjmować angielskich koleżanek, ubierać się zgodnie z zachodnią modą, oglądać zachodnich programów w telewizji, przede wszystkim „Top of the Pops”. Zupełnie jakby ktoś przygwoździł człowieka do ściany: wszystko się widziało, wszystko się czuło, ale było się ubezwłasnowolnionym. Marzeniem Surjit było zostać jedną z tych kobiet, które chodzą w czarnych kostiumach, szytych na miarę, i noszą teczkę. Zawsze jednak czuła się inna, od szóstego roku życia przypominano jej, że ma śniadą cerę, trudno będzie dla niej znaleźć męża, i że nie wolno jej przebywać na słońcu, żeby skóra nie stała się jeszcze ciemniejsza. Jako dziecko często była bita, nie rozumiała za co - może dlatego, że weszła do pokoju, w którym siedział mężczyzna, a może dlatego, że coś rozlała. Nikt nigdy jej nic nie wyjaśniał, tylko ją bił.

Kiedy miała siedem lat, zabrano ją do Indii, żeby poznała tak zwany indyjski system. Przez dwa lata posyłano ją do hinduskiej

szkoły i uczono, jak powinna postępować dobra Azjatka. Wpajano jej też zasady religii. Bardzo tęskniła za swoim życiem w domu, ale po powrocie do szkoły w Anglii umieszczono ją klasę niżej niż ta, do której chodziły koleżanki, bo bardzo odstawała poziomem wiedzy i zapomniała angielskiego. Musiała się nauczyć od początku, a w domu zabraniano mówić w tym języku. W szkole średniej, na pełnym zieleni przedmieściu, była jednym z czworga azjatyckich dzieci. Pamięta, jaka się czuła beznadziejna i głupia dlatego, że miała takie braki w wykształceniu, chociaż nie ze swojej winy. Trafiała do grup gorzej uczących się dzieci, rówieśnicy jej dokuczali i przezywali ją „matolkiem”. Z domu do szkoły i ze szkoły do domu odprowadzał ją ojciec albo brat. Gdy musiała zostać po lekcjach, rodzice dokładnie ją wypytywali. Do obowiązków brata i kuzynów należało bezustanne obserwowanie jej w szkole i pilnowanie, czy się właściwie zachowuje. W kółko jej przypominano, że nie wolno się zadawać z białymi dziećmi. Ojciec podchodził wtedy do niej i krzyczał jej prosto w twarz, że w ten sposób okryje hańbą rodzinę i jeszcze bardziej zmniejszy swoje szanse na zamążpójście.

Surjit miała trzynaście lat, kiedy pierwszy raz dostała miesiączki. Pobiegnęła do matki z pytaniem, co się dzieje. Słowa matki na zawsze odmieniły życie dziewczynki. Rzuciła jej podpaskę i krzyknęła: „Teraz jesteś kobietą, nie dzieckiem, zachowuj się jak kobieta i nie przynieś nam wstydu”. Od tamtego dnia jej frekwencja w szkole spadła ze stu procent do poniżej pięćdziesięciu, ale nikt tego nie zauważył. Pragnęła studiować, ale usłyszała: „Jesteś tylko dziewczyną, nic nie

umiesz. Tam, gdzie wyjedziesz, niepotrzebne ci będzie wykształcenie".

Skończyła się przemoc fizyczna, ale zaczęło znęcanie psychiczne.

Do domu wprowadziło się wielu krewnych i Surjit stała się bardziej bojaźliwa, będąc stale obserwowana. Rzadko była sama, nigdy jej nie wyjaśniono, dlaczego tak często musi opuszczać lekcje. Matka zapędzała ją do gotowania, sprzątanania, szycia oraz opieki nad dziećmi i starszymi członkami rodziny, przygotowując - jak to określała - do roli dobrej synowej.

To było życie niewolnicy, Surjit czuła się coraz bardziej izolowana.

Opuszczała lekcje i nie miała pojęcia, jak rodzice usprawiedliwiali jej nieobecności. Kiedy jej pozwalano iść do szkoły, nikt nie pytał, gdzie była ani co robiła. Trwało to trzy lata. Kiedyś, gdy akurat była na zajęciach szkolnych, uczniów jej klasy poproszono o napisanie wypracowania na temat ich przeżyć związanych z dojrzewaniem.

Surjit uznała to za okazję, by zwrócić się o pomoc, i napisała prawdę o swoim życiu. Nauczycielka była zbulwersowana. Napisała na dole czerwonym piórem: „W twojej relacji dojrzewanie jest czymś przerażającym!!!". Nikt jednak nie zapytał o te okropne rzeczy, które opisała, nikt jej nie powiedział, że te „przerażające" przeżycia są czymś nienormalnym. Prawdę mówiąc, czuła się winna, jakby źle postąpiła, i jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

Pewnego razu, kiedy powinna być w szkole, kazano jej ubrać się w coś odpowiedniego na wizytę u krewnych. Włożyła swój najlepszy azjatycki strój. Zawieziono ją do domu, w którym nigdy wcześniej nie była. Powiedziano, żeby usiadła w pokoju i pamiętała o zasadach

azjatyckiej etykiety: żadnego kontaktu wzrokowego, żadnych uśmiechów, trzymaj spuszczoną głowę i zachowuj się skromnie w obecności innych. Dom był okazały, rodzina niewątpliwie bogata i dobrze znana. Odważyła się spojrzeć kątem oka na mężczyznę siedzącego pośrodku pokoju pełnego ludzi. Zorientowała się, że miał zostać jej mężem. Nie знаła nawet jego imienia ani wieku. Pierwszą jej myślą było: „Jaki szpetny potwór”. Siedziała w milczeniu, kiedy wokół niej planowano ślub i, by użyć jej słów, dobijano targu.

W drodze do domu ojciec po raz pierwszy poinformował córkę, że to jej przyszły mąż.

- Co o nim sądzisz? - spytał.

- On nie jest dla mnie, tato - odpowiedziała Surjit, przypuszczając, że dano jej wybór.

Tym razem odpowiedź była brutalna.

- Lepiej oswoj się z tą myślą - wrzasnął. - Czy ci się to podoba, czy nie, za kilka tygodni zostaniesz jego żoną. I jeśli myślisz o ucieczce, wiedz, że cię znajdę i zabiję. Jestem gotów iść do więzienia.

Inni członkowie rodziny, obecni przy tej rozmowie, poparli ojca.

Krzyczeli na nią, ale jedyne, co zapamiętała, to groźba, że ją zabiją.

Te słowa powtarzano w kółko do dnia ślubu, kiedy Surjit ubrano w tradycyjny strój panny młodej. W ciągu kilku tygodni jej waga spadła z sześćdziesięciu kilogramów do zaledwie czterdziestu pięciu.

Nikt z rodziny tego nie zauważył ani nie skomentował. Wkrótce się okazało, że tak się pospieszono ze ślubem, bo kończyła się ważność

wizy przyszłego męża. Potrzebny mu był brytyjski paszport, by mógł pozostać w kraju, a ona miała mu to zagwarantować. Zrozpaczona Surjit chciała uciec, ale nie miała dokąd pójść, gdzie się ukryć, do kogo zwrócić. Kto, powiedziała, uwierzyłby rozhisteryzowanej szesnastoletniej dziewczynie?

Małżeństwo zawarto w urzędzie stanu cywilnego. Zacinając się, odczytała słowa przysięgi, pragnęła, żeby urzędnik wziął ją na stronę i zapytał, czy naprawdę tego chce. Oczywiście tego nie zrobił, zresztą oczy całej rodziny były w niej utkwione. Właściwie ani na chwilę nie zostawiano jej samej; zawsze obok pojawiali się ciocia czy wujek i jej pilnowali. Od czasu do czasu widziała twarz ojca, który rzucał jej takie samo zimne, przeszywające spojrzenie jak wtedy, kiedy podczas jazdy samochodem zagroził, że ją zabije.

- To nie było zaaranżowane małżeństwo, zostałam do niego zmuszona. Nienawidziłam człowieka, którego kazano mi poślubić, jego

165

rodziny, makijażu, jakiego nie miałam nigdy wcześniej, tego, że wszyscy się uśmiechali. Pamiętam, jak fotograf powiedział: „Uśmiechnij się, to nie stypa”. A ja sobie pomyślałam: co ty tam wiesz.

Po ceremonii w urzędzie stanu cywilnego wróciła do domu i niebawem zaczęto przygotowywać dokumenty, które miały zapewnić mężowi pobyt w Anglii. Zmuszono ją do napisania listu do urzędu imigracyjnego, w którym informowała, że się zakochała w swoim przyszłym mężu i dlatego tak szybko się pobrali. W dniu, w którym napisała list, było dużo wrzasków. Nikt nigdy nie zwracał się do Surjit

spokojnie. Zawsze byli agresywni, mówili, co ma robić, grożąc jej śmiercią, jeśli odmówi. Rodzina stała nad nią, kiedy podpisywała list. Można było w nim przeczytać:

Kocham go i chcę zawsze być z nim. Proszę, nie odsyłajcie go do jego kraju.

- Byłam zdziwiona, że nigdy tego nie zakwestionowano - powiedziała mi Surjit. - Mogłam wyznać prawdę pracownikom urzędu imigracyjnego, gdyby tylko ktoś mnie zapytał, mogliby mnie uchronić przed tym, co nastąpiło później.

Kiedy w świetle prawa została mężatką, rodzina przystąpiła do przygotowań do prawdziwego hinduskiego wesela. Surjit miała ochotę uciec. Ale jak? Dokąd?

- To było prawdziwe hinduskie wesele, cztery dni surrealistycznych uroczystości. Nic nie czułam, tylko odrętwienie i straszne osamotnienie. Zgodziłam się na to, wiedząc, że nie mam innego wyjścia. - Po weselu wsadzono ją do samochodu. - Słyszałam w głowie głosik: „To niesłuszne, to niesłuszne”, ale niewystarczająco donośny. Chciałam się stać niewidzialna, więc zamknęłam oczy.

Tamtego wieczoru zmuszono Surjit do włożenia prześwitującej koszuli nocnej i zdjęcia bielizny. Czowała się okropnie. W głowie słyszała głos matki: „Jesteś teraz własnością swojego męża i nie chcę słyszeć żadnych złych rzeczy o tobie od jego rodziny. Masz robić wszystko, co ci każe”. Dano jej trochę mleka, mówiąc, że to jej pomoże. Po wypiciu mleka ogarnęła ją senność, później uświadomiła sobie, że podano w nim jakiś narkotyk.

- Obudziłam się, czując się zbrukana i upokorzona, wiedząc, że zostałam zgwałcona przez obcego mężczyznę, utraciłam swoją  
166

cześć. Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ją mam.

- Wiedziała, że musi się zachowywać normalnie, ale bardzo ją bolało i mocno krwawiła. Zwinęła się w kłębek i kilka godzin przepłakała, aż nie zostało jej nic innego, tylko stawić czoło nowemu życiu.

Przez osiem i pół roku była gwałcona przez męża.

- Traktował mnie jak kawał mięsa, a rząd brytyjski dał mu paszport, żeby mógł to robić. - Po pierwszej nocy zastygała w bezruchu za każdym razem, kiedy zbliżał się do niej, i pozwalała mu robić, co tylko chciał, chociaż budziło to w niej wstręt. - Nigdy nie miałam chłopaka, od razu dostałam męża. Nagość wywoływała u mnie skrepowanie. - Poszła do lekarki, Azjatki, powiedziała, że cierpi na depresję. Była zdesperowana. Pani doktor bez dodatkowych pytań przepisała jej środki uspokajające i tabletki na sen. Czasami dzięki nim popadała w odrętwienie i nic nie czuła, ale mąż miał coraz większe wymagania. Pił, a potem, dodawszy sobie animuszu alkoholem, zmuszał ją do robienia rzeczy, które wywoływały u niej obrzydzenie i szok. Albo przychodził do domu późno i domagał się współżycia, a potem wyganiał ją z łóżka, żeby mu przygotowała coś do jedzenia. Nigdy nie sprzeciwiała się mężowi, bo stale słyszała w głowie głosy rodziców. Bała się, że ją odszukają i zabiją. Potem się dowiedziała, że lekarka opowiedziała jej mężowi o wizycie. I tak zatrzasnęła się przed nią kolejna furtka, a przynajmniej szansa jakiegoś wsparcia.

Po kolejnych dwóch latach rodzina męża wręczyła Surjit dokumenty imigracyjne i zmusiła do ich podpisania, by mógł otrzymać bezterminowe zezwolenie na pobyt w Anglii.

- Chciałabym, żeby ktoś zapytał, czy to było prawowite małżeństwo. Gdyby szkoła się zainteresowała, gdzie zniknęłam, gdyby urzędnik stanu cywilnego zobaczył cierpienie w moich oczach, może uniknęłabym gwałtów.

Surjit marzyła o śmierci. Tylko praca stanowiła wytchnienie przed męką życia rodzinnego. Próbowала rozmawiać ze swoją rodziną, ale odsyłali ją z powrotem do męża. Woleli, żeby umarła, niż okryła ich hańbą. Próbowала odebrać sobie życie. Pewnej nocy po zgwałceniu przedawkowała środki uspokajające i tabletki na sen, które dostała na receptę. Nie umarła, ale chociaż potem przez kilka dni wyglądała jak żywy trup, nikt niczego nie zauważył ani nie zapytał,

167

co jej dolega. Miała myśli samobójcze. Uważała, że nie wolno jej z nikim o tym rozmawiać, ale myśli samobójcze stały się jej ucieczką od rzeczywistości.

- Postanowiłam uciec, kiedy trzeci raz poroniłam -wyznała mi Surjit. Bardzo chciała mieć dziecko - kogoś, kogo mogłaby kochać i dzięki komu nie doskwierałaby jej tak bardzo samotność. Była jednak chorobliwie chuda i żyła nerwami. Koszmarne lata, gdy znęcano się nad nią psychicznie i fizycznie, spowodowały u niej chorobę umysłową. Trzy razy była w ciąży, ale osłabiony organizm nie mógł sobie poradzić z odmiennym stanem, płody się nie rozwijały, mąż nie przestawał jej



gwałcić i każda ciąża kończyła się poronieniem. Za pierwszym razem stwierdzono ciążę bliźniaczą. Nikt, nawet matka, nie zapytał, jak się czuje - zawsze musiała prosić o pozwolenie, by pojechać do szpitala. Za drugim razem przyleciała jej teściowa z Indii, by oświadczyć, że synowa do niczego się nie nadaje. Przywiozła jakiś proszek, który Surjit miała rozpuszczać w wodzie i pić, by zająć w ciążę, lecz ani razu go nie zażyła.

- Udawałam, że go biorę, ale bałam się, że to trucizna, że próbują mnie zabić.

Kiedy poroniła po raz trzeci, spodziewała się, że lekarz albo pielęgniarka w szpitalu zainteresują się, czemu znów nie donosiła ciąży. Surjit zwyczajnie pragnęła miłości i wsparcia. Nie mogła nikomu opowiedzieć, co się dzieje, bo bała się o swoje życie, ale czuła, że gdyby ktoś ją zapytał, wyznałaby prawdę. Lecz nikt o nic jej nie zapytał. Nikogo nie zdziwiło, że sama przyjechała do szpitala, chociaż wcześniej dwa razy poroniła, że nigdy nikt jej nie odwiedzał ani nie odbierał, kiedy ją wypisywano. Uświadomiła sobie, że dłużej tego nie wytrzyma, i chociaż bardzo się bała, pragnienie wolności okazało się silniejsze.

- Musiałam wybierać: rodzina albo wolność.

W przeddzień zaplanowanej ucieczki poszła na policję. Wiedziała, że rodzina zgłosi jej zaginięcie i oskarży o kradzież samochodu, wyjaśniła więc swoją sytuację i powiedziała, co zamierza zrobić. Wzruszyli ramionami i sporządzili notatkę. Do dziś Surjit nie wie, czy coś sobie skojarzyli, kiedy wpłynęło zawiadomienie o jej zniknięciu, i czy po-

stanowili jej pomoc, nie sporządzając raportu na tę okoliczność.

168

Drobiazgowo przygotowała ucieczkę, pomogła jej przyjaciółka z pracy, udostępniając swój adres do korespondencji i założenia nowego konta bankowego. Surjit pojechała do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną, mówiąc rodzinie, że ma szkolenie. Mimo swego stanu o dziwo dostała pracę. Wybrała Londyn, bo uznała, że leży tak daleko od domu, i nikomu nie przyjdzie do głowy, iż tam pojechała. Przez cały czas stopniowo wyносиła z domu swoje dokumenty i albo je niszczyła, albo przechowywała w pracy, żeby - kiedy ucieknie - rodzina, próbując ją odszukać, miała o niej jak najmniej informacji.

W dniu zaplanowanej ucieczki powiedziała mężowi, że zgubiła kluczyki od samochodu, więc udał się do pracy, zostawiając samochód.

Wtedy z pomocą przyjaciółki spakowała swoje rzeczy.

- Panicznie się bałyśmy, że ktoś nam przeszkodzi. Ale gdyby wtedy ktoś pojawił się na progu, zabiłabym się. Byłam tego pewna. - Pojechała do Londynu, przyjaciółka znalazła dla niej miejsce, gdzie mogła się zatrzymać.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zgłoszono zniknięcie Surjit, rodzina rozlepiła informacje o jej zaginięciu w całej okolicy, próbując ją odnaleźć. Dowiedziała się później, że nawet zapłacili łowcy nagród za jej odszukanie.

Ucieczka dodała jej skrzydeł, nie spowijała jej już mgła, ale Surjit bardzo się bała, że dopadnie ją ojciec albo „sieć taksówkarzy”, jak ją nazwała. Wiedziała, że ją zabiją. Nie miała pojęcia o schroniskach

i żyła, wciąż oglądając się za siebie, unikała społeczności azjatyckich. Jak to ujęła: „Nigdy się nie zaprzyjaźniłam z nikim o śniadej cerze”. Popadła w niełaskę, rodzina jej się wyrzekła, była przygotowana na porażkę.

22

Kiedy zaczęłam nadawać ostateczny kształt swojej pracy doktorskiej, sporządziłam listę charakterystycznych cech, wspólnych dla kobiet, które zdobyły się na odwagę i uciekły z domu lub przed wymuszonym małżeństwem. Na pierwszym miejscu znalazło się spostrzeżenie, że wszystkie bez wyjątku uważały się za czarne owce w rodzinie, jak ja. Urodziłam się z położenia pośladkowego i mama zawsze mi wypominała: „Od samego początku były z tobą kłopoty”. Następną wspólną cechą jest to, że kiedy poznały jakiegoś chłopaka, agresja ze strony rodziny się nasilała.

Doskonałą tego ilustracją jest Maya, trzydziestokilkuletnia sikhijka, samotna matka dwójki dzieci, mieszkająca w Guildford. Napisała do mnie długi, przejmujący e-mail, który świadczył o takiej niesprawiedliwości i złym traktowaniu, że zapadł mi w pamięć. Do dziś potrafię przytoczyć jego fragmenty:

Przemoc, znęcanie się, zażywanie środków uspokajających trwały, póki ojciec nie wysłał mnie do Indii z mamą i lekarzem.

Ojciec stale mi groził, że jeśli złożę niewłaściwe oświadczenie, na zawsze stracę swojego pierwszego męża i jego rodzinę, bo wszyscy zostaną zabici.

...pił na umór i zaczął mnie tłuc na kwaśne jabłko.

Przez lata cierpiała, nie mając znikąd pomocy. Powiedziała mi, że na południu Anglii jest bardzo mało schronisk dla takich kobiet jak ona.

170

Odmówiłam zamieszkania w schronisku dla Azjatek, bo znałam kilka kobiet stamtąd, które współpracowały z organizacjami zwalczającymi przemoc w rodzinie, ale zarazem chodziły do świątyni i plotkowały. Z jej e-maila wynikało jednak, że pozostała kobietą dzielną i pełną poczucia godności własnej. Zaproponowała nam swoją pomoc, powiedziała, że chciałaby wspierać kobiety, które znalazły się w takim położeniu jak ona, i wydawało się, że ma umiejętności, które mogą okazać się przydatne: mówi sześcioma językami i ostatnio pracowała jako tłumaczka w policji.

Natychmiast jej odpisałam, proponując spotkanie. Niepokoiliam się o nią i miałam nadzieję, że uda mi się w miarę szybko z nią umówić, ale mijały dni i tygodnie, wreszcie po czterech miesiącach udało nam się znaleźć dogodny termin. Maya mieszkała wtedy w Birmingham razem z matką, która przeniosła się do Anglii z młodszym bratem Mai na czas jego studiów na uniwersytecie. Maya zabrała ze sobą dwie córeczki, Kaelyn i Mireyę, żeby poznały babcię. Kiedy się spotkałyśmy, to o nie się niepokoiła.

Jej życie się zmieniło, odkąd po raz pierwszy napisała do mnie, ale niestety na gorsze. Rok wcześniej, po załamaniu nerwowym, uznała, że nie da sobie rady. Przekazała opiekę nad dziećmi byłemu mężowi, planując, że gdy tylko poczuje się lepiej, zabierze je do siebie.

- A teraz pracownicy opieki społecznej nie chcą się na to zgodzić.

Mówią, że dzieci przywykły do nowych warunków i nie należy przewracać ich życia do góry nogami. Mąż ma drugą żonę, którą sobie sprowadził z Indii; mówi, że ona jest teraz ich matką. Robi to tylko dlatego, żeby mi dokuczyć. Wie, jak bardzo je Kocham.

Powiedziała mi to wszystko jeszcze przed spotkaniem w herbaciarni.

Wyciągnęłam rękę, żeby uścisnąć jej dłoń, a ona chwyciła się jej niczym liny ratunkowej. Tamtego popołudnia towarzyszyła mi Shazia - policja zalecała, żebym nie podróżowała samotnie - i potem obie przyznałyśmy, że ten nagły wybuch emocji nie pasował do jej wyglądu. Maya jest śliczna jak obrazek. Dzień naszego spotkania był ciepły i słoneczny, to jeden z tych niespodziewanych prezentów, jakie czasem przynosi wczesna jesień. Kiedy Maya szła w naszą stronę, wyglądała świeżo, elegancko i sprawiała wrażenie osoby opanowanej. Miała na sobie

171

sukienkę w czerwono-białe paski i wcięty w taliu żakiet, a na nogach czarne lakierki: wyglądała jak prawdziwa dama, niemal się spodziewałam, że będzie miała parę szeleszczących białych rękawiczek.

W jej zachowaniu była też pewna powściągliwość i staroświeckość; nie zdziwiłam się, kiedy się dowiedziałam, że dorastała - by użyć jej słów - w rodzinie nieokazującej emocji.

Poprosiłam, żeby opowiedziała mi coś o swoich rodzicach; byłam nieugięta, bo, jak wyjaśniłam, nie mogę jej pomóc odzyskać opieki nad dziećmi, jeśli nic nie będzie wiedziała o jej dzieciństwie, o tym, jak została taką kobietą, jaką jest teraz. Była zniecierpliwiona,

chciała wrócić do kwestii, która najbardziej zaprzętała jej umysł, a ponieważ sama straciłam na jakiś czas prawo do opieki nad Lisą, kiedy była mała, bardzo jej współczułam. Rozmowa z Fatimą zaś nauczyła mnie, jak ważne jest uzyskanie pełnego obrazu, więc nalegałam i Maya ustąpiła, chociaż chwilami było jej bardzo ciężko. Kiedy wspominam tamto popołudnie, szczególnie wyraźnie widzę dwie rzeczy: jak bardzo Maya starała się być dzielna i jak dużo płakała.

\*

Dorastała w Afryce w wielopokoleniowej rodzinie, która w oczach osoby z zewnątrz mogła sprawiać wrażenie idealnej: trzy pokolenia, przynajmniej osiemnaście osób, wszyscy mieszkający pod jednym dachem. Pomysł, że dla kogokolwiek mógłby to być ideał rodziny, zawsze mnie rozśmiesza.

- Moja babka była osobą bardzo surową, nie pozwalała dziewczynkom przebywać razem z chłopcami, mieliśmy dwa salony, mężczyźni i kobiety osobno podejmowali gości, wszystko, co robiłyśmy, było pilnie obserwowane - nawet wydzielano nam jedzenie. Pamiętam, jak ciotki skarżyły się mamie, że nasza rodzina dostaje więcej jedzenia, niż jej się należy, bo mama urodziła piąte dziecko.

Maya od samego początku czuła, że rozczarowała swoich rodziców. Jej najstarsza kuzynka była pierwszą wnuczką w rodzinie, starsza siostra była pierwotnym dzieckiem jej rodziców, a Maya? Trzecią córką. Matka cierpiała z tego powodu nie mniej niż ona - szczególnie kiedy urodziła jeszcze jedną dziewczynkę.

- Biła mnie i wyrzekała: „Wstyd mi za ciebie, powinnaś umrzeć.

Wszyscy mi dokuczają, bo jesteś dziewczynką". Myślę, że poniekąd wynikało to z tego, że sama była nieszczęśliwa. Raz czy dwa razy otworzyłam drzwi do sypialni rodziców i zobaczyłam, że ojciec ją bije. - W rodzinie Mai przemoc była na porządku dziennym. - Oboje rodzice mnie bili: ręką albo czym popadło. Czasami codziennie, czasami raz czy dwa razy w tygodniu; zależnie od tego, kiedy chcieli wyładować swoją złość.

„Wyładować swoją złość". Tamtego popołudnia Maya często powtarzała te słowa. Zaczęłam w myślach tworzyć sobie obraz tej wielce szanowanej rodziny - „nasza rodzina słynie w mieście z ortodoksyjności, z surowych zasad". Pod powierzchnią aż w niej wrzało od złości i przy takiej liczbie krewnych i powinowatych pod jednym dachem - od napięcia seksualnego.

- Życie nastolatki to coś upokarzającego. W naszym domu dziewczynkę od dnia pierwszej miesiączki obowiązywały takie same zasady jak kobietę dorosłą, a gdy urosły jej piersi, musiała to ukrywać, żeby mężczyźni mieszkający w domu niczego nie zauważyli.

Represje rozciągały się też na życie poza domem. Maya była utalentowaną biegaczką („Wyładowywałam całą swoją frustrację, biegając"). Brała udział w międzynarodowych zawodach, a kiedy została drugą zawodniczką w kraju w swojej kategorii wiekowej, zaproponowano jej stypendium na studia za granicą.

- Ojciec nie pozwolił mi wyjechać. Powiedział, że dziewczyny nie wyjeżdżają same. I chociaż mama mogła mi towarzyszyć, oświadczył,

że jest zbyt zajęta na miejscu.

Maya szukała wytchnienia w szkole. Nadal biegała - bez zgody rodziców - zaangażowała się w zbiórkę pieniędzy i działała w kółku teatralnym.

- Razem z nauczycielami malowałam dekoracje i prospekty.

To pomagało mi się odprężyć. - Ale potem wszystko poszło nie tak.

Zwierzyła się swojej ulubionej nauczycielce, że jest nieszczęśliwa w domu, nauczycielka zaś - Maya uważa, że raczej kierując się źle pojętą troską, a nie przez złośliwość - natychmiast powtórzyła to jej

ojcu. - Kiedy o tym usłyszał, wpadł do pokoju i z całych sił rzucił we mnie metalowym krzesłem. Wrzeszczał: „Dlaczego wystawiłaś nas na taki wstyd, dlaczego to powiedziałaś swojej nauczycielce?”.

To była pierwsza zdrada, jakiej doświadczyła Maya.

Wspominając tamto popołudnie, a także inne spotkania i rozmowy z Maya, zawsze mnie uderza, jaką długą, trudną drogę musiała przebyć zupełnie sama. Żałowałam, że nie poznałam jej wcześniej.

Nim stanęłam obok niej, by ją wspierać, była już bardzo zgnębiona swoimi przejściami, przywykła do roli ofiary. Jej opowieści - długie, zawile, obfitujące w opisy przemocy fizycznej, gwałtów, pozbawiania wszystkiego, niekończącego się okrucieństwa i bezduszości - męczyły mnie. Szczerze mówiąc, wołałabym o nich nie myśleć. Jednak nie mogę.

„Z wieloma osobami rozmawiałam o swoim życiu, ale chyba niewiele rozumieją, poza tymi, które same doświadczyły czegoś podobnego”

- napisała do mnie w swoim pierwszym e-mailu.



- Nikt mnie nie słucha. - Miała na myśli pracowników opieki społecznej, którzy nie chcieli słyszeć rozpaczliwych błagań, by pozwolono jej znów opiekować się dziećmi.

Przez całe życie Maya była wykorzystywana, jej uczucia ignorowano i je deptano. Teraz zasługuje choćby na odrobinę zrozumienia. Chcę jej pomóc. Podjęłam taką decyzję tamtego pierwszego popołudnia, kiedy zobaczyłam jej smutne oczy i elegancki strój.

23

Kiedy Maya miała szesnaście lat, wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli. Znajomy chłopak („spotykaliśmy się i rozmawialiśmy, nie chodziliśmy na poważnie”) dodał jej do napoju jakiś środek odurzający i ją zgwałcił. Otepiała, w szoku, nikomu nic nie powiedziała. Dopiero dwa miesiące później odważyła się o tym opowiedzieć, bojąc się, że jest w ciąży.

- Zwierzyłam się swojej najlepszej przyjaciółce, dziewczynie, z którą razem dorastałam. Powiedziałam jej to w tajemnicy, ale ona rozgłosiła w całej szkole, mówiąc o mnie inne złe rzeczy.

Wtedy Maya poczuła się zdradzona po raz drugi - i szkoła przestała być miejscem, w którym szukała azylu.

W domu jej sytuacja nie wyglądała lepiej; im była starsza, tym częściej sprzeciwiała się rodzicom, co wywoływało u nich jeszcze większą agresję. Kiedyś stanęła w obronie trzyletniego braciszka, bitego przez matkę.

- Czulałam jego ból. Przez całe życie cierpiałam i chciałam przynajmniej jemu tego oszczędzić. Zasłoniłam go własnym ciałem.

Rozwścieczyło to matkę; poszła do drewnutni i wróciła z deską, w której tkwiły gwoździe.

Shazi aż odebrało dech, kiedy Maya to powiedziała. Siedziała obok mnie i aż się skuliła z przerażenia. Powiedziała mi później, że nie mogła się powstrzymać: ta deska z gwoździami wydała jej się czymś barbarzyńskim. Też byłam wstrząśnięta, ale jeszcze bardziej zła i oburzona, kiedy sobie wyobraziłam tę kobietę, rzucającą się z deską na córkę. Maya się nie ugięła, stała, przyjmując uderzenia, ale nagle coś w niej pękło i odpowiedziała atakiem na atak.

- To naprawdę doprowadziło ją do furii. Złapała mnie za włosy i przewróciła na ziemię. Narobiła hałasu, wszyscy się zbiegli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Uderzyła tak, że gwoździe mi weszły w ciało, a potem, ciągnąc mnie za włosy, zawlokła do mojego pokoju. Krewni przyglądali się temu. Biła mnie i biła, aż minął jej gniew, a potem zostawiła samą. Jediną osobą, która później do mnie zajrzała, była służąca; przyszła i uspokajała mnie. Powiedziała: „Chciałabym spać kować twoje rzeczy i zabrać cię stąd. Gdybym mogła, zrobiłabym to, ale twój ojciec daje mi jeść”.

Na szczęście znaleźli się inni, nieuzależnieni od ojca Mai, którzy uważali, że dość się wycierpiała. Kilka miesięcy wcześniej Mary, przyjaciółka, z którą razem biegała, przedstawiła Mayę swojemu bratu.

- Peter miał dwadzieścia dwa lata. Zobaczyłam go po raz pierwszy, kiedy przyszedł zabrać Mary po zawodach w bieganiu. Później, dzięki niej, lepiej go poznałam i bardzo się polubiliśmy. Byli chrześ-

cijanami z Goa.

Mary i Peter nakłaniali ją do ucieczki z domu, w którym się nad nią znęcano. Obmyślili plan. W dniu swoich siedemnastych urodzin Maya spakowała rzeczy, napisała do rodziców długi list - prosiła, żeby o niej zapomnieli - i wymknęła się z domu. Przeniosła się do swojej przyjaciółki, Peter też, ale nim minęły dwa dni, policja wpadła na ich ślad i Peter stchórzył.

- Powiedział mi: „Mayu, żeby nie wiem jak bardzo zależało mi na tobie, nie chcę iść do więzienia za porwanie ciebie. Za rok skończysz osiemnaście lat. Będę na ciebie czekał. Zawsze możesz się do mnie zwrócić o pomoc”. Podwiózł mnie do szpitala niedaleko od miejsca mojego zamieszkania.

- Czulaś, że on też cię zawiódł? - spytałam najdelikatniej, jak mogłam, starając się nie zarysować lśniącej zbroi jej rycerza.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wtedy tak. Potem to zrozumiałam, ale wcześniej niezbyt dobrze się znałam na przepisach prawa.

Maya zadzwoniła do rodziców, którzy po nią przyjechali. Podczas nieobecności córki ich wściekłość podsycala jej najlepsza przyjaciółka. Mówiła o wcześniejszych obawach Mai, że może być w ciąży, i utwierdziła w przekonaniu, że ich córka od jakiegoś czasu współżyje płciowo. Ich gniew był taki głośny i niekontrolowany, że chociaż Maya próbowała się bronić, jej zapewnienia, że została zgwałcona, lęk, że jest w ciąży, nie ma nic wspólnego z Peterem, były ledwo słyszalne. Wywieziono ją z miasta do miejscowości, gdzie ojciec miał

biuro, i tam poddano regularnemu przesłuchaniu.

- Ojciec powiedział, że policja już jedzie, miałam powtórzyć to, co mi każe. Odparłam, że nie zrobiłam nic złego, i jeśli przyjedzie policja, powiem prawdę. Tak go tym rozjuszyłam, że doskoczył do mnie i uderzył w twarz, aż spadłam z krzesła. Wrzasnął, żebym wstała i usiadła na krzesło, a potem znów mnie uderzył. Tak się bałam tamtego dnia, że aż się zmoczyłam.

Starczyło jej odwagi, żeby powiedzieć policji prawdę. Okazało się, że inne kobiety też zgłosiły, iż zgwałcił je ten sam mężczyzna. Policja spytała ją, czy zechce zeznawać przeciwko niemu w sądzie.

- Powiedziałam „tak”, ale ojciec mi nie pozwolił. Oświadczył, że sama sobie byłam winna, z własnej woli spałam z tym mężczyzną jak prostytutka. Myślę, że nie chciał splamić nazwiska rodziny. Tylko na tym mu zależało. Mawiał, że gdyby musiał zabić kogoś z nas, zrobiłby to, by móc nadal cieszyć się szacunkiem u ludzi.

Wtedy po raz pierwszy uwięzili Mayę; przez miesiąc siedziała zamknięta na klucz w swoim pokoju. Nikt z nią nie rozmawiał. Musiała prosić o zgodę na skorzystanie z toalety. Jedzenie przynoszono jej do pokoju.

- Czasami, kiedy mama była zła, rzucała we mnie jedzeniem.

Traktowano mnie jak trędowatą, póki nie nadszedł dzień powrotu do szkoły.

Kiedy Maya o tym opowiadała, robiąc przerwy, by otrzeć łzy całkiem mokrą chusteczką, nagle dotarło do mnie, że przyszła na spotkanie z nami z domu matki.

- Jak układają się teraz stosunki między wami? - zainteresowałam się.

Wzruszyła ramionami.

- Zachowuje się tak, jakby o wszystkim zapomniała. Utrzymuję z nią stosunki, bo moje dzieci powinny znać krewnych. - Umilkła.

177

- Z ojcem nie rozmawiam. Trudno mi się przełamać po tym wszystkim, czego od niego doznałam. Zadaję sobie pytanie: dlaczego to zrobił, co go opętało.

Powiedziała, że za wszelką cenę chciała wyrwać się z jego szponów

- nawet poślubić mężczyznę, którego nie kochała.

- W rodzinie naszych znajomych był kawaler. Powiedziałam ojcu:

„Wie o mnie wszystko, ale i tak nie ma nic przeciwko temu, żeby mnie wziąć za żonę”. Wyobrażasz sobie, jakie to było upokarzające?

Jakbym przyznała, że zrobiłam coś złego. Ale ojciec się nie zgodził, bo należeliśmy do różnych kast. Dla niego liczyły się tylko status

społeczny i szacunek innych.

Później przyłapałam się na tym, że zastanawiam się, czy to małżeństwo byłoby udane. Oszczędziłoby Mai życia pełnego cierpienia?

Czy wychowywałyby dzieci, przytyłaby, była szczęśliwa, pokochała mężczyznę, przy którym by się zestarzała? Czy w jej wypadku zaaran-

żowane małżeństwo okazałoby się trwałe? Czy też jej przeznaczeniem było zostać kobietą zbolalą, która siedziała teraz koło mnie, dzielnie

próbując powstrzymać łkanie, kiedy kelnerka - nastolatka o ciekawskim spojrzeniu z wytatuowaną na ramieniu jaskółką - podeszła

do naszego stolika, by zaproponować nam jeszcze herbaty?

Peter przez wiele miesięcy milczał, a potem znów pojawił się w życiu Mai, oświadczając, że chciałby się z nią ożenić. (Kiedy mi to powiedziała, po raz pierwszy tamtego popołudnia niemal się uśmiechnęła). Tamtej jesieni uciekli razem. Wzięła ślub w dzinsach, a jej szczęście trwało przez jeden cudowny tydzień, nim ją i Petera odnalazły rodziny. Zostali wezwani przez ojca Petera na spotkanie hierarchów obu religii, chrześcijaństwa i sikhizmu.

- To był prywatny dom, należący do jednego z przywódców religijnych. Bardzo się bałam, Peter też. Zebrało się ze dwadzieścia osób, wszyscy siedzieli za jednym długim stołem: moi krewni, rodzina Petera, kapłani. Byłam jedyną kobietą. Spytano mnie, czy zostałam zmuszona do tego małżeństwa. Powiedziałam, że nie. Oświadczyłam, że kocham Petera i chcę z nim być. Księża chrześcijańscy bardzo się ucieszyli; ojcu Petera nie podobało się, że uciekliśmy, ale widział, że się kochamy i że chcemy być razem. Pochwalił nasz zamiar rozpoczęcia nowego życia.

178

Sikhom było trudno temu się przeciwstawić. Na pozór zaakceptowali to, co usłyszeli, ale patrząc przez stół, Maya widziała zaciśnięte pięści ojca.

- Wiedziałam, że coś knuje, ale siedział i patrzył, jak razem z Peterem wyszłam z pokoju. Sądził, że nie odważę się tego zrobić. Chyba nigdy mi tego nie wybaczy.

Tydzień później młodych małżonków aresztowała w ich domu

policja. Maya od razu wiedziała, że stoi za tym ojciec.

- Siedzieliśmy w radiowozie, trzymając się za ręce. Peter ani na chwilę nie wypuścił mojej dłoni, ścisnął ją mocno. - Na posterunku czekali i czekali. Nikt się nimi nie interesował, nie przedstawiono im żadnych zarzutów. Wreszcie pojawił się jakiś funkcjonariusz i oświadczył:

„Peter, ty pójdziesz do aresztu. Mayu, twój ojciec wpłacił za ciebie kaucję, pojedziesz do jego biura”.

W biurze, pełnym uzbrojonych mężczyzn, krewni Mai spierali się, co teraz z nią zrobić. Dziadek chciał wiedzieć, dlaczego okryła ich hańbą. Oświadczyła: „Myślałam, że pozwolono mi zamieszkać z Peterem, uważałam, że wszystko zostało uzgodnione”. Odparł:

„Nie, nikt z nas sobie tego nie życzy”. Uderzył ją w twarz i wyszedł. Jeden kuzyn wstawił się za nią, próbował udobruchać innych: „Przecież wyraziliśmy na to zgodę. Co w tym złego? Czemu nie pozwolić jej odejść?”, ale ojciec upierał się: „Upokorzyła mnie i zapłaci mi za to”.

Wepchnięto ją do samochodu. Prowadził jej wuj, ojciec usiadł obok niego. Na tylnym siedzeniu jechała Maya, wciśnięta między mamę a lekarza, który leczył członków jej rodziny.

- Zaraz na początku zostałam uprzedzona, że jeśli będę się awanturować, zastrzelą mnie. Kiedy ogarnięta paniką zaczęłam się dusić, zatrzymali się, pozwolili mi wysiąść i pooddychać świeżym powietrzem na poboczu drogi. Ale kiedy wybuchnęłam płaczem, wuj przytknął mi broń do głowy: „Bądź cicho albo cię zabiję i wrzucę twoje ciało w krzaki”. Kiedy wsiadłam z powrotem do samochodu, lekarz po-

dał mi jakiś środek uspokajający. Przewieźli mnie przez granicę, do Ugandy, posługując się paszportem mojej kuzynki, bo mój paszport miał Peter.

179

Jak coś takiego może się wydarzyć? Chyba że w filmach o Jamesie Bondzie. Takie pytanie zadałyśmy sobie później z Shazią. Jednak w wypadku Mai żaden przystojny podwójny agent nie pospieszył jej na ratunek, nikt jej nie pomógł. Następne dwa tygodnie pamięta jak przez mgłę. Była pod silnym wpływem środków uspokajających, budziła się jedynie, żeby jeść albo - częściej - wymiotować. Zatrzymali się w biurze jakiegoś kuzyna, potem w jednym hotelu, w drugim; co dwa, trzy dni zmieniali miejsce pobytu, unikając kogokolwiek, kto mógłby ich szukać. Kiedy się wprowadzali do nowego miejsca, ojciec Mai zabierał wszystkie przybory piśmienne i wyłączał telefon. Życie dziewczyny stało się surrealistyczne.

W połowie grudnia ojcu udało się „odzyskać jej paszport z domu Petera”.

- Jak? - zapytałam.

Wzruszyła ramionami. Wyglądała na wycieńczoną i wyczerpaną. Mówiła ze znużeniem.

- Zna różnych ludzi. Ma pieniądze. Nie wiem jak.

Teraz mógł ją wywieźć z kraju. Na lotnisku zawieźli ją do samolotu w wózku inwalidzkim. „Zabieramy ją do Indii na leczenie - wyjaśniła jej matka, wielce zatroskana i zmartwiona. - Proszę zobaczyć, co napisał lekarz. - Zaczęła wymachiwać papierem. - Biedactwo



ma poważne problemy ze zdrowiem. Lekarz musi dawać jej lekarstwa na uspokojenie".

Dlatego lekarz usiadł obok niej podczas lotu do Delhi. „Przykro mi, Mayu, ale co mogę zrobić? - Miał zawstydzoną minę, mówiąc to. - Nie zdawałem sobie sprawy, w co się pakuję, ale teraz przez to, co zrobiłem, mogę stracić pracę. Mam na utrzymaniu rodzinę. Jestem teraz uzależniony od twojego ojca i nie mam odwagi mu się sprzeciwić".

Z Delhi Mayę zawieziono do domu rodziców jej ojca, którzy byli zachwyceni tą niespodziewaną wizytą, z zadowoleniem i dumą powitali wnuczkę na wydaniu. Tutaj znów, po dokonaniu prezentacji, posłużono się chorobą jako pretekstem, by trzymać Mayę pod kluczem. Pamięta pokój z zimną posadzką, wyłożoną kafelkami. Duże, drewniane

180

okiennice były zawsze zamknięte. Życie toczyło się po drugiej stronie drzwi. Jedzenie przynoszono jej na tacy. Po siedmiu, dziesięciu, a może czternastu dniach -już sama nie wie, bo była otumaniona i rozkojarzona, zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży. Chociaż położenie było beznadziejne, serce jej się radowało, że nosi dziecko Petera.

- To niemożliwe - twierdził lekarz, ale kiedy badania potwierdziły, że Maya jest w odmiennym stanie, nie tracono czasu. Ojciec zdobył jakieś tabletki i stał obok niej z groźną miną, gdy po każdym posiłku połykała jedną. Po tygodniu poroniła. Siedziała w kucki na łóżku, kiwając się w przód i w tył, gdy nieznośny ból rozrywał jej dół brzucha, dusząc łkanie, kiedy gęsta, lepka krew ciekła po nogach. Była

noc, w ciemnościach wyczuła, że rodzice stoją na progu i obserwują ją w milczeniu.

Kilka dni później leżała na łóżku, otepiała i osamotniona, gdy znów pojawił się ojciec. Tym razem nie milczał.

- Co to jest? - wrzasnął. Idąc przez pokój, wymachiwał jakimś listem. Uderzył ją w twarz tak, że aż odskoczyła jej głowa, ale zdążyła rozpoznać swoje pismo. - Kłamliwa zdzira. Jesteś jego dziwką, że piszesz do niego, błagając, by po ciebie przyjechał?

- Jestem jego żoną. - Podparła się na łokciach, gotowa się bronić, ale skuliła się, kiedy ojciec z całych sił uderzył ją w nogi karniszem.

\*

Maya westchnęła głęboko i umilkła. Siedziałyśmy bez słowa przez dwie, trzy minuty. Przyglądałam się jej twarzy, Shazia też, ale Maya jakby tego nie zauważyła. Już nie czułam, by do mnie lgnęła. Jakby zamknęła się w sobie, cofnęła o wiele lat, do tamtej chwili, kiedy straciła resztki nadziei. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, jej wzrok był przygasły, głos beznamiętny.

- Dziewczynie, która miała wysyłać moje listy, powiedziano, żeby nie wracała do pracy. Nie wiem, co się z nią stało, ale wtedy kompletnie się załamalam. Zrezygnowalam z dalszego oporu. Spasowalam i przestałam walczyć. Oświadczyłam ojcu: „Jeśli chcesz mnie wydać za mąż, proszę bardzo”.

Postanowiła zostać idealną kandydatką na hinduską żonę: nauczyła się czytać i pisać w języku pendzabskim, gotować tradycyjne potra-

wy, doskonaliła się w szyciu. Rodzice zaczęli ją zabierać do świątyni i nakłaniać do modlitw.

- Chcieli, żebym się stała porządną, bogobożną dziewczyną.

Zacząto się jej oświadczać. Przyjeżdżały całe rodziny, Maya podawała herbatę, ubrana skromnie w tradycyjny hinduski strój, z przykrytą głową.

- Czułam się, jakby mnie wystawiono na sprzedaż na targu bydłym - powiedziała. A była cenną partią. Wkrótce po tym, jak Wielka Brytania skolonizowała Kenię, jej dziadka wywieziono do Anglii do budowy kolei; uzyskał wtedy obywatelstwo, które przechodziło na kolejne pokolenia. Wiedząc, że stanowi przepustkę do Anglii, jej zalotnicy się rozzuchwalili: domagali się, żeby wniosła w posagu telewizory, odtwarzacze wideo, samochody, dom.

- Miałam siedzieć cicho i na wszystko się zgadzać, ale mimo wcześniejszego postanowienia nie potrafiłam się na to zdobyć: wciąż mówiłam „nie”.

Potem jej ojciec poznał pośrednika, swata, bachola - uosobienie udawanej roztropności i wazeliniarstwa. „Mam kawalera w sam raz dla ciebie, bardzo przystojnego. Jego rodzina ma nowoczesne poglądy, jest liberalna, więc może okaże zainteresowanie, chociaż naturalnie to trudne, bardzo trudne, znając przeszłość twojej córki. Jednak nie zaszkodzi spróbować. Żadnych »jeśli« ani »ale« - przygotuj dziewczynę, a ja przywiozę rodzinę. Kawaler? Param? Nie, już jest w Anglii. Nie, nie, na razie nielegalnie, ale wiesz, jak to jest”.

Wystrojono Mayę. Jej mama wyjęła zastawę stołową używaną

od święta. Przybyli przyszli teściowie.

- Wszyscy się na mnie gapili i pomyślałam sobie: niedobrze.

Spojrzałam na mamę, odwróciła wzrok. Zanim się zorientowałam, wręczono mi słodycze i pieniądze, udekorowano czerwoną szarfą, i zrozumiałam, że już dobito targu. *Fait accompli*, dokonano się.

Miałam zostać ich synową.

Pojechała do Anglii, żeby poznać mężczyznę, z którym ją zaręczono: pracował w fabryce w Leeds i bardzo słabo mówił po angielsku. Może nie zrobił dobrego wrażenia na jej ojcu, bo po pierwszym spotkaniu (Maya powiedziała do narzeczonego jedynie: „Czy chciałbyś przyjść i coś zjeść?”) z powrotem wystawił ją na targowisku.

182

- Przedstawiono mi chyba z pięciu kolejnych kawalerów. Byłam już tym zmęczona. Powiedziałam tacie: „Może po prostu poślubię tego, którego mi wybierzesz?”.

I wtedy wydarzyło się coś, co zdawało się obiecywać Mai nową i zupełnie inną przyszłość. Interpol wezwał ją do Londynu na przesłuchanie. Peter - nie wiedząc o tym, że ojciec Mai anulował ich małżeństwo - robił wszystko, żeby ją odszukać.

- Tamtego dnia miałam doskonały nastrój. Uwierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Wyobrażałam sobie, że poproszę, by Peterowi też pozwolono tam przylecieć, będziemy bezpieczni i razem rozpoczniemy nowe życie.

Jaka była naiwna. Ojciec udał się z nią na przesłuchanie.

- Zanim weszłam do środka, powiedział mi: „W tej chwili wiele

osób kręci się w pobliżu miejsca zamieszkania Petera i Mary. Osób, które znam. Osób, które lubią przemoc i tortury. Nie umrą szybką śmiercią". Co mogłam zrobić? - Maya wykrzywiła twarz z bólu. - Powiedziałam policji to, co kazał ojciec. Nie mogłam narażać Petera i Mary na niebezpieczeństwo.

Ślub z przystojnym kawalerem o liberalnych poglądach odbył się w Indiach. Teściowie traktowali ją dobrze, nie chcąc stracić nowego, cennego nabytku. Sąsiedzi byli pod wrażeniem.

- Nazajutrz po uroczystościach przyszli mnie oglądać. Unosili welon i gapili się na mnie. Nie rozmawiali ze mną, tylko z teściową. „Czyż nie jest śliczna?". „Nie pochodzi stąd, prawda?". „Utorowała wam drogę, możecie teraz wyjechać do Wielkiej Brytanii". Zanim wystąpiła o wizę brytyjską dla Parama, swojego nowego męża, nawet on był dla niej dobry.

24

Nie wiadomo kiedy zleciało popołudnie; w herbaciarni nie było nikogo poza kelnerką. Wsparła się na łokciach i ze smętną miną spoglądała w dal. Powinnyśmy wyjść, ale czułam, że za wcześnie na rozstanie z Mayą. Nawet jeszcze nie dotarła do tego punktu swojej historii, który teraz budził jej największy niepokój: co będzie z dziećmi. Zapłaciłam rachunek i wyszłyśmy. Zapadał zmierzch, po ciepłym dniu nastał przyjemny wieczór. Spojrzałam na zegarek. Było już wpół do szóstej.

Czułam potrzebę ruchu, strząśnięcia z siebie okropności historii Mai.

Chciałam poczuć na skórze chłodne powietrze, wyrzucić wszystko z głowy,

rozprostować nogi. I chciałam, żeby Maya szła obok mnie, spoglądała przed siebie, znalazła coś pozytywnego w swoim życiu. Dotknęłam jej łokcia i skierowałyśmy się ku New Street. Przez jakiś czas wszystkie trzy szłyśmy zamyślane, a potem nagle odezwała się Maya:

- Mój były mąż jest alkoholikiem. Od samego początku zachowywał się wobec mnie agresywnie. Kiedy się upił, wykręcał mi ręce i bił mnie po twarzy. Bałam się go. Czułam się bardzo samotna. Rodzice wrócili do Afryki, a kiedy rozmawiałam z ojcem przez telefon, powiedział: „Jesteś przy nadziei? Póki nie urodzisz dzieci, nie zyskasz szacunku”.

Tak jak Surjit, Maya przekonała się, że gdy tylko mąż uzyskał prawo pobytu, zaczął się do niej gorzej odnosić. Dokładnie ją kontrolował: zmusił do zrezygnowania z kursu rachunkowości, na który się zapisała, bo nie chciał, żeby sama wychodziła z domu, zabraniał jej udzielać się towarzysko, sprawdzał, do kogo dzwoni. Wyzywał ją;

184

ulubioną inwektywą było „ty tłusta dziwko”. Bawiło go, kiedy kazał jej prosić o pozwolenie na skorzystanie z toalety; zmuszał do czekania piętnaście, dwadzieścia minut, łapał za rękę i ciągnął do tyłu, jeśli próbowała przejść obok niego, nim wyraził zgodę.

Oczekiwał, że wróci do domu i coś dla niego ugotuje tego samego dnia, kiedy urodziła pierwszą córkę, Kaelyn. Ich małżeństwo było już w stanie rozkładu: Param pracował w piekarni, ale w domu rzadko były pieniądze najedzenie; często się upijał i miał zwyczaj zapraszać kolegów do domu o szóstej rano, po nocnej zmianie.

Dwa tygodnie po urodzeniu Kaelyn Mayę obudziły o drugiej nad ranem odgłosy burdy na tyłach domu.

- Zeszłam na dół, trzymając niemowlę na ręku, i zobaczyłam przez okno, jak dwóch mężczyzn bije Parama. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę, ale wyszłam, złapałam go za ramię, był zakrwawiony i na pół przytomny, i wciągnęłam do środka. Kopnęłam faceta, który stanął mi na drodze, a on walnął mnie w twarz. Potem ten drugi gołą ręką wybił szybę w oknie, okruchy szkła posypały się na mnie i córeczkę. Zadzwoiłam na policję: „Napadnięto nas”. Rano Param był na mnie wściekły: „Dlaczego zadzwoniłaś na policję? Ci ludzie to moi przyjaciele”. - Maya westchnęła. - Aż tak się upijał.

Małżeństwo się rozsypywało. Podczas pobytu w Indiach, dokąd wyjechali z okazji narodzin Kaelyn, Param znajdował przyjemność w poniżaniu żony w obecności swojej rodziny, ubliżał jej, ciskał w nią butami. Nawet nie próbował ukrywać, że sypiał ze służącą, a kiedy Maya zapytała go o to, uderzył ją w twarz, rozcinając wargę. Matka Mai, która przyjechała obejrzeć swoją wnuczkę, zauważyła to.

- Powiedziała: „Bije cię, prawda?”. A ja odparłam: „Nawet jeśli tak, przecież jest ci to obojętne. Nie zależało ci, żebym była szczęśliwa w tym małżeństwie, i nie jestem”. Ojciec udał, że nie widzi moich siniaków, i tylko mnie objął, jakby chciał powiedzieć: teraz jesteś szanowaną kobietą, wreszcie mogę być z ciebie dumny.

Po powrocie do Anglii, zanim urodziła się Mireya, przyjechała matka Parama i zamieszkała z nimi. Maya usługiwała teraz i swojemu mężowi, i jego matce, która gdy dostała cenny bilet do Anglii, otwarcie

krytykowała synową, zmęczoną pracą zawodową (Maya pracowała wtedy w sklepie Boots), ciążą i opieką nad małym dzieckiem.

- Po urodzeniu Mirei zakończył się nasz związek. Już nigdy nie spałam z byłym mężem. Wtedy zaczął napomykać, że mnie rzuci. Oświadczył: „Trudno mi z tobą być, bo wiem, że byłaś wcześniej mężatką”. Powiedział to cztery lata po naszym ślubie! Odparłam: „Starłam się być najlepszą żoną. Robiłam dla ciebie wszystko. Stałam murem przy tobie i byłam dla ciebie wzorową żoną”. Ale nie słuchał mnie, tylko powtarzał: „Nie jestem szczęśliwy, bo już wcześniej byłaś mężatką”.

Ile człowiek może znieść? W którym momencie nagle się buntuje? Zadawałam sobie to pytanie, słuchając cichego głosu Mai. Były chwile podczas tego długiego, smutnego popołudnia, kiedy miałam ochotę zasłonić uszy rękami i krzyknąć: „Przestań! Proszę, skończ!”, ale nie było przed tym ucieczki, póki ta biedna, sterana życiem kobieta nie dotarła do końca swojej litanii, nie przedstawiła wszystkich przykładów złego traktowania i wykorzystywania.

Poszliśmy, nie dyskutując ani nie podjąwszy żadnej decyzji, na stację. Dotarliśmy tam akurat, kiedy włączyły się latarnie. Usiadliśmy w hali. Piłyśmy kawę ze styropianowych kubeczków i słuchałyśmy relacji Mai o drugiej podróży do Indii, podczas której teściowie traktowali ją jak niewolnicę. Opowiedziała o wieczorze, kiedy pijany Param zaciągnął ją do łazienki i brutalnie zgwałcił. Powiedziała nam, jak zmusił ją do usunięcia ciąży, która była efektem gwałtu, oskarżając, że nosi dziecko innego mężczyzny. I opowiedziała nam o ostatniej karczemnej awanturze, która zakończyła się tym, że Param



wrzasnął do niej: „Wynoś się z domu razem ze swoimi bachorami”.

I tak skończyło się jej małżeństwo.

Nic dziwnego, że zapadła na zdrowiu. Będąc samotną matką, dostała dobrą pracę w policji jako tłumaczka, ale po wszystkim, co przeszła, presja okazała się zbyt wielka. Wydział opieki społecznej stwierdził, że dzieci nie chodzą do szkoły; udzielono jej wsparcia, ale Maya i tak nie dawała sobie rady. Doznała załamania nerwowego, trafiła do szpitala, a kiedy Param zażądał tymczasowego prawa pobytu i opieki nad dziewczynkami, zdaje się, że Maya przyjęła to niemal z ulgą i wyraziła zgodę, pod warunkiem że kiedy odzyska zdrowie, Param odda jej dzieci. A teraz nie chciał tego zrobić. Wyjechał do Pakistanu, skąd ściągnął do Anglii drugą kobietę, która została jego żoną, a ich matką: jego ostatni akt okrucieństwa.

186

- Pozwę go do sądu za odmowę oddania mi dziewczynek, także za gwałt. Może nie zebrałabym się na odwagę, żeby zgłosić gwałt, ale jestem zdesperowana. Dostałby zgodę na pobyt stały na ostatnim przesłuchaniu, gdyby na mój wniosek nie włączyła się policja. - Odwróciła się w moją stronę, powiedziawszy to, i po raz pierwszy tamtego popołudnia dostrzegłam na jej twarzy przeblysłą siłę - cień dziewczyny, która mogła reprezentować w biegach swój kraj, dziewczyny mającej odwagę przeciwstawić się rodzicom i uciec z ukochanym. Lecz potem znów się zawahała. - Kolejne przesłuchanie jest w przyszłym tygodniu, ale nie wiem, czy dopnę swego. Pracownik opieki społecznej zdaje się wrogo do mnie nastawiony.

- Jak to?

- Mówi, że się zgodziłam, by Param opiekował się dziewczynkami, a one są u niego szczęśliwe. Chce wiedzieć, dlaczego tak późno występuję z oskarżeniem o gwałt.

- Powiedziałaś mu o tym, o czym właśnie mi mówiłaś?

- Czyli o czym? - Jej twarz była bez wyrazu.

- O tym, że znęcała się nad tobą rodzina, o porwaniu, o wymuszonym małżeństwie, o pastwieniu się Parama nad tobą. Pracownik opieki socjalnej wie, co spowodowało twoje załamanie nerwowe?

- Nie. Nigdy mnie o to nie pytał.

- Powinien się o tym dowiedzieć. Podobnie jak policja i twój adwokat. Muszę z nimi porozmawiać; uważam, że należy przesunąć termin przesłuchania, trzeba wyjawic, dlaczego miałaś załamanie nerwowe. Mayu... - Ujęłam jej dłonie i mocno je ścisnęłam, jakbym mogła w ten sposób dodać jej nadziei. - Spójrz tylko, jaka jesteś silna i dzielna. Po tym wszystkim, co przeszłaś, stanęłaś na nogi, bo chcesz odzyskać dziewczynki. Musisz się na tym skupić. Do tej pory wszystko robiłaś sama, ale teraz ja ci pomogę. Już nie będziesz pozostawiona samej sobie.

\*

Kiedy tamtego wieczoru nasz pociąg wjechał na Birmingham New Street, zauważyłam policjantkę z Derby, Andreę Parkin, siedzącą przy oknie. Odruchowo pomachałam jej, ale chociaż pociąg zwalniał, chyba mnie nie zauważyła. Razem z Shazią wsiadłyśmy

do wagonu, w którym podróżował tylko jakiś młody Azjata. Wydał mi się znajomy; widziałam jego twarz i ciemną skórzaną kurtkę, zanim się odwróciłam i zajęłam miejsce. Siedziałyśmy w milczeniu, wciąż myślałam o Mai, próbując zapamiętać jak najwięcej z jej opowieści. Jeśli zamierzałam napisać raport dla pracownika opieki społecznej, musiałam wszystkie szczegóły poukładać sobie w głowie.

Kiedy mężczyzna w skórzanej kurtce pierwszy raz przeszedł koło nas, pomyślałam, że idzie do toalety; gdy wracał, jakby zarzuciło go na mój fotel i dotknął mojej ręki, co mnie zdziwiło, bo pociąg nie jechał szybko, więc dlaczego miałby się zachwiać? Obserwowałam go, jak idzie do swojego miejsca, przez chwilę stał obok niego, a potem, jakby czegoś zapomniał, odwrócił się i znów ruszył wzdłuż wagonu. Śledziłam go wzrokiem, ale mój umysł nie notował tego, co widziałam. Dopóki się nie zorientowałam, że gapi się na mnie. Zmieszana, spuściłam wzrok. Przeszedł obok mnie, a kilka sekund później wrócił, doszedł do swojego miejsca i znów się odwrócił. Uniosłam wzrok i w ułamku sekundy, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uświadomiłam sobie, że już go kiedyś spotkałam. Miał groźną minę.

Znów szedł w naszą stronę. Zaczęłam liczyć jego kroki: dwa, trzy, cztery... Trąciłam Shazię, która wyglądała przez okno. Osiem, dziewięć, dziesięć... Odwróciłam się do Shazi, ale i tak poczułam, że po piętnastu krokach znalazł się obok nas.

- Znam go - mruknęłam, kiedy nas minął.

- Kogo?

- Tego faceta. Zaczekaj, sama się przekonasz.

Kilka sekund później znów poczułam jego obecność. Zatrzymał się tuż, nim znalazł się koło nas; chyba usiadł za nami, po drugiej stronie przejścia. Zmusiłam się do patrzenia prosto przed siebie.

Nie dam mu tej satysfakcji, by zobaczył, jak się oglądam, by sprawdzić, gdzie jest, nie pozwolę, by się chełpił, widząc strach wypisany na mojej twarzy.

Po paru minutach usłyszałam, że znów idzie, ale tym razem nie minął mnie. Dokąd poszedł? Niepewność wywoływała jeszcze większy niepokój niż jego bliska obecność. Serce mi waliło, ręce się spociły.

- Kto to? - odezwała się cicho Shazia.

188

- Ciiiiiii... - Nie mogłam tego znieść. Już miałam się odwrócić, spróbować go zlokalizować, kiedy znów przeszedł obok mnie, wolno i arogancko.

- Tak, to on. - Wbiłam wzrok w oparcie fotela przede mną. -

Znam go.

- Co to za jeden? - Shazia wyciągnęła szyję, próbując mu się lepiej przyjrzeć, ale szarpnęłam ją. - Co robi? - szepnęła.

- Próbuje mnie zastraszyć.

- Dlaczego?

Kiedy znów ruszył wąskim przejściem, zaczęłam się bać, co się stanie, kiedy dotrzemy do Derby. Co zrobię, jeśli pójdzie za mną do samochodu? Ogarniała mnie panika. Miałam wrażenie, że jestem w pułapce. Żałowałam, że wagon jest pusty, że nie jedzie nim ktoś

jeszcze, kto byłby świadkiem tego zachowania. Nagle przypomniałam sobie o Andrei Parkin w wagonie z przodu.

- Shazia. Kiedy pociąg zatrzyma się w Tamworth, przesiądziemy się do innego wagonu. Nie pytaj dlaczego, zrób to, co powiedziałam.

- Spojrzałam na zegarek, wzięłam torbę, szykując się do opuszczenia pociągu.

Tak się akurat złożyło, że był za nami, kiedy pociąg wjechał na stację w Tamworth. Nie oglądając się za siebie, ruszyłam przejściem, wysiadłam i pobiegłam wzdłuż peronu. Shazia podążała za mną.

Kiedy wypatrzyłam Andreę, zastukałam w okno i szybko skierowałam się do wejścia.

Dyszałam, kiedy klapnęłam w fotelu naprzeciwko niej, Shazia też.

Przez chwilę nie mogłam uporządkować myśli, by wszystko wyjaśnić, i siedziałyśmy we trzy, patrząc na siebie. A potem powiedziałam szybko:

- Potrzebna mi twoja pomoc. W wagonie, z którego właśnie wysiadłyśmy, jedzie mężczyzna, który ma powód, żeby mnie nie lubić.

Dwa lata temu pomogłam jego siostrze wyprowadzić się z domu.

Spotkałam go, kiedy przyszedł do Nirvany, szukając jej; był rozjuszony i zachowywał się agresywnie. Próbował mnie zastraszyć.

Wiem, że mieszka w Derby, i boję się, że będzie mnie śledził, kiedy wysiadziemy z pociągu. Czy mogłabyś mnie odprowadzić na parking, poczekać, póki nie wsiądę do samochodu?

189

Oczywiście Andrea się zgodziła i od razu zrobiło mi się różniej

na duszy. Kiedy byłam sama z Shazią w tamtym wagonie, czułam się zupełnie bezbronna. Nie przesadzam. Nie wiem, co by się stało, gdyby Andrea nie jechała tym pociągiem. Kiedy znaleźliśmy się w Derby, podszedł do mnie na peronie, ale potem wysiadła Andrea i stanęła obok mnie, a on szybko się oddalił.

Wzięła mnie pod rękę, Shazia szła po drugiej stronie -jakby fizycznie mnie chroniły - i doszliśmy do mojego samochodu. Zablokowałam się od środka, ale i tak, kiedy dotknęłam nogami pedałów, nogi wciąż mi się trzęsły. Minęło kilka minut, nim zdołałam odjechać.

Tego, że takie kobiety jak Maya obdarzają mnie zaufaniem, nigdy nie traktuję jak coś oczywistego. Czuję się wyróżniona, gdy ktoś, kto tyle wycierpiał, opowiada o tym właśnie mnie, i cieszę się, że wysłuchując zwierzeń, mogę jakoś pomóc. Nigdy nie uważam, że działa to w jedną stronę. Słuchanie opowieści tych kobiet pomaga również mnie. Każde nowe przypomnienie, że moje osobiste przeżycia - często stokrotnie wyolbrzymione przez strach - dzielę z tyloma kobietami, umacnia mnie w przekonaniu, iż słusznie zrobiłam, zostając się ze swoimi bliskimi, a potem wstałam i ogłosiłam całemu światu, dlaczego nie mogłam z nimi zostać.

Poza tym - wreszcie zaczynam to akceptować - dzielenie ich bólu pozwala mi wybaczyć sobie to, że nawet teraz, po tylu latach, niekiedy cierpię z tego powodu, że rodzina się mnie wyrzekła. Czasami śni mi się własny pogrzeb, i to bardzo realistycznie: widzę cmentarz i swoją trumnę, dzieci i przyjaciół, którzy, mam nadzieję, przyjdą, ale potem oczami duszy widzę puste miejsce tam, gdzie powinna stać moja rodzina. Nie

ma nikogo z bliskich, żeby mnie pożegnać, nikogusienko. Zdarza się, że kiedy budzę się z tego snu, łzy płyną mi po policzkach i ledwo mogę oddychać, jest mi ciężko na sercu. W takich momentach wstaję z łóżka, bo boję się, że to uczucie mnie przygniecie. Nawet jednak kiedy nie śpię i mózg działa sprawnie - na przykład biorę prysznic, woda leci mi na głowę, wybijając z niej wszelkie głupoty - bywają dni, gdy myśl, że mój sen może się spełnić, wciąż sprawia ból.

W tym roku w dniu urodzin Robiny usłyszałam, że moja rodzi-

na zorganizowała zjazd, ale mnie nie zaproszono. To była sobota,

191

obudziłam się tamtego ranka, czując, że wszystko we mnie zwiędło. Miałam ochotę wczołgać się do jakiejś nory i ukryć. Myślałam, że nie dam rady stawić czoła światu.

Właśnie skończyłam jeść śniadanie, kiedy Yasmin przysłała mi SMS-a. Napisała:

Mam kiepski dzień. Dziś są urodziny mojego taty.

Bardzo lubię Yasmin, jest jedną z kobiet, które stały się dla mnie kimś wyjątkowym, ale tamtego dnia nie potrafiłam znaleźć w sobie nic, co mogłabym jej dać. Nie mogła tego wiedzieć, z całą pewnością nie wiedziała, dlaczego tak było. Musiała się poczuć zraniona i zdziwiona, kiedy otrzymała moją zimną odpowiedź:

Prawdę mówiąc, potrzebuję trochę czasu dla siebie. Opłakuję moją siostrę.

Później ją przeprosiłam; jeszcze tego samego wieczoru wysłałam jej SMS-a, w którym wyjaśniłam, jakie znaczenie ma dla mnie ów dzień

i jak się czuję. Mam nadzieję, że mnie zrozumiała; powiedziała, że tak.

Chyba więc nie poczuła się dotknięta.

Wcześniej wzięłam trochę kwiatów i poszłam do krematorium, gdzie skremowano rodziców i Robinę. Nie ma tam prochów Robiny, nie wiem, gdzie są, zabrały je moje siostry, ale musiałam pójść gdzieś, gdzie znalazłabym jakąś więź z nią. Dzieci pojechały ze mną, przez chwilę staliśmy nieruchomo, milcząc.

Myślałam o tym, jak bardzo byłam zżyta z Robiną, o tym, co robiłyśmy, kiedy byłyśmy małe. Gdy mieszkaliśmy przy Northumberland Street, bawiłyśmy się w „zapukaj i w nogi”, Robina była zawsze tą odważną, najdłużej stała na progu, nim straciła zimną krew i rzucała się do ucieczki. Pamiętam ją, zgiętą wpół w drzwiach naszego domu, gdzie już nic nam nie groziło, z rękami na biodrach, próbującą odzyskać dech, zanoszącą się śmiechem. W czasach, kiedy mieszkaliśmy przy Northumberland Street, ona, ja i najmłodsza z nas, Lucy, byłyśmy na tyle małe, że razem się kąpałyśmy. Najstarsza siostra, Ginda, ustawiała nas w rzędzie i myła nam włosy. W tamtych czasach byłyśmy ze sobą bardzo blisko, a teraz, proszę: wszystkie trzy martwe, jedna dla drugiej. A Ginda, która niemal mnie wychowała, tak mi odległa jak obca kobieta.

Dokonałam wyboru i to cena, jaką zapłaciłam.

26

Walka o to, żeby szkoły w Derby zgodziły się na umieszczenie plakatów Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, uzmysłowiła mi, jak ważną sprawą jest dotarcie do młodych ludzi,



bo pokazała, że trudno uzyskać pomoc nawet dziewczętom, które prowadzą normalne życie. Staram się nigdy nie odmawiać, kiedy mam szansę wystąpić w jakiegokolwiek szkole, gdzie chcą mnie gościć, i pod koniec mojej prelekcji przynajmniej jedna, często dwie czy trzy uczennice chcą ze mną porozmawiać i uzyskać bardziej szczegółowe informacje. Nie jest niczym niezwykłym usłyszeć czyjś szept: „Wie pani, co pani mówi. No więc tak to u mnie wygląda”.

Na sporą liczbę szkół, które odwiedziłam, tylko raz zabrał głos chłopiec; chodził do państwowej szkoły średniej w zachodniej części Londynu, wielkiej placówki, w której uczyły się dzieci pięćdziesięciu czterech narodowości. Dyrektor poprosił mnie, żebym wygłosiła taką samą pogadankę dla dwóch grup uczniów w wieku około piętnastu lat. Pierwsze spotkanie wypadło bardzo dobrze. Siedzieliśmy w bibliotece, pomieszczeniu przytulniejszym niż surowa sala, w której obowiązywała bezwzględna cisza, jak pamiętam ze szkolnych czasów. Tu były tapicerowane krzesła, komputery, czasopisma. Wokół miejsca, gdzie miałam usiąść, ustawiono krzesła o prostych oparciach. Przypuszczam, że było ich z sześćdziesiąt; kiedy przyszły dzieci, wszystkie krzesła zostały zajęte.

Gdy zaczęłam, paru chłopców hałasowało i wygłupiało się, ale większość uważnie słuchała. Pod koniec podeszły do mnie dwie dziewczyny - jak większość ich koleżanek miały hidżaby - uścis-

193

nęły mnie, podziękowały mi i zapytały, czy słyszałam o Heshu Yones, kurdyjskiej dziewczynie, której ojciec poderznął gardło.

Kiedy potwierdziłam, poinformowały mnie, że mieszkała niedaleko stąd; powiedziały, że pamiętają wszystko, co się mówiło, wszystkie okropne szczegóły, powtarzane szeptem w klasach po zabójstwie dziewczyny.

Druga prelekcja utkwiała mi w pamięci za sprawą barczystego chłopaka o silnie zarysowanej szczęce, który wyglądał na dużo starszego od swoich kolegów i koleżanek. Zwróciłam na niego uwagę, kiedy wchodzili uczniowie, a kiedy zapytałam nauczycielkę, uniosła oczy i roześmiała się krótko, cynicznie.

- Wygląda na dziewiętnaście lat, prawda? Niewykluczone, że tyle ma, ale jego tata utrzymuje, że syn ma piętnaście lat, więc cóż możemy zrobić? Stykamy się z czymś takim nagminnie. Dzieci nie uczą się w swojej ojczyźnie, a po przyjeździe tutaj rodzice chcą, żeby nadrobiły zaległości. Jest z Arabii Saudyjskiej.

Przestałam sobie nim zaprzętać głowę, gdyby później nie rzucił mi wyzwania. Uważałam, że druga prelekcja wypadła lepiej. Tym razem wspomniałam o Heshu Yones, chciałam podkreślić, iż ojciec zamordował ją tylko dlatego, że miała chłopaka chrześcijanina; pomyślałam, że to wywrze duże wrażenie w takiej wielonarodowościowej szkole, i rzeczywiście uczniowie wymieniali się spojrzeniami, szeptali, zasłoniwszy usta.

Kiedy skończyłam, młody Saudyjczyk podniósł rękę:

- Za kogo się pani uważa, że pojawia się tu i mówi nam, jak mamy żyć?

Powiedział to z arogancką pewnością siebie mężczyzny, na jakiego

wyglądał. Nauczycielka wstała, jednocześnie próbując go uciszyć i przeprosić mnie. Ale zaintrygowało mnie to, powiedziałam jej, żeby się nie przejmowała, pozwoliła mu dalej mówić. I zrobił to, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z zadartą brodą.

- Gdyby moja siostra zrobiła coś takiego, o czym pani mówiła, zabiłbym ją.

- Naprawdę? - Spojrzałam na uczniów siedzących półkolem wokół mnie. Nikt nie zareagował, nikt nie rzucił mu wyzwania, dzieciaki unikały mojego wzroku. - No cóż, skoro tu mieszkasz, powinienesz

194

wiedzieć, że w tym kraju zakazane jest zabijanie kogoś dlatego, że się widziało, jak ów ktoś rozmawiał z osobą odmiennej płci.

Odpowiedział natychmiast:

- Obojętne mi, w jakim kraju mieszkam. Moim obowiązkiem jest strzec honoru siostry. Gdyby zrobiła to, o czym pani mówiła, zabiłbym ją.

Po tych słowach nauczycielka bardzo szybko zamknęła dyskusję.

Kiedy dzieci wychodziły z biblioteki, popychały się i poszturchiwały, zaczęła mnie gorąco przeproszać.

- Popisywał się. Jestem pewna, że nie myśli tak naprawdę.

Nie mogłam się z tym zgodzić.

- Naprawdę tak uważa. Słyszała go pani, nie owijał w bawełnę.

I jeśli ma siostry, bardzo bym się o nie niepokoiła.

\*

Było koło siódmej wieczorem, gdy wróciłam do Derby. Maureen,

która zna moje dzieci od malenkości, odebrała Joshuę ze szkoły i siedziała z nim w domu.

- Po drodze wstąpiliśmy do sklepu na rogu, żeby kupić komiks ~ powiedziała niemal natychmiast, gdy weszłam. Odczekała tylko, aż Joshua znów bez reszty odda się oglądaniu telewizji. - Wiesz, ile czasu potrzebuje, żeby coś wybrać. No więc wyszłam ze sklepu, żeby na niego zaczekać, i rozmawiałam z dziewczętami, które znam, czternasto-, piętnastolatki, Azjatki. Często je widuję przed sklepem, chodzą do pobliskiej szkoły.

Zdjęłam buty, zastanawiając się, do czego przyjaciółka zmierza.

Mówiła przyciszonym głosem, zmarszczywszy czoło.

- Kiedy Joshua wyszedł ze sklepu, przedstawiłam go im, powiedziałam, kim jest jego mama. Rozmawiały o tej biednej dziewczynie, Athwal, i pomyślałam, że zainteresuje je, iż rozmawiałaś z jej bratem.

Przypomniałam sobie mężczyznę, o którym mówiła, Jagdeesha Singha. Dwa dni wcześniej braliśmy udział w tej samej audycji radiowej, oboje się cieszyliśmy, że po dziewięciu długich latach od zniknięcia jego siostry zabójcy stanęli przed sądem. Przez te wszystkie lata - kiedy było wiadomo tylko, że wszelki ślad po niej zaginął, gdy

195

wyjechała do Indii na ślub w rodzinie - Jagdeesh uparcie prowadził swoją kampanię pod hasłem „Sprawiedliwość dla Athwal”. Utrzymywał, że chociaż siostra nie była szczęśliwa w małżeństwie, nigdy by nie uciekła, porzucając dwójkę małych dzieci, jak to twierdził jej

mąż Sukhdev.

Teraz prawda wyszła na jaw. Athwal zamordowano, zabito w imię honoru podczas podróży do Indii. Okryła hańbą męża, prosząc go o rozwód, i Sukhdev razem ze swoją matką Bachan postanowili, że Athwal musi zapłacić za to życiem. Bachan przypuszczalnie zorganizowała spotkanie członków rodziny i oświadczyła: „Należy się jej pozbyć”, a następnie poprosiła swojego brata, żeby ją uduślił, a zwłoki wrzucił do rzeki. Sukhdev wrócił do Anglii, po kilku miesiącach rozwiódł się z Athwal, twierdząc, że od niego odeszła, i ożenił się ponownie.

Nigdy nie znaleziono ciała Athwal i prawda mogłaby nigdy nie wyjść na jaw, gdyby Bachan nie zaczęła się chełpić swoim sprytem.

Po powrocie do Anglii powiedziała paru krewnym, co się stało z Athwal. Krewni przez wszystkie lata ukrywali tę informację ze strachu, bojąc się zemsty, ale teraz podzielili się z policją tym, czego się dowiedzieli. Sukhdev i Bachan stanęli przed sądem, prasa rozpisywała się o sprawie.

Ta historia napawała mnie optymizmem i powiedziałam to podczas audycji radiowej. Uznałam, że to wielki krok naprzód, jeśli krewni współpracują z policją w sprawie zabójstwa honorowego.

Przy okazji przypomniano o ciężącym na policji obowiązku szukania sprawiedliwości dla wszystkich obywateli brytyjskich, którzy zaginęli poza granicami kraju. Przyznałam rację Jagdeeshowi Singhowi, kiedy powiedział, jak mało uwagi poświęcono Athwal w porównaniu z tym, ile jej poświęcono Lucie Blackman, młodej, jasnowłosej Brytyjce, która

zaginęła, a później się okazało, że została zamordowana w Japonii.

Byłam pod wrażeniem tego, w jaki sposób walczył o sprawiedliwość dla siostry, i oboje się zgodziliśmy, że musimy się zastanowić, co możemy razem zrobić w przyszłości.

Sprawa była niewątpliwie ciekawa, ale uważałam, że ma niewiele wspólnego z naszym spokojnym sklepem na rogu. Nie wiedziałam, jaki może mieć związek z Maureen czy Joshua.

196

- Dziewczynki okazały większe zainteresowanie? Chciały wiedzieć, co Jagdeesh powiedział?

- Nie miałam okazji im tego powtórzyć. - Maureen szybko spojrziała przez ramię, żeby się upewnić, czy Joshua jest pochłonięty oglądaniem telewizji. - Gdy tylko padło twoje imię, ich twarze stężały i wszystkie dziewczynki się cofnęły. Dosłownie. Jakby próbowały uciec przed nami. Jakoś dziwnie się do siebie uśmiechały, a potem jedna z nich - ta, z którą najczęściej rozmawiałam - oświadczyła: „Przepraszamy, ale w naszych domach nie wolno nam wymieniać jej imienia. W przeciwnym razie mamy kłopoty”. Potem odwróciła się do koleżanek: „Lepiej już chodźmy”. Joshua bardzo się tym zderwował. Biedaczek w kółko mnie pytał: „Dlaczego nie wolno im wymieniać jej imienia? Co złego zrobiła?”. Szczerze mówiąc, Jas, nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

Ja też nie. Joshua wspominał o tym dopiero następnego ranka.

Była sobota, wyszliśmy na spacer z psem na pola za naszym domkiem.

Opowiedział mi całe wydarzenie. Jego wersja nie różniła się od wersji

Maureen.

- Dlaczego ciębie nie lubią, mamó?

Odparłam, że ludzie mają różne poglądy, to całkiem naturalne; próbowałam mu wytłumaczyć, iż ważne jest, żeby wierzyć w siebie i nie przejmować się tym, co myślą inni. Powiedziałam to spokojnym, optymistycznym tonem, i zdawał się usatysfakcjonowany, ale nie potrafiłam przekonać samej siebie. Prawdę mówiąc, byłam oburzona tym, że w naszej małej miejscowości, oazie, którą wybrałam, by uciec przed złośliwymi językami i potępiającymi spojrzeniami, z jakimi stykałam się w Derby, mieszkali ludzie, którzy mnie nienawidzili i źle mi życzyli. Nie mogłam znieść myśli, że ja i moje dzieci chodzimy wśród nich, nie wiedząc, kim są. Poczułam, że dobrze mi znany, wywołujący mdłości lęk znów zagnieździł się w żołądku.

Większość tygodnia spędziłam w rozjazdach i tamtego ranka musiałam wstąpić do biura po jakieś dokumenty. Mimo woli obejrzałam się przez ramię, zanim wsiadłam do samochodu. Nie mogłam się powstrzymać, by nie obserwować mijanych ludzi, starałam się zgadnąć, czy ktoś nie próbuje śledzić mnie albo trasy mojego przejazdu.

Kilka razy spojrzalam w lusterko, żeby się upewnić, czy nikt za mną

197

nie jedzie. Jak szybko rozchodzą się wieści? - zadawałam sobie pytanie. Zaledwie trzy dni wcześniej zgodziłam się wygłosić mowę do ławy przysięgłych przed procesem w sprawie morderstwa w West Midlands. Jego ofiarą padł młody muzułmanin, zabity strzałem w tył głowy. Nikt nie przypuszczał, by miał jakichś wrogów, nikt nie żywił

do niego urazy - poza szwagrami, którzy nie ukrywali, że nie podoba im się, iż ich siostra sama wybrała sobie męża. I właśnie niektórych członków rodziny jego żony postawiono przed sądem.

Zgodziłam się jako znawca kultury wytłumaczyć ławie przysięgłych, jak silną niechęć mogą odczuwać azjatyckie rodziny wobec młodych mężczyzn i kobiet, sprzeciwiających się zaaranżowanemu małżeństwu i samodzielnie wybierających sobie partnera. Zamierzałam wyjaśnić pojęcie honoru, jak łatwo je skalać, oraz do czego zdolne są niektóre rodziny, kiedy uznają, że ich dobre imię zostało zbrukane. Kiedy mnie o to poprosił nadinspektor kierujący sprawą, skwapliwie się zgodziłam, nie wahałam się ani przez chwilę. Jednak tamtego ranka, jadąc przez Derby, uświadomiłam sobie, że przeciwstawiam się rodzinie, która - chociaż jeszcze tego nie udowodniono przed sądem - zdawała się gotowa zabijać osoby jej zdaniem pozbawione honoru. Czy byłam szalona, decydując się na to? Czy powinnam powiedzieć, że się rozmyśliłam? Te pytania nie dawały mi spokoju. Od miesiący nie czułam się tak bezbronna i na skraju przepaści.

Zaparkowałam przed Nirvaną i sięgnęłam po wełnianą czapkę, którą trzymam na tylnym siedzeniu samochodu na takie chwile, kiedy nie czuję się zbyt bezpiecznie. Wcisnęłam ją na głowę, postawiłam kołnierz kurtki. Jesteś głupia, powiedziałam sobie, idąc szybko przez parking ze spuszczoną głową, zgarbionymi ramionami, kierując się do tylnego wejścia do biura. Ponieważ nie patrzyłam, dokąd idę, dopiero zapach zatrzymał mnie tuż przed budynkiem. Silny i charakterystyczny odór ludzkich ekskrementów.



Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że wymazano nimi szyby okien, brązowe smugi ciągnęły się od miejsca, w którym rzucono gówno, a cuchnące resztki leżały na ziemi pod murem. Stałam jak wryta. Serce mi waliło. W pierwszym odruchu chciałam się odwrócić i pobiec z powrotem do samochodu, udać, że tego nie widziałam, nie dopuścić do świadomości, uciec. Nie mogłam znieść więcej strachu, 198

nie chciałam, żeby to był mój dramat, w tamtej chwili nie chciałam, żeby to było moje życie.

Nie uciekłam jednak. Zachowując resztki spokoju i rozsądku, powiedziałam sobie, że tuż za zamkniętymi drzwiami do mojego biura jest guzik alarmu i po naciśnięciu w kilka sekund pojawi się policja. Poszukałam w torebce kluczy, trzęsącą się ręką wsadziłam je do zamka, cały czas rozglądając się wokoło. Nic nie zobaczyłam poza dwiema puszkami po piwie i nadjedzonym hamburgerem, rzuconym na ziemię i przydeptanym butem. Widać było wyraźnie odcisk podeszwy i keczup, rozmazany na styropianowym opakowaniu.

Otworzyłam drzwi i szybko rozejrzałam się po biurze, by się przekonać, czy nie zauważę czegoś nietypowego, czy coś przesunięto albo przewrócono. Nic. Zawahałam się chwilę na progu. Wzrok utkwiałam w ścianie, zasłaniającej jedną czwartą pomieszczenia z miejsca, gdzie stałam.

- Halo? Jest tu ktoś? - zawołałam, a mój głos dziwnie zabrzmiał w śmiertelnej ciszy.

Rozległ się trzask zamka automatycznego, dający poczucie bez-

pieczeństwa, kiedy zamknęłam drzwi i oparłam się o nie, oddychając miarowo - wdech, wydech - póki serce nie przestało mi walić. Zmusiłam się do spojrzenia na zasmarowane okno i nagle, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę, cały mój strach zniknął jak ręką odjął. A może to forma protestu? Patrzyłam na cuchnącą groźbę, zastanawiając się, kto to uprzątnie, i poczułam głuchą, bezsilną złość. Dosłownie i w przenośni było to gówno, nic więcej. Może rzucił nim ktoś, kto chciał mnie nastraszyć albo mi pogrozić, a może pijane wyrostki zrobiły to dla hecy; nigdy się tego nie dowiem. Nie pozwolę, by mnie to wyprowadziło z równowagi. Zapomniałam o guziku alarmu, podeszłam do najbliższego telefonu i wybrałam numer policji. Słyszałam znużenie we własnym głosie, kiedy składałam doniesienie, zauważając tępo, że powtarzalność takich wydarzeń sprawiła, iż spowszedniały. Kiedy doszliśmy do końca, dyżurny, który odebrał moje zgłoszenie, rzucił uspokajającą uwagę, a ja - wiedząc, że tego po mnie oczekiwano - grzecznie przyznałam mu rację. Nie, niewiele można zrobić w tej sprawie; tak, będę się miała na baczności i, oczywiście, nie trzeba się niepotrzebnie martwić, nie ma sensu.

199

Wzięłam akta, a potem, w odruchu sprzeciwu, ściągnęłam z głowy czapkę i poprawiłam włosy. Kiedy szłam z powrotem przez parking, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że nie muszę mieszkać w Derby, mogę się przeprowadzić gdzie indziej, wykonywać swoją pracę z każdego miejsca, jakie sobie wybiorę. Ujrzałam w myślach domek nad morzem. Nie mogłam się nie uśmiechnąć, że dokonałam

takiego odkrycia; zupełnie jakbym szeroko otworzyła drzwi zimnego, wilgotnego i dusznego pomieszczenia, by snop światła słonecznego wpadł do środka i rozświetlił mrok. Poczułam ogromną ulgę. Kiedy znalazłam się koło samochodu, odwróciłam się, żeby spojrzeć na budynek, na gówno, które z tej odległości przypominało smugę zwykłego brudu.

- Mogę wyjechać - powiedziałam sobie. - Ale nikt mnie do tego nie zmusi. Zrobię to, kiedy będę gotowa.

27

kontaktowałam się z różnymi instytucjami, mającymi związek ze sprawą Mai. Porozmawiałam z policjantem, który przyjął jej zgłoszenie, a dwa dni później zwrócił się do mnie z następującą prośbą:

Jasvinder,

W związku z oskarżeniem o gwałt, wniesionym przez Mayę Sandhar, potrzebna mi twoja ekspertyza dotycząca nacisków kulturowych, jakie wywierano w tamtym okresie na Mayę.

Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła wyjaśnić, co następuje:

Tradycję aranżowanych małżeństw, postawę jej rodziny i rodziny jej męża.

Możliwe następstwa dla kogoś w jej położeniu, gdyby zdecydował się ujawnić ten fakt mimo nacisków.

„Hańbę”, jaką w ich mniemaniu takie ujawnienie i opuszczenie męża sprowadziłoby na jej rodzinę i rodzinę męża.

Bardzo dziękuję za pomoc w tej sprawie.

Czekam na wiadomość od ciebie.

Jim

Wysłałam przemyślaną i staranną odpowiedź, starając się przedstawić wszystkie cierpienia Mai w kontekście kultury, w jakiej została wychowana. Natychmiast przypomniała mi się Surjit: dwie kobiety, dwa małżeństwa, a jednak w obu wypadkach kwestie zasadnicze były identyczne.

Obie kobiety zmuszono do poślubienia mężczyzn, którzy mieli gorsze wykształcenie od nich, co -jak podkreśliłam w opinii w sprawie Mai - stoi w bezpośredniej sprzeczności z przyjętą praktyką aranżowanych małżeństw, kiedy dąży się do podobnego statusu małżonków.

Zwróciłam uwagę, że -jak to często bywa w takich sytuacjach -

Param zaczął traktować żonę grubiańsko, kiedy uzyskał prawo stałego pobytu w Wielkiej Brytanii. Wy tłumaczyłam też, że ponieważ w społecznościach południowoazjatyckich kobiety na ogół traktuje się jak istoty niższego rzędu, nad którymi pełną władzę sprawują najpierw ojcowie, a potem mężowie, uważał swoje zachowanie za całkiem normalne. Kiedy napisałam to zdanie, przypomniałam sobie reakcję ojca Sanah na wiadomość, że jedna z jego córek została zgwałcona przez męża: to nie gwałt, to mężowskie prawo.

Położyłam nacisk na izolację, którą Maya - i inne kobiety w jej położeniu - przyjmują jako coś naturalnego, i wyjaśniłam, jak trudno im zdobyć dostęp do jakichkolwiek zewnętrznych źródeł pomocy, a nawet wiedzieć o ich istnieniu. Nauczono je milczeć, wmawiając, że w przeciwnym razie ściągną hańbę na siebie i swoje rodziny.

W najlepszym wypadku - co niestety nie odnosiło się do sytuacji Mai - po ślubie oczekiwano od kobiety, że dołoży starań, by małżeństwo było w miarę udane, a nie będzie się skarżyć bliskim, że jest nieszczęśliwa. Dlatego przez tyle lat milczała. Dodałam, iż istotne jest, że bała się ujawnienia komuś spoza rodziny przemocy domowej, przekonana, iż to doprowadzi do całkowitego zerwania stosunków z własną rodziną. Świadczyły o tym chociażby moje rozmowy z Kiren i Shabaną. Trudno zrozumieć, jak rozpaczliwie te kobiety pragną zachować jakąkolwiek więź z bliskimi. W zakończeniu napisałam: Złożoność kultury, opartej na honorze, w której dorastała, oznacza również, że rodzina Mai była w zмовie z oskarżonym, panem Paramem Gupta, Maya nie mogła więc liczyć na wsparcie bliskich, jak można by się tego spodziewać.

\*

W wypadku Mai okazało się to prawdą. Kiedy Param się dowiedział, że była żona nie tylko chce mu odebrać prawo opieki nad dziećmi, ale i oskarżyć o gwałt, natychmiast zwrócił się do jej rodziców o wsparcie. Ponieważ ich próby przekonania Mai, by odstąpiła od zamiaru oskarżenia męża, okazały się nieskuteczne, postanowili zrobić to, co mogli - w swoim mniemaniu - by ratować sytuację i zachować twarz, czyli wydać ją za mąż za kogoś innego.

- Znaleźli mężczyznę, którego uważają za odpowiedniego kandydata. Jak myślisz, Jasvinder, czy powinnam to rozważyć? - zapytała mnie, kiedy się o tym dowiedziała. Musiałam policzyć do dziesięciu, nim powiedziałam, że byłoby to szaleństwem z jej strony. Rozumiem

jednak stojący na głowie świat, w którym żyje. Ojciec, troszcząc się wyłącznie o swój honor, mówi jej, że wtedy nie będzie taka samotna, a poza tym jeśli ponownie wyjdzie za mąż, będzie miała większe szanse na odzyskanie opieki nad dziećmi.

A ona skłonna jest w to uwierzyć.

Mimo to jest ostrożna; nie zapomniała, jak ją traktował w przeszłości, więc pyta go o to i co słyszy? „O co ci chodzi? Nie wiem, o czym mówisz; zawsze miałem na względzie wyłącznie twoje dobro”.

W to też skłonna jest uwierzyć.

- Wciąż ma nade mną władzę, Jasvinder. Nie wiem dlaczego.

- Bo jest twoim ojcem, Mayu. Przynajmniej formalnie. Chcesz, żeby zachowywał się jak twój ojciec, żeby cię kochał, troszczył się o ciebie, chronił cię. Ale sądząc po tym, co się wydarzyło kiedyś, tak nie będzie. Musisz przestać się łudzić, Mayu, bo inaczej wciąż będziesz cierpieła. Spójrz na to tak: gdyby w twoim domu wybuchł pożar, uciekałabyś jak najdalej od płomieni, a nie pobiegnęłabyś w ich stronę, prawda?

Przez kilka miesięcy prowadziłam taki dialog z Mayą - albo bardzo podobny. Czasami niepokoiłam się o jej przyszłość, ale zwykle kobiety, które spotykam, znajdują w sobie dość odwagi, by zerwać z przeszłością. W pewien sobotni rano Maya zadzwoniła, by mi powiedzieć, iż przeprowadza się do Birmingham, żeby być bliżej matki, która - nagle i z własnej woli - zmieniła zdanie i sama zaproponowała, że powie policji o tym, jak Param znęcał się nad jej córką.

- Wiesz, że oskarżony jest o sześć napaści o charakterze seksualnym.

Czekam na wiadomość, czy przyzna się do winy, czy nie. Nie wiem, co zawiera oświadczenie mojej mamy, ale mam nadzieję, że się przyda. - Maya była zdystansowana jak zawsze, niemal nieufna. - Mówi również, że zaświadczy o mojej dobrej sytuacji finansowej. Może to okaże się pomocne w sprawie przekazania mi opieki nad dziećmi.

Zdarzają się takie niezwykle, cudowne przemiany w ludziach. Kilka miesięcy po tym, jak poznałam Imrana, opowiedział swoją historię w telewizji państwowej; brał udział w dyskusji poświęconej wymuszonym małżeństwom, w programie Jeremy'ego Kyle'a. Następnego ranka jego mama zadzwoniła do naszego biura. Skontaktowała się z synem pierwszy raz od siedmiu lat. Wszyscy wstrzymaliśmy oddechy, kiedy odebrał telefon, a ona powiedziała mu:

- Synu, widziałam cię w programie telewizyjnym i byłam z ciebie dumna. Wyrzuciłam ci krzywdę i teraz proszę o wybaczenie.

Nie wiem, czy te dwie matki przez lata toczyły wewnętrzną walkę, nim zdobyły się na odwagę, by odrzucić kulturę, która je niewoliła, kazała im okrutnie traktować własne dzieci, czy też ich gest był przejawem nieposłuszeństwa, odosobnionym aktem odwagi cywilnej. Nie zamierzam tracić czasu na tego typu rozważania; liczy się, że udzieliły swoim dzieciom wsparcia.

- Nigdy nie zaufam mamie, ale w jakimś stopniu uświadomiła sobie, przez co przeszłam. Też się dowiedziałam czegoś o jej życiu

- powiedziała mi Maya. - Również doznała przemocy ze strony taty. Właśnie odkryłam, iż oprócz niej ma jeszcze trzy żony. Teraz rozumiem, jak trudne musiało być jej położenie, i może trochę się

zblizymy do siebie. Tak czy inaczej, jak mi często powtarzałaś, najlepiej zapomnieć o przeszłości i dalej żyć. Kiedy stosunki między nami się poprawią, będę bardzo zadowolona z pomocy, jakiej zechce mi udzielić w codziennych sprawach.

Okazało się, że jej pomoc nie ograniczyła się do tego: mama Mai zainspirowała swoją nieśmiałą córkę. Pięćdziesięciokilkuletnia kobieta skończyła kurs dla przedszkolank i robi teraz to, co kocha.

- Jest osobą niezależną, Jasvinder. Chcę być taka jak ona. Postanowiłam studiować na uniwersytecie.

Żałuję, że Maya nie widziała uśmiechu zadowolenia na mojej twarzy. Poczułam ulgę, a potem wpadłam na pomysł, który pomoże Karmie Nirvanie i pozwoli nam mieć oko na Mayę, kiedy będzie od nowa budować swoje życie.

- Potrzebujemy więcej wolontariuszek. Może uwzględniłabyś to w swoich planach na przyszłość? Mogłabyś nam poświęcić dwa dni w tygodniu?

\*

Kiedy poznałam Mayę, jedna rzecz mnie uderzyła. Potem często o tym myślałam. Tyle lat cierpiała w samotności. Z materiałów, które zebrałam do pracy doktorskiej, wynika, że punktem zwrotnym - decydującym momentem, kiedy kobiety przestają być ofiarami, zaczynają się bronić i wierzyć w przyszłość - jest spotkanie kogoś, kto rozumie, co przeszły, bo doświadczył czegoś bardzo podobnego. Dla Mai i Surjit ja byłam tą osobą. Ale podczas gdy Maya, mająca za sobą prawie dwadzieścia lat życia pełnego przemocy i izolacji,



potrzebowała znacznego wsparcia, by się otrząsnąć, byłam zdumiona, jak szybko Surjit przemieniła się wprawdzie z pomysłowej, ale przerażonej dziewczyny w kobietę niezależną i pełną optymizmu. Jakiś czas po ucieczce z domu zdobyła się na odwagę i zadzwoniła do matki. Usłyszała: „W naszych oczach nie żyjesz, nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego”. Prawdę mówiąc, rodzina przeprowadziła się do innego miasta, by uciec przed hańbą, i w nowym miejscu zamieszkania powiedzieli wszystkim, że córka nie żyje.

Jednak Surjit stopniowo odkrywa, że potrafi odzyskać nadzieję i siłę. Postanowiła rozwieść się z mężem. Poszukała adwokata w rodzinnym mieście, by nikt nie wyśledził jej nowego adresu, opowiedziała mu o wymuszonym małżeństwie, gwałtach i znęcaniu się psychicznym, o chorobie umysłowej i poronieniach, o wszystkim. Sprawa była tak bulwersująca, że jej mąż nie mógł niczego zakwestionować, Surjit nawet udało się odzyskać posag w wysokości pięciu tysięcy funtów. Kilka lat temu poznała mężczyznę swoich marzeń, kogoś, kto darzy ją bezwarunkową miłością i ją wspiera. Miała ślub, o jakim mogła tylko śnić, z udziałem trzystu gości. Przyznała mi się, że z boku zarezerwowała stół dla swojej rodziny, mając nadzieję, że pojawi się chociaż jedna osoba. Nawet wtedy, po tym wszystkim, co przeszła, wciąż miała nadzieję. Nikt nie przybył.

- Rodzina, która wyparła się mnie trzynaście lat temu - powiedziała  
- nie zasługuje już na moje łzy. Moją rodziną są teraz przyjaciele.

205

Ciężko pracowała, by osiągnąć to, co teraz ma. Mimo wcześniej-

szych braków w wykształceniu zrobiła dwa dyplomy, prowadzi interesy i jeździ po świecie. Skacze ze spadochronem, chodzi po lodowcach, nawet jeździ na festiwale rockowe. Nadal dręczą ją koszmary senne, musi brać środki uspokajające i tabletki na sen. Nie utrzymuje kontaktów z rodziną, ale bardzo chciałaby kiedyś sama zostać mamą.

28

Prawie rok po pierwszej rozmowie z Fatimą zostałam wezwana jako znawca kultury na przesłuchanie w sądzie dotyczące opieki nad jej dziećmi. Już otrzymała wyrok. Nie mogłam być obecna na procesie, ale jej adwokat powiedział, że wszyscy trzej bracia Fatimy siedzieli na sali. Kiedy Fatima zajęła miejsce dla świadka, oświadczyła, że działała sama i z własnej inicjatywy. Uznano ją za winną podpaleń oraz złożenia fałszywych zeznań na policji i skazano na dwa lata pozbawienia wolności.

W pociągu w drodze do Liverpoolu przejrzałam raport, który napisałam po pierwszej rozmowie z nią i Rafikiem. Był obszerny, ale przesłałam od razu do wniosków.

Fatima oświadczyła, że chce zerwać kontakty ze swoją rodziną...

Rozumie, że zarówno jej, jak i jej mężowi oraz dzieciom grozi niebezpieczeństwo ze strony bliskich...

Uważam, że to niebezpieczeństwo jeszcze wzrosło, gdy Fatima postanowiła przerwać milczenie...

Nie jestem pewna, czy Fatima bądź Rafik zdobędą się na zerwanie z krewnymi, chociaż rozumieją, że im i dzieciom grozi niebezpieczeństwo z ich strony.

Napisałam również, że moim zdaniem obydwójce potrzebują wsparcia emocjonalnego, szczególnie Fatima, która przez całe życie była ofiarą przemocy psychicznej. Dorastała w przekonaniu, że bracia mają prawo ją kontrolować, i tak się ich bała, iż pozwoliła, by zmusili

207

ją do popełnienia przestępstwa. Zaproponowałam, żeby po wyjściu z więzienia otrzymała pomoc, by się uwolnić od emocjonalnego zniewolenia. Tylko wtedy będzie miała szansę wieść bezpieczne, niezależne życie.

Miałam się z nią spotkać przed przesłuchaniem w celi w gmachu sądu. Zeszłam za strażniczką więzienną po stromych, kamiennych stopniach i ogarnęła mnie klaustrofobia, kiedy się zatrzasnęły żelazne drzwi, prowadzące do świata zewnętrznego; znalazłam się w wąskim, pomalowanym na beżowo korytarzu z ciężkimi drzwiami po obu końcach. Miałam wrażenie, że temperatura spadła przynajmniej o pięć stopni, więc ściślej owinęłam się marynarką. Strażniczka odszukała w dużym pęku kluczy ten potrzebny, otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

Fatima miała wtedy za sobą trzy miesiące pobytu w więzieniu i oczekiwałam, że zobaczę jeszcze bledszą, jeszcze bardziej wymizowaną kobietę niż poprzednio. Spodziewałam się, że jej wygląd będzie odzwierciedleniem tego, iż rozdzielono ją z dziećmi i zamknięto, ale - ku mojemu zdumieniu - wyglądała kwitnąco. W innych okolicznościach pomyślałabym, że wróciła z wakacji. Twarz miała pełniejszą, oczy jej błyszczały. Miała na sobie dres i widziałam, że nie jest już

taka wychudzona. Kiedy weszłam do pomieszczenia, uśmiechnęła się niemal od ucha do ucha.

- Jestem zupełnie zdrowa, Jasvinder - powiedziała, widząc moją zaskoczoną minę. - W więzieniu jest super. - Wskazała mi miejsce po jednej stronie wąskiego stolika, przedzielającego salkę (kiedy próbowałam odsunąć krzesło, z osłupieniem stwierdziłam, że jest przymocowane do podłogi), a sama usiadła naprzeciwko mnie. Zniknęła jej nerwowość. Zachowywała się, jakbym była jej przyjaciółką, i wpadła na herbatę.

Nieczęsto odejmuje mi mowę, ale wtedy zabrakło mi słów. Spytałam niepewnie:

- Super? Naprawdę?

Pochyliła się nad stołem, oczy jej błyszczały, kiedy mówiła, odginając kolejne palce:

- Chodzę na siłownię i do biblioteki... Po raz pierwszy w życiu mogę czytać to, na co mam ochotę. Oglądam „EastEnders” -wcześniej nigdy  
208

mi na to nie pozwalano. Nie czuję się obserwowana przez cały czas przez rodzinę. Mogę się przyjaźnić, z kim chcę. Mam towarzystwo. Nie jestem traktowana jak niewolnica... Więzienie jest dla mnie jak wolność. Rozumiesz to?

Poczułam, że tracę inicjatywę w tej rozmowie.

- Tak, ale... Nie tęsknisz za dziećmi?

- Pewnie, że tęsknię, ale pobyt tutaj mnie wzmocnił. Po raz pierwszy w życiu jestem sobą, mam kontrolę nad tym, co robię.

Sama mi powiedziałaś, że to powinno być moim celem. Kiedy wyjdę z więzienia, zyskają lepszą matkę. Adwokat mówi, że jeśli będę się dobrze sprawować, prawdopodobnie zwolnią mnie pod koniec przyszłej wiosny.

Urwała i zrobiła ponurą minę.

- Żałuję, że skazano mnie tylko na dwa lata. Chętnie posiedziałabym dłużej.

Bardzo się zmieniła, może wreszcie stała się rozsądniejsza. Powiedziałaam:

- Fatimo, teraz, kiedy jesteś silniejsza, nie wątpię, że inaczej wszystko widzisz. Słyszałam, że na procesie wzięłaś na siebie całą winę, ale teraz możemy to zmienić. Nie uważasz, że pora, by powiedzieć wszystkim, jaką rolę w tym, co się wydarzyło, odegrali twoi bracia?

Jej pewność siebie natychmiast zniknęła. Fatima odsunęła się ode mnie, zaczęła szarpać koniec chusty, jakby chciała ją wykorzystać jako tarczę między nami.

- Nie mogę tego zrobić, Jasvinder. - Zniżyła głos do szeptu.

- Zabiliby moje dzieci, gdybym to zrobiła. A martwię się o nie.

Chciałam o tym z tobą porozmawiać. - Zmieniła temat, dając mi do zrozumienia, że dyskusję o braciach uważa za zakończoną.

- Odwiedził mnie Rafik. Boi się, że opiekunowie naszych dzieci palą... Tylu białych pali, że to wielce prawdopodobne. Uważa, że dzieci nie poznają Koranu i że w rodzinie zastępczej panują bardzo liberalne obyczaje.

- Słyszałam, że dzieci są szczęśliwe i dobrze się czują, Fatimo.

Nie powiedziano ci tego?

- Może są szczęśliwe i dobrze się czują, ale to nie znaczy, że są właściwie wychowywane.

209

- Masz rację. - Spojrzałam na zegarek. Czas mojego widzenia prawie dobiegł końca. Już wiedziałam, co powiem w sądzie, ale zostało jeszcze jedno pytanie, które nie dawało mi spokoju.

- Fatimo, dlaczego twoim braciom tak zależało na odszukaniu Jamilah? Ich zdaniem zhańbiła rodzinę?

Fatima pokręciła głową.

- Panuje dość powszechne przekonanie, że kobieta, która chce być niezależna, nie może być porządną kobietą. Według mnie bracia chcieli dać nauczkę Jamilah, by na jej przykładzie pokazać swoim żonom, że Azjatki nie mogą naśladować zachowania kobiet z Zachodu.

- A wiesz, co by jej zrobili, gdybyś ją znalazła?

Znów się skuliła, zobaczywszy ów obraz w wyobraźni. Gwałtownie pokręciła głową, jakby chciała się pozbyć przerażającej wizji.

- Wolałabym nie wypowiadać się na ten temat, nie mam stuprocentowej pewności. Nie wiem, dlaczego Pasztunowie przywiązują taką wielką wagę do tego, co myślą inni. Często to prowadzi do tragedii.

\*

W sali sądu na górze słuchałam, jak pracownik opieki społecznej mówi, że dzieci doskonale się rozwijają pod opieką rodziców zastępczych, chociaż ich biologiczni rodzice często zgłaszają zastrzeżenia,

uważając, że pobyt w rodzinie białych jest dla nich nieodpowiedni. Też wyraziłam swoją opinię: boję się, iż dzieciom Fatimy może grozić niebezpieczeństwo ze strony jej braci, jeśli wrócą do niej albo do Rafika. Opuściłam gmach sądu z ciężkim sercem, zastanawiając się nad losem tej biednej rodziny.

Nazajutrz dowiedziałam się, że nie podjęto żadnej decyzji, i byłam ciekawa, jak przyjęła to Fatima. Czy poinformowano ją o tym, kiedy przebywała w siłowni, w bibliotece, czy w celi? Rozmyślałam nad Rafikiem, chodzącym codziennie samotnie ulicami ze świadomością, że właściwie stracił rodzinę - jedyne, co go wiązało z tym krajem. Wróciłam pamięcią do czasów, kiedy moje dzieci były takie malutkie, że tylko ja decydowałam o ich życiu. Ciekawa byłam, jak by sobie poradziły, gdyby mi je odebrano i przekazano pod opiekę obcych ludzi, żyjących zupełnie inaczej.

210

Dwa tygodnie później - ponieważ wciąż nie zapadła decyzja - spytano mnie, czy jako znawczyni kultury mieszkańców Azji Południowej zechciałabym się spotkać z rodzicami zastępczymi, by pomóc porozumieć się im z Fatimą i Rafikiem. Zgodziłam się. Mam nadzieję, że coś takiego jest możliwe.

29

Regularnie kontaktowałam się z Shabaną, kiedy wyprowadziła się z domu. Zamieszkała w schronisku, poznała Yasmin i się z nią zaprzyjaźniła, czego byłam pewna. Widać było, że przejęła kontrolę nad swoim życiem i za każdym razem gdy z nią rozmawiam, sprawia

wrażenie silniejszej. Kiedy przestała jej zagrazać rodzina, zgodziła się, by policja złożyła im wizytę, jak wcześniej proponowałam. Dwóch funkcjonariuszy udało się do domu jej ojca i poinformowało go, że Shabana jest bezpieczna, że znają miejsce jej pobytu. Dali mu jasno do zrozumienia, że dokładnie wiedzą, co przeszła podczas ostatnich miesięcy przed wyprowadzką z domu, i ostrzegli go, że jeśli cokolwiek jej się stanie, on będzie na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Nim wyszli, zabrali z jego domu nóż.

- To z pewnością nóż, którym mi groził, Jas. - Shabana była uszczęśliwiona, kiedy przekazałam jej tę nowinę. - Miałaś rację. Pomysł, żeby policja z nim porozmawiała, był doskonały. Czuję się tak, jakbym odzyskała władzę nad swoim życiem.

Mimo to wciąż się bała, jej samochód poszedł na złom.

- Czuję się bezpieczniej, kiedy wiem, że ojciec nie natrafi na mój ślad po numerach rejestracyjnych.

Nieustannie walczyła o coś, co uważała za właściwą ochronę ze strony policji. Chociaż policja zgodziła się objąć ją programem ochrony świadków, ona zdecydowanie odmówiła zerwania kontaktów ze mną czy z Sheeną, która ją wspierała, gdy Shabana siedziała zamknięta w domu. Jej odmowa doprowadziła do sytuacji patowej, utwierdzając mnie w przekonaniu, że musimy znaleźć właściwe rozwiązanie tego

212

problemu. Postanowiłam wygospodarować trochę czasu i odwiedzić ją w Norwich; byłam też ciekawa, co nowego u Yasmin, która, o czym wiedziałam, wciąż się bała o swoje bezpieczeństwo.



Postanowiłam pojechać wieczornym pociągiem w następny piątek. Poprosiłam Shazię, żeby mi towarzyszyła, ponieważ wszystkie trzy są w zbliżonym wieku i pomyślałam, że dobrze się będą czuć w swoim towarzystwie. Poza tym jestem pewna, że Yasmin nie zostanie w Norwich na zawsze i będzie potrzebowała jak najwięcej przyjaciółek spoza tego miasta. Tamtego dnia w drodze do pracy kupiłam dwa tal - okrągłe pojemniczki z nierdzewnej stali, zawierające w osobnych naczynkach wszystkie podstawowe hinduskie przyprawy. Chciałam je podarować Shabanie i Yasmin, by w ten sposób zachęcić je do gotowania. Pragnęłam im przypomnieć, że chociaż uciekły z domu, są takie rzeczy w ich kulturze, z których nie muszą rezygnować.

Tamtego wieczoru, kiedy razem z Shazią szliśmy z biura na stację, minęłyśmy młodą muzułmankę. Chociaż chusta zasłaniała jej połowę twarzy, wszędzie bym ją rozpoznała, jest wysoka i chuda. Rok temu Benazir zwróciła się do nas o poradę. Bała się, że grozi jej wymuszone małżeństwo. Jej opowieść była typowa: dwie starsze siostry już wydano za mąż za nieznajomych im mężczyzn podczas rodzinnych „wakacji” w Pakistanie; teraz zobaczyła w domu bilety lotnicze, mama pakowała walizki, wszystko wskazywało, że przyszła kolej Benazir. Zapamiętałam ją, bo była lepiej wykształcona niż większość kobiet, które do nas przychodzą; w wieku dziewiętnastu lat zdała egzaminy końcowe w szkole średniej, rozpoczęła studia. Chyba wybrała chemię. Spędziłam z nią kilka godzin. Przedstawiłam jej wszystkie ewentualności, obiecałam, że ją wesprę; zdaje się, że doszliśmy do etapu szukania dla niej miejsca w schronisku. Potem jednak się rozmyśliła.

Siedziała w biurze i łzy płynęły jej po twarzy, kiedy mówiła:

- Przykro mi, Jasvinder, ale nie mogę zamieszkać w schronisku.

Nie jestem taka odważna jak ty. Nie przeżyłabym, gdyby rodzina się mnie wyrzekła. Wolę poślubić nieznanego mężczyznę, niż ich wszystkich zawieść.

Czasami tak bywa, i zawsze przepelnia mnie to ogromnym smutkiem. Już wtedy, kiedy Benazir po raz ostatni wyszła z naszego biura, mogłam dokładnie powiedzieć, jak będzie wyglądała dwanaście miesięcy później. I nic a nic się nie pomyliłam: szła ze wzrokiem wbitym w ziemię, popychając wózek, głucha na zawodzenie dziecka.

- Benazir! - zawołałam, kiedy zrównała się z nami. Wiem, że mnie usłyszała, bo zwróciła twarz w moją stronę: kamienną, z zaciśniętymi ustami, z zapadniętymi, podkrążonymi oczami. Myślałam, że się zatrzyma, żeby z nami porozmawiać, ale poszła dalej, szanowana kobieta, mężatka, mogąca chodzić z podniesioną głową wśród członków społeczności, do której należała.

Nie rozmawialiśmy później z Shazią o Benazir: nie pierwszy raz zetknęliśmy się z czymś takim, nie było o czym mówić. Mimo to cieszyłam się, że byłam z Shazią, kiedy stałyśmy w kolejce po bilety, kupiliśmy kawę, znalazłyśmy w pociągu dwa miejsca obok siebie. Wiem, że myślała o Benazir, jak ja. I wiem również, że jej obecność, kwitnącej, szczęśliwej, niezależnej kobiety, była dla mnie dowodem, że to, co robię, jest potrzebne.

\*

Odczuwałam zmęczenie tamtego wieczoru, wyruszając w długą podróż pod koniec pracowitego tygodnia, ale czas szybko zleciał. Spędzam teraz tyle godzin w podróży, że nauczyłam się maksymalnie wykorzystywać ten czas. Zwykle sprawdzam, jak przedstawiają się sprawy naszych klientek. Tamtego wieczoru chciałam porozmawiać z Kiren. Wcześniej przysłała mi SMS-a, w którym napisała: „Moje życie jest gówniane”.

Bardzo jej współczułam. Przez wiele miesięcy po ucieczce z domu walczyła, żeby zapanować nad złością, którą czuła do rodziny, i czasami dawała upust swoim emocjom, wyładowując się na ludziach, którzy byli akurat najbliżej i chcieli jej pomóc. Emocje czasami nie pozwalały jej właściwie oceniać sytuacji i wprowadzały chaos w jej życie: przeprowadziła się do Leicester, wstąpiła do college'u, zrezygnowała z nauki, przeniosła się do Gloucester, znalazła sobie pracę, rzuciła ją, wróciła do Leicester. Nigdy się nie poddała. Kiren jest odważna i podziwiam ją za to. Trudno jej było odnaleźć się w nowej sytuacji, ale się starała: w dni powszednie pracowała w dużym sklepie, a w weekendy na dwie zmiany w biurze korporacji taksówkarzy. To było zajęcie poniżej jej kwalifikacji, o czym wiedziała, lecz zdawała sobie również sprawę, że musi zarabiać i godzić się na to, co jej proponują, póki nie zdobędzie wykształcenia. Dlatego znów zapisała się na uczelnię, tym razem na studia wieczorowe.

Kiren może dokonać wielkich rzeczy w swoim życiu, ale jest jej bardzo trudno, jak wszystkim dziewczynom, pozbawionym jakiegokolwiek pomocy ze strony rodziny. Chciałabym móc spędzać z nią więcej

czasu. Gdybym mogła jej dać tyle, co dałam Shazi, wiem, że by sobie poradziła, ale poznałam Shazię wiele lat temu, kiedy wydawało się, że na wszystko mam czas. Zadzwoiłam do Kiren, a kiedy nie odebrała, wysłałam jej SMS-a:

Zajrzesz do KN? Dawno nie rozmawialiśmy. Musimy się spotkać tylko we dwie.

Było po siódmej, kiedy dotarliśmy do Norwich, ale Yasmin czekała na nas na dworcu. Właśnie zdała egzamin na prawo jazdy i kupiła samochód.

- Teraz jestem naprawdę niezależna. Nic mnie nie powstrzyma - powiedziała, gdy wsiadałyśmy do auta. Rozpierała ją duma, ale kiedy jechałyśmy po Shabanę do schroniska, uśmiech zniknął z jej twarzy:

- Jas, odnoszę wrażenie, że rodzina znów mnie szuka.

Zatrzymała się na czerwonym świetle i odwróciła w moją stronę, w oczach miała niepokój.

- Pamiętasz moją przyjaciółkę Lesley? Pozwoliła mi zamieszkać u siebie. Wczoraj jakiś mężczyzna zadzwonił na jej komórkę. Prosił, by mu powiedziała, gdzie jest Nabeela. Nabeela to ja, Jas. Kiedyś używałam tego imienia. Teraz nikt tak na mnie nie mówi. Gdy Lesley spytała go, jak się nazywa, nic nie powiedział, tylko się rozłączył.

- Jesteś pewna, że to nie była pomyłka?

- Nie. Na początku zapytał, czy dodzwonił się do Lesley.

- Zgłosiłaś to na policję?

- Tak. Powiedzieli: „Nie denerwuj się, nie ma powodu do nie-

pokoju". - Westchnęła. - Chyba mają rację, ale nie mogę przestać

myśleć, kto to był, i jak się dowiedział o mnie i Lesley. Jednak...

- Pokręciła lekko głową. - Teraz nic nie możemy z tym zrobić, więc porozmawiajmy o czymś weselszym. Tak jak mi radziłaś, poprosiłam o zakwalifikowanie mnie do programu Operation Black Vote.

To rzeczywiście była dobra wiadomość. Dziesięć lat temu wzięłam udział w tym przedsięwzięciu, którego celem jest zachęcanie czarnoskórych i członków mniejszości etnicznych do udziału w życiu publicznym; przyglądałam się z bliska pracy Jima Cunninghama, laburzystowskiego posła z Coventry South. Od tamtej pory projekt rozszerzono, obejmując nim również sędziów pokoju i radnych. Wiedziałam, że Yasmin dużo skorzysta; mnie dało to bardzo wiele.

Nim skończyłyśmy jej gratulować, dotarliśmy do schroniska.

Podczas tych miesięcy, które upłynęły od dnia, kiedy miałam okazję przelotnie widzieć Shabanę, utrwaliłam sobie w głowie jej obraz jako spiętej, drobnej osóбки o zgarbionych ramionach i z pochyloną głową. Shabana, którą znam z rozmów telefonicznych i e-maili, jest zawsze wystraszona, czasami wystraszona i zła na cały świat. I muszę szczerze przyznać, że spodziewałam się ujrzeć kogoś takiego.

Kobieta, która wybiegła w podskokach nam na spotkanie, wcale nie przypominała tej, jaką spodziewałam się ujrzeć. Była drobnutka, jak dawniej, ale wcale nie wyglądała na zastraszoną ani nieszczęśliwą; uśmiechała się od ucha do ucha. Miała na sobie ubranie jak z igły, zgodne z najnowszą modą, buty i torebkę dopasowane do sukienki.

- Wszystko w porządku, mam? - zapytała, kiedy wysiadłam z samochodu, żeby ją powitać. Wiedziałam, że będę musiała zupełnie zmienić swoje wyobrażenia o Shabanie. Ta kobieta była energiczna, pełna życia. Gdy stałyśmy, spoglądając na twarze należące do tak dobrze nam znanych głosów, uświadomiłam sobie, co najbardziej odmieniło jej wygląd.

- Co się stało z twoimi włosami? - Wyciągnęłam rękę, by dotknąć zwiewnej fryzury, która zastąpiła kiedyś mocno kręconą czuprynę. Wzruszyła ramionami.

-I tak mi wypadają. Lekarz powiedział, że z powodu stresu - dodała. Usiadła z tyłu, obok Shazi.

Yasmin zawiozła nas do swojej ulubionej tureckiej restauracji.

- Zabrała mnie tam, kiedy się poznałyśmy - powiedziała Shabana.

- Jedzenie jest bardzo dobre, ale ostrzegam: nie zamawiajcie za dużo na przystawkę, bo nie zdołacie skończyć posiłku.

Tamtego wieczoru wprost rozpierała ją energia. Przez dwa lata potrzebowała jej, by panować nad strachem i usypiać czujność rodziców, kiedy planowała ucieczkę; teraz wyglądało to tak, jakby ktoś otworzył butelkę szampana. Miała kontrolę nad swoim życiem, rozkoszowała się wolnością, chociaż szczerze przyznawała, że jej nowe życie ma również minusy.

- Uczę się, jak to jest być biedną. Mam oszczędności, ale wciąż się denerwuję, że jeśli skorzystam z bankomatu, tata mnie odnajdzie. Staram się wydawać jak najmniej, uczę się improwizować. - Spójrz.

- Dotknęła wielkiej brylantowej broszki w klapie. - Kupiłam to w Ox-

fam za siedemdziesiąt pięć pensów, a to... - Wzięła z siedzenia dużą torbę ze słomki. - Za półtora funta. Może jestem biedna, ale umiem robić zakupy!

Mogła sobie z tego żartować, bo miała nadzieję, że krótko będzie cierpiała niedostatek. Chociaż wciąż się martwi o swoje bezpieczeństwo, Shabana - jak się szybko przekonałam - jest osobą zbyt dynamiczną, by nie żyć pełnią życia. Podczas pierwszego tygodnia pobytu w Norwich złożyła podanie o pracę w biurze podróży w Yorku. Miała już za sobą rozmowę kwalifikacyjną i była pewna, że ją zatrudnią, w przyszłym tygodniu zamierzała poszukać mieszkania w Yorku.

- Wspaniale, prawda? - Yasmin uniosła kieliszek, by wznieść toast za Shabanę. - Ale nie pozwolę jej tak łatwo uciec; będzie musiała spędzić Boże Narodzenie ze mną. - Yasmin jest zbyt szlachetna, by postępować egoistycznie, ale coś w tonie jej głosu zdradziło mi, jak ważna stała się dla niej przyjaźń Shabany, jak bardzo będzie jej tego brakować.

Mimo przestrogi Shabany tamtego wieczoru tak się objadłyśmy, że musiałyśmy się trochę przejść, nim udało nam się dokończyć posiłek. Śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy, rozmawiałyśmy i śmiałyśmy się, aż do łez. Czułyśmy się bardzo mocno ze sobą związane; nie pamiętam, kiedy ostatni raz było mi tak dobrze. Wspomnienia tamtego wieczoru nadal radują moje serce.

Wszystkie cztery spędziłyśmy noc w mieszkaniu Yasmin, pełnym kanap obitych ciemną skórą i artystycznie poukładanych kamieni, a rano przygotowałam dla nas obfite śniadanie - jajecznicę z grzyba-

mi i grzanki. Kiedy krzątałam się w kuchni, dziewczyny plotkowały,  
117

chichotały i wylegiwały się przed telewizorem. Naprawdę mogliśmy sprawiać wrażenie, że jesteśmy rodziną. Wzruszyłam się, gdy po kolei mówiły: „Dziękuję, mamó”, biorąc talerze.

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam i nie wiem, czy to był świadomy wybór, ale odkąd uciekłam z domu, moje przyjaciółki i kobiety, którym zaufałam, są w większości białej rasy. Może czułam się bezpieczniej z dala od kogokolwiek, kto mógłby należeć do azjatyckiej siatki; może czułam, że wśród ludzi białych, nie zawsze rozumiejących reguły i ograniczenia właściwe dla zżytych społeczności, w jakich dorastałam, nie będę osądzana. Tak czy owak, moje przyjaciółki miały zupełnie inne doświadczenia życiowe ode mnie. Myślę, że dlatego ten wyjazd do Norwich był wyjątkowy. Panująca między nami atmosfera okazała się dla mnie czymś nowym. Wszystkie czułyśmy jakąś więź ze sobą, nie zachodziła potrzeba tłumaczenia czegokolwiek: wszystkie dużo wycierpiałymy przez naszych bliskich, ale się nie poddałyśmy.

30

Kiedy Kiren wreszcie odpisała na mojego SMS-a, poinformowała, że nie chce się ze mną spotkać w siedzibie Karmy Nirvany, więc umówiłyśmy się w pubie. Przyszła prosto z centrum obsługi telefonicznej, gdzie pracuje. Była blada, jak to bywa, kiedy się spędza zbyt dużo czasu w zamkniętym pomieszczeniu. Kiedy tylko weszła, wiedziałam, że coś się stało, bo była spięta, unikała mojego wzroku.



Kupiłam dla nas po małym piwie i gdy usiadłyśmy, przez chwilę starała się rozmawiać. Prawiła mi uprzejmości, ale wiedziałam, że jedynie nie chce dopuścić do niezręcznego milczenia, zbierając się na odwagę, by powiedzieć mi to, co jej naprawdę leży na sercu.

Nie musiałam długo czekać.

- Wracam do domu, Jas. Od dawna o tym myślałam i nabrałam pewności, że właśnie tego chcę.

- Co takiego? - Nie mogłam uwierzyć. Gdyby w barze nie było akurat cicho jak w grobie, pomyślałabym, że się przesłyszałam. Czułam zdumienie, rozczarowanie, niepokój, przede wszystkim niepokój, kiedy powiedziałam: - Dlaczego, Kiren? Tak daleko zaszłaś, prawie osiągnęłaś cel. Wiem, że w tej chwili nie wszystko jest idealnie, masz taką sobie pracę, chciałabyś więcej zarabiać, ale uwierz mi, tak się stanie. Nie poddawaj się teraz.

- Naprawdę to przemyślałam, Jas, i podjęłam decyzję. Tęsknię za rodziną. Nie chodzi tylko o bezpieczeństwo finansowe, chociaż to też odgrywa rolę. Chodzi o wsparcie, poczucie przynależności. Jestem zmęczona swoją samotnością. Czuję się, jakbym była nikim. I naprawdę brakuje mi morza. Nie jest mi tutaj dobrze, nie mam tu korzeni. Któregoś dnia wsiadłam do pociągu i spędziłam popołudnie, spacerując ulicami w pobliżu miejsca mojego dawnego zamieszkania, gdzie chodziłam na zakupy z mamą. I wiesz co, Jas, byłam taka szczęśliwa... Jakbym znów znalazła się w swoim pokoju. Tam jest moje miejsce.

- Ale czy nie boisz się o swoje bezpieczeństwo? Co zrobi mama?

Myślałam, że się ciebie wyrzekła.

- Nie wrócę do mamy. Zresztą i tak jest w Pakistanie. Rozmawiałam z wujkiem, tym, który mieszka najbliżej nas. Powiedział, że mogę się zatrzymać u niego.

- Kiren. - Staralam się zachować spokojny i rzeczowy ton. - Naprawdę dobrze to przemyślałaś? Nie kontaktowałaś się ze swoją rodziną... - Szybko policzyłam w pamięci. - Od co najmniej osiemnastu miesięcy. Przez cały ten czas żyłaś jak kobiety Zachodu: chodziłaś do klubów, spotykałaś się z chłopakami, ubierałaś się tak, jak lubisz. Pomyślałaś, jak to będzie, kiedy znów staniesz się posłuszną muzułmanką?

- Wujek mówi, że wcale tak nie będzie. Twierdzi, że mogę prowadzić takie życie, jak chcę... No wiesz, nie muszę wyjść za mąż, mogę iść do college'u i tak dalej. Ale cokolwiek zrobię, rodzina będzie mi służyła radą, tak, jak to powinno być. To jego słowa. Zaufaj mi, Jas, wszystko będzie dobrze.

- Mam ci zaufać? Naturalnie, że ci ufam. Ale czy ty możesz zaufać jemu? Czy to nie wujek zaprosił cię do siebie, a potem powiadomił twoich rodziców, kiedy uciekłaś z domu pierwszy raz?

- To był inny wujek. - Wyczułam, że jest zniecierpliwiona. - Mam prawie dwadzieścia lat, Jas. Wiem, co robię.

Nie było sensu dalej się sprzeczać. Zaczęłyśmy rozmawiać o sprawach praktycznych: z jakim wyprzedzeniem ma złożyć wypowiedzenie w pracy, poinformować, że chce zrezygnować z wynajmu mieszkania, i tym podobne. Dopiero kiedy się nachyliła, żeby mnie pocałować na pożegnanie, zrozumiałam, że jej bladość nie była spowodowana

długimi godzinami pracy w centrum obsługi telefonicznej. Przestała się malować; po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich miesięcy, odkąd ją poznałam, była bez makijażu.

Patrzyłam za nią, jak idzie; szła sprężystym krokiem, jakby czuła ulgę, że ma tę rozmowę za sobą. Zostałam w pubie i zadzwoniłam do Brenta Hyatta. Pozostawał w kontakcie z Kiren, odkąd przyszedł jej z pomocą po raz pierwszy. Chciałam się z nim podzielić swoimi obawami; chciałam go zapytać, czy można coś zrobić, by się dowiedzieć, czy jest bezpieczna. Powiedział, że podziela moje obawy. Rozmawialiśmy przez jakiś czas, a kiedy się rozłączył, dalej siedziałam w pubie. Przynajmniej przez czterdzieści minut wpatrywałam się w pustą szklanę, zastanawiając się, czy można do tego nie dopuścić, co jeszcze powinnam zrobić, żeby jej pomóc.

\*

Nazajutrz rano powiedziałam o Kiren Gordonowi Richesowi.

- To mi uzmysłowiło, że miałeś rację, namawiając mnie do zajęcia się tą kwestią: muszę ustalić, jakie strategie przetrwania stosują ci, którym się udało, żeby potem mogła o nich powiedzieć takim kobietom jak Kiren. Ona bardzo się starała, ale jak widać, nie potrafi się oprzeć sile przyciągania rodzinnego domu.

W ten sposób chciałam go przygotować na to, co mu naprawdę chciałam powiedzieć: nie dam rady sprostać tempu, jakie mi narzucił.

Bałam się tej rozmowy, bo myślałam, iż usłyszę, że jeśli nie mogę sobie poradzić, to najlepiej, jeśli zapomnę o doktoracie. A nie chciałam

tego. Nigdy nie poddawałam się łatwo, poza tym lubię pracować. Mam tylko trudności ze znalezieniem czasu na to wszystko, co chciałabym zrobić. Nie wiem, ile razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy budziłam się w środku nocy, by stwierdzić, że lampka nocna wciąż się pali, a na kołdrze leży otwarta książka. Przysięgam, że urosły mi bicepsy od nieustannego targania wszędzie teczki pełnej fotokopii, na których przeczytanie miałam nadzieję wygospodarować wolną chwilę. Kiedy siadałam, żeby razem z dziećmi obejrzeć „Coronation Street”, nie odrywałam wzroku od ekranu, żeby nie widzieć stosu taśm z nagranyymi rozmowami, które czekały na spisanie.

Kłopot polegał na tym, że tyle się działo w Karmie Nirwanie, a traktowałam to jako priorytet. Pisanie doktoratu sprawiało mi przyjemność, chciałam kontynuować, ale napotykałam trudności. Na szczęście Gordon mnie rozumiał. Kazał mi ustalić realistycznie, ile czasu mogę poświęcić studiom, a potem powiedział:

221

- Jasvinder, spójrz prawdzie w oczy. To za mało. Nie możesz dopuścić, żeby praca naukowa stała się dla ciebie ciężarem ponad siły. Może odłożysz to na później.

Wyszłam z gabinetu, czując się tak, jakby jakieś brzemie zdjęto mi z ramion; po raz pierwszy od miesięcy byłam pewna, że odzyskam kontrolę nad swoim życiem.

Tamtego ranka udałam się do Karmy Nirwany, gdzie wszyscy uwijali się jak w ukropie. Shazia rozmawiała przez telefon z młodą kobietą imieniem Laila, która niedawno skontaktowała się

z nami. Jej życie przypominało piekło, odkąd starszy brat zaczął ją wykorzystywać seksualnie, gdy skończyła dziesięć lat. Obolała, zawstydzona i świadoma, że to, co się dzieje, jest czymś okropnym, chociaż nie rozumiała w pełni dlaczego, opowiedziała o tym matce. Ta natychmiast zwróciła się przeciwko niej. Oskarżyła swoją kulącą się ze strachu córkę, że sprowokowała brata, prowadząc aktywne życie seksualne; uderzyła ją w twarz, zaczęła na nią krzyczeć, nazywała zdzirą, dziwką, ladacznicą. A potem zmusiła do zachowania wszystkiego w tajemnicy, mówiąc, że jeśli ojciec się o tym dowie, zabije jej brata i potem nikt z rodziny nie będzie chciał z nimi rozmawiać. Powiedziała, że dla Laili będzie gorzej, jeśli przez nią wszyscy ich zbojkotują.

Koszmar jeszcze się spotęgował, kiedy rodzina zaręczyła nastoletnią dziewczynkę z jakimś Pakistańczykiem. Rodzice nakłonili ją do zgody na to małżeństwo biciem, często kijem baseballowym. Potem przestali ją posyłać do szkoły, trzymali w domu, pod kluczem, kiedy reszta domowników szła do pracy. Trwało to kilka lat. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, kto mógłby ją pocieszyć. Dopóki nie zobaczyła informacji o Karmie Nirvanie, nie miała pojęcia, gdzie mogłaby się zwrócić po pomoc. Od pierwszego telefonu dwa tygodnie temu rozmawia z Shazią niemal codziennie; powoli zbiera się na odwagę, by na zawsze opuścić więzienie, które nazywa domem.

Dla takich kobiet jak Laila przynajmniej istnieją gotowe rozwiązania. Kiedy dojrzeje do decyzji, znajdzie się dla niej miejsce w schronisku i specjalista, który jej pomoże. To jeszcze za mało, nadal jest zbyt

wiele przestraszonych, trzymanyh w izolacji kobiet, które nie wiedzą, gdzie szukać pomocy, ale zrobiono dobry początek i to podstawa dla

222

naszych dalszych działań. Teraz - Imran i ja jesteśmy w tej kwestii zgodni - pora stworzyć coś podobnego dla mężczyzn.

Imran pracuje u nas od ponad roku i przez ten czas nabrał sporo pewności siebie. Patrzę na niego, kiedy różnym krokiem wchodzi rano do biura w świeżo wyprasowanym garniturze, koszuli, pod krawatem, i myślę sobie: gdyby twoja mama cię teraz zobaczyła, byłaby z ciebie dumna. Nabrał śmiałości. Słyszałam, jak któregoś dnia rozmawiał z Shazią; powiedział jej, że chciałby odwiedzić meczety i porozmawiać z imamami o wymuszonych małżeństwach.

- W każdy piątek chodzę do meczetu na nauki. Kiedyś tego nie robiłem z powodu przykrych doświadczeń, ale teraz, po tym, co osiągnąłem, znów zacząłem chodzić. I codziennie czytam Koran. Wiesz, co jest w nim napisane? Że nie należy stosować przemocy wobec żony i dzieci. Dlaczego imamowie nigdy o tym nie mówią? Miliony muzułmanów by ich posłuchały.

O ile nam wiadomo, Imran jest jedyną osobą w Wielkiej Brytanii zajmującą się mężczyznami ofiarami przemocy. Po kilku miesiącach miał już dwudziestu pięciu podopiecznych. Jest nad wyraz obowiązkowy. Przeprocowanie zaczyna się odbijać na jego zdrowiu. Kiedyś mi oznajmił, że poprzedniego dnia odebrał serię telefonów o pierwszej w nocy, wiedziałam, że nadeszła pora, by mu powiedzieć, jak ważne jest dbanie również o siebie, nie tylko o tych, których wspiera.

- Ale był naprawdę w ciężkiej sytuacji, Jas, ktoś musiał mu pomóc - odparł. W jego oczach dostrzegłam wściekłość, którą wszyscy czujemy, kiedy stykamy się z kolejnym wstrząsającym przypadkiem znęcania się nad kimś.

Usiadłam, a on opowiedział mi historię tego biedaka.

- Nie uwierzysz, co przeszedł. Żona ściągnęła go z Pakistanu cztery miesiące temu. Od tamtej pory wolno mu wychodzić tylko do pracy, a żona zabiera wszystkie pieniądze, więc jest całkowicie od niej uzależniony. Trzyma nóż pod ich łóżkiem i grozi mu, że się nim posłuży, gdyby zaczął sprawiać jakieś problemy. Jej rodzina nienawidzi wszystkiego co brytyjskie, więc nie wolno mu mieć telefonu, zaprzyjaźnić się z kimkolwiek, nawet chodzić na lekcje angielskiego. Całkowita izolacja. Mówię ci, Jas, jest kompletnie zaszczuty, zupełnie go zniszczyła. Dwa tygodnie temu w przypiływie rozpaczy zwierzył

223

się swojemu przełożonemu w pracy, ale żona się o tym dowiedziała i wpadła w szał. Zarzuciła mu brak lojalności i kazała swoim braciom go zabić. Jeden z nich przyparł go do ściany, a ona kopała w genitalia i próbowała poparzyć gorącym żelazkiem. Ostatniej nocy zadzwonił śmiertelnie przerażony, bo żona chce zlecić jakiemuś gangowi, żeby go zabili. Musiałem mu pomóc. Zadzwoniłem na policję, pojechali do jego domu i go zabrali.

Właśnie takie wypadki przekonały nas o konieczności stworzenia schroniska dla mężczyzn. Teraz, kiedy Imran musi znaleźć jakieś lokum dla mężczyzny, ofiary przemocy, musi brać to, co dają. Często

jest to nieodpowiednie miejsce.

- To są łagodni, delikatni mężczyźni, którzy już doznali głębokich urazów psychicznych. Wzbraniają się przed zamieszkaniem w schroniskach przeznaczonych dla byłych skazańców - powiedział Imran.

- I nie chodzi tylko o samotnych mężczyzn. Kiedy kontaktują się z nami pary, które razem uciekły, właściwie nie pomagamy żadnemu z nich, jeśli nie możemy pomóc obojgu.

To sprawa, którą musimy się pilnie zająć, ponieważ do Imrana zaczynają się zgłaszać poszkodowani z całego kraju. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu w naszym biurze pojawił się mężczyzna z Bradford, który uciekł od rodziców, próbujących zmusić go do małżeństwa. Cały swój skromny dobytek, wszystko, z czym miał zacząć nowe życie, zmieścił w dwóch czarnych plastikowych workach. Pilnie potrzebował jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby zamieszkać.

Przyprowadził go do nas Philip Balmforth, emerytowany inspektor zatrudniony przez policję w Bradford do zajmowania się bezbronnymi członkami azjatyckiej społeczności, mieszkającymi w ich mieście.

Philip dwoi się i troi. Swoją popularność częściowo zawdzięcza temu, że podczas pierwszej sprawy, jaką prowadził, przypadkiem udało mu się załatwić po myśli rodziny kwestie finansowe, które wynikły po ucieczce z domu dwóch sióstr. Kiedy krewni zgłosili ich zaginięcie, instynkt mu podpowiedział, żeby najpierw obdzwonić schroniska dla kobiet. Zaczął od tych w Bradford, ostatecznie znalazł obie siostry w Sheffield. Kiedy się okazało, że uciekły przed wymuszonymi małżeństwami, zadzwonił do ich rodziców z informacją, że córki są całe



i zdrowe, ale nie wrócą do domu.

224

Nim minęło pół godziny, rodzice wraz ze sporą grupą krewnych pojawili się w gabinecie Philipa. Oświadczyli, że córki zabrały książeczki oszczędnościowe, na których zdeponowano trzydzieści pięć tysięcy funtów, należących do rodziny: czy Philip mógłby je odzyskać? W panującym zgiełku i harmidrze udało mu się ustalić, że pieniądze są umieszczone na dwóch rachunkach, każdy otwarty na jedną z sióstr.

- Jeśli one są wymienione jako właścicielki konta, z mojego punktu widzenia to ich pieniądze i mogą nimi swobodnie dysponować; koniec sprawy - powiedział Philip.

Zrobił się jeszcze większy rwetes, ale ojcu sióstr jakoś udało się przekrzyczeć innych.

- To pieniądze należące do rodziny, na jakiś czas umieszczone na ich rachunkach, żeby wykazać w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, że są w stanie utrzymać mężów, których ściągają z Pakistanu. Kiedy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie zgłosi żadnych zastrzeżeń, pieniądze wrócą na konto rodziny, by można je było spożytkować na inny cel.

Nie widział w tym nic niestosownego i nie krył oburzenia, kiedy Philip twierdził, że w świetle prawa pieniądze należą do córek i nie można im odebrać własności. Z ociąganiem się rodzina wyszła z gabinetu. I na tym historia by się zakończyła, gdyby nazajutrz nie zadzwoniły do niego siostry i poprosiły o spotkanie w Sheffield.

Kiedy się pojawił, wyjaśniły, że czują się źle, zabrawszy pieniądze.

Również uważały je za własność rodziny. Dały Philipowi książeczki oszczędnościowe z prośbą, by je zwrócił ich ojcu.

- Od tamtej pory zasłynąłem jako ten, który odnajduje córki i oddaje pieniądze rodzinie. - Philip uśmiechał się na wspomnienie tej niezwyklej historii. Szacuje, że przez ten czas każdego roku dowiedział się albo słyszał o około stu pięćdziesięciu przypadkach wymuszonych małżeństw w samym Bradford. Nie wiem, ile młodych kobiet zawiózł swoim samochodem w bezpieczne miejsce, ale cieszy się taką dobrą opinią, że wierzą w niego i ufają mu bezgranicznie. Rozśmieszył mnie ostatnio, opowiadając historię młodej kobiety, którą wiózł do schroniska; umieściła w jego samochodzie cały swój dobytek i była oburzona, kiedy zabrakło miejsca na brudną od smaru przemysłową maszynę do szycia.

Razem z Philipem braliśmy udział w różnych konferencjach, a później rozmawialiśmy o swoich problemach. Napotykałyśmy dużo identycznych przeszkód: na przykład, chociaż Philip zdobył zaufanie wielu nauczycieli w Bradford, nie rozgłaszają o zapraszaniu go do szkół, by udzielił rad uczniom, którym grozi wymuszone małżeństwo. Jedna z dyrektorek błaga go, by nie wpisywał się do księgi gości, żeby wyżsi przełożeni nie dowiedzieli się o jego wizycie; wie, że uznaliby jego interwencję za „obrażającą uczucia osób o innej kulturze”.

Mimo to wciąż ma dobre wyniki w pracy. Chciałabym, żeby każda jednostka policji miała swojego Philipa, ponieważ coraz częściej jego działalność dowodzi, co można i należy robić - nawet w wypadku młodych dziewcząt, wywożonych za granicę, gdzie mają kogoś poślubić. Pod

koniec zeszłego roku znacząco przyczynił się do sprowadzenia młodej kobiety z Danii i uchronienia jej przed wymuszonym małżeństwem, o którym ją poinformowano na kilka godzin przed ceremonią. Siostra młodej kobiety zadzwoniła do niego z prośbą o pomoc. Chciała, żeby nie dopuścił do wyjazdu jej ojca i brata do Danii w celu ukarania młodej mężatki, odmawiającej skonsumowania małżeństwa.

- Obca kobieta niespodziewanie pojawiła się na progu naszego domu i oświadczyła: „Będę twoją teściową”. I tak moja siostra dowiedziała się o planowanym małżeństwie. Nadal jest w szoku - uroczystości odbyły się następnego dnia, a zaraz potem wyjechała do Danii razem z teściami. Mój tata jest wściekły, bo nie doszło do skonsumowania małżeństwa; chce za wszelką cenę zmusić ją do zaakceptowania tego związku. Boję się, że może jej coś zrobić. Musi jej pan pomóc - powiedziała siostra.

Philip natychmiast zadzwonił do Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, a jej pracownicy skontaktowali się z Urzędem Wysokiego Komisarza w Danii, gdzie zupełnie nie wiedziano, co zrobić. Minęło kilka godzin, nim ktoś wpadł na pomysł, żeby młodej kobiecie - miała zaledwie siedemnaście lat - wyznaczyć kuratora. Dopiero wtedy policja mogła ją zabrać z domu teściów i umieścić w hotelu. Następnie Jednostka do spraw Wymuszonych Małżeństw zorganizowała bezpieczny powrót do Wielkiej Brytanii.

- Ona jednak nie potrafiła żyć z dala od Bradford. - Philip westchnął. - Wróciła tam, żeby być blisko siostry, a po dwóch miesiącach zadzwoniła do taty, który jej powiedział: „Przepraszam, powinienem

był cię poinformować o małżeństwie. Zapomnijmy o tym. Pozwól, że cię zabierzemy do Pakistanu i tam znajdziemy dla ciebie męża".

Philip mówi, że nie widzi żadnych oznak zmiany postaw i zwyczajów w społeczności, której służy pomocą - nie ma na to nawet cienia nadziei. Ale się nie poddaje, tak samo jak ja, i świadomość tego, że razem prowadzimy batalię, jest dla mnie źródłem siły i pocieszenia. Chciałabym, żeby w każdej jednostce policji w Wielkiej Brytanii pracował ktoś taki jak on.

31

Spełniło się marzenie Tony'ego Hutchinsona o uruchomieniu telefonu zaufania. Miał nosić nazwę Choice-Line. Podczas prac przygotowawczych wywołałam pewne kontrowersje, proponując, by na przeszkolenie skierowano wyłącznie białe policjantki. Okazało się później, że pewna funkcjonariuszka, Azjatka, chciała wziąć udział w programie i ostro zaprotestowała, czując, że wykluczono ją z czegoś, do czego uważała się szczególnie predestynowana. Byłam jednak nieugięta. Zebrałam całą dwudziestkę kandydatek i powiedziałam: - Najważniejsze jest to, by odbierający telefony bardzo szybko potrafili zdobyć zaufanie dzwoniących. Osoby, które wykręcą ten numer, będą i tak zestresowane, lepiej więc, żeby nie musiały się dodatkowo denerwować, czy przypadkiem nie rozmawiają z kimś, kto zna ich rodzinę. Nie muszę wam tłumaczyć, co to jest sieć. - Zdaje się, że to do nich trafiło.

Razem z Anną Hardy pojechałyśmy do Cleveland, by wziąć udział w szkoleniu, obejmującym wiele zagadnień: od tego, jak właściwie

rejestrować rozmowy, przez aktywne słuchanie po instytucje, do których można skierować kobiety. My miałyśmy podzielić się doświadczeniami ofiar, które zgłosiły się do Karmy Nirvany. Następnie uruchomiono telefon zaufania na seminarium dla ponad trzystu osób. To był wielki dzień. Panowała podniosła atmosfera, wśród osób, które przemawiały, byli zastępca prokuratora generalnego Vera Baird, Nazir Afzal, Hannah Buckley, doradca do spraw polityki w Jednostce do spraw Wymuszonych Małżeństw, ja i oczywiście Tony Hutchinson, który podsumował całość następująco: „Działając wspólnie, możemy od-  
228

mienić wszystko. Wychodzimy z prostym przesłaniem: jest pomoc i jest nadzieja. Wymuszone małżeństwa są czymś złym”.

Inauguracja odbyła się w piątek, a pierwsza osoba zadzwoniła na telefon zaufania w sobotę rano. Podczas trzech pierwszych tygodni odebrano ponad sto telefonów, dotyczących dwudziestu dwóch różnych spraw - i to w części kraju, gdzie mniejszość narodowa stanowi niespełna trzy procent mieszkańców. Trzyście dzwoniących kobiet poprosiło o pomoc policji, przynajmniej dwie z nich bezpiecznie przewieziono z domów rodzinnych do innej części kraju. W jednym wypadku policja skontaktowała się z pracodawcami kobiety, dzięki czemu znaleźli dla niej pracę w miejscowości, do której się wyprowadziła. Tony, zawsze skromny i wyrażający się w sposób powściągliwy, był bardzo zadowolony: „To trzyście osób, które nie mogłyby zadzwonić i nie zadzwoniłyby, gdyby nie było naszego telefonu zaufania”.

Moim zdaniem najważniejsze jest, że teraz, kiedy to piszę, prawie miesiąc po uruchomieniu telefonu zaufania, plakaty informujące o Choice-Line nadal wiszą w kilku meczetach w mieście. Na jednym ktoś dopisał: „Dziesięć lat za późno!”.

\*

Jestem pewna, że na wymyśloną przeze mnie sieć przyjaciół również byłoby zapotrzebowanie, i bardzo chciałam ją stworzyć, ale zdawałam sobie sprawę, że nie wolno nam przy tym popełnić najmniejszego błędu. Wiedziałam, czego chcę: najpierw marzył mi się ogólnokrajowy numer telefonu, obsługiwany przez zespół ludzi, najlepiej odpowiednio przeszkolone osoby, same będące kiedyś ofiarami przemocy.

Kobiety i mężczyźni, którzy zadzwonią na ten numer, otrzymają nie tylko wsparcie, lecz także rady w kwestiach praktycznych i zostaną skierowane do innych organizacji, służących pomocą.

Chciałam również stworzyć lokalne i regionalne grupy wsparcia, a także stronę internetową i biuletyn w Internecie, umieszczający takie informacje, jak: „Lila zdała egzamin na prawo jazdy”, „W tym tygodniu są urodziny Sameery”, „Anamika ukończyła kurs uzupełniający”. Ludzie mogliby tam pisać o tym wszystkim, o czym zwykle mówią swoim mamom, umieszczać najrozmaitsze wiadomości, które

229

gromadzone tygodniami, miesiącami, latami tworzą sieć wzajemnego zrozumienia, jak to się dzieje w rodzinie. Z tą różnicą, że w tym wypadku będzie to rodzina składająca się z przyjaciół, tych wszystkich, którzy wspierają naszą działalność i z niej skorzystali.

Zorganizowałam konsultacje z przedstawicielami Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, grupą starszych stopniem funkcjonariuszy policji, personelem Karmy Nirvany i naszymi gośćmi, osobami, którym pomogliśmy. Wśród nich były takie kobiety jak Yasmin, już nam znane, oraz około dwudziestu osób z naszej bazy danych, z którymi Shazia albo ja rozmawialiśmy przez telefon, ale nie spotkałyśmy się osobiście.

Yasmin, Shabana i Maya zgodziły się przyjechać do Derby na jeden dzień. Byłam im wdzięczna, zaprosiłam je do siebie na wieczór poprzedzający dzień konsultacji i zaproponowałam nocleg. Poprosiłam też Shazię, żeby do mnie wpadła. Uznałam, że to będzie dobra okazja, by zebrać myśli przed konsultacjami. Poza tym akurat wypadały moje urodziny, więc postanowiłam urządzić przyjęcie.

Gdy tylko o tym wspomniałam, Yasmin przysłała mi SMS-a z pytaniem, czy może wybrać menu, a kiedy się zgodziłam, razem z Shabaną zasypały mnie propozycjami. Wykorzystując SMS-y, przeprowadziłyśmy dyskusję o wszystkich ich ukochanych domowych potrawach, których teraz im brakowało. Uplłynęło trochę czasu, nim zdecydowałyśmy się na ćapati z pikantnymi ziemniakami, dal z soczewicy, szpinak po indyjsku oraz balsamki ogórkowate. Przygotowanie potraw sprawiło mi prawdziwą frajdę: każda posiekana cebula, każda szczypta przypraw wydawała mi się czymś, co będzie stanowić dla tych młodych kobiet wspaniały prezent, poprawiający samopoczucie. Utraciły domy, a wraz z nimi możliwość spożywania tradycyjnych potraw. Nie mogłam im stworzyć nowego domu rodzinnego, ale mogłam je nakarmić choćby

w ten jeden wieczór tym, co lubiły.

Starałam się, żeby wypadło okazale: kupiłam kwiaty, świece i wino, usiadłyśmy przy stole i najadłyśmy się do syta. Tamten wieczór, kiedy w piątkę dzieliłyśmy się jedzeniem, przyjaźnią, zaufaniem, kiedy wspierałyśmy się wzajemnie, wydawał mi się symbolem tego wszystkiego, co, jak miałam nadzieję, osiągnie Sieć Byłych Ofiar Przemocy.

Zakończył się tak jak nasz wieczór w Bangor - byłyśmy w euforii,

230

która mnie nie opuściła. Nazajutrz, kiedy stałam na podium razem z Hannah Buckley i Tonym Hutchinsonem, czekając na rozpoczęcie konsultacji, byłam pewna, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

Przedstawiłam w skrócie swoją historię, wyjaśniłam, jak uciekłam z domu i musiałam się nauczyć żyć ze świadomością, że od dwudziestu siedmiu lat rodzina nie chce mnie znać. Opisałam, jak przez wiele miesięcy po ucieczce paraliżowało mnie poczucie winy i samotność, i że jedynie tragiczna śmierć ukochanej siostry Robiny dodała mi odwagi, by odmienić swoje życie.

- Mówiłam to już wiele razy. Dziesiątki razy zjeździłam kraj w szereg i wzdłuż, opowiadając ludziom, co przeszłam, bo uważam, że jeśli takie kobiety jak my cierpią w milczeniu, będziemy cierpieć wiecznie. Jestem przekonana, że tylko mówieniem światu o wymuszonych małżeństwach, przemocy w imię honoru i odrzuceniu przez rodziny możemy doprowadzić do zmian. Pozwólcie, że coś wam powiem - poprosiłam i ściszyłam głos, zmuszając obecnych do wyłączenia słuchu. - Czuję się samotna, stojąc na tym podium. Bardzo samotna.



I jeśli inne obecne tu ofiary przemocy również chciałyby się podzielić swoimi przeżyciami, bardzo dużo by to dla mnie znaczyło.

Natychmiast jakaś kobieta podniosła rękę:

- Moja rodzina wyrzekła się mnie trzydzieści lat temu.

Siedząca obok niej też podniosła rękę.

- Rodzina wyrzekła się mnie siedem lat temu i wciąż tęsknię za dżalebi i filiżanką herbaty z mamą.

No i się zaczęło. Pojawił się las rąk, ludzie nie mogli się doczekać na swoją kolej.

- Rodzina wyrzekła się mnie dziewięć lat temu, a nadal nie mogę się oprzeć, by nie przejeżdżać obok rodzinnego domu, żeby sprawdzić, czy tata wrócił z pracy.

- Rodzina wyrzekła się mnie trzydzieści dwa lata temu i przez cały ten czas nie spotkałam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać w języku pendzabskim... Naprawdę brakuje mi rozmów w języku ojczystym.

- Brakuje mi kogoś, z kim mogłabym świętować Id al-Fitr.

- Żal mi moich dzieci, dzieje ich rodziny zaczynają się i kończą na mnie.

231

Rozglądając się po sali, zauważyłam młodą parę, trzymającą się za ręce. Słuchali w skupieniu, nie zabierali głosu. W pewnej chwili mężczyzna podniósł rękę.

- Czy mogę coś powiedzieć?

Wszyscy skinęli głowami.

- Naturalnie - odrzekłam.

Spojrzał na młodą kobietę obok niego, jakby czerpał od niej siłę.

- Nasi rodzice nie chcieli pozwolić na ślub, ponieważ należymy do różnych kast. Jest to dla mnie czymś niepojętym. Gdzie w religii sikhów jest powiedziane, że należy poślubić kogoś z tej samej kasty? Czujemy się osamotnieni i odizolowani. Bezskutecznie szukaliśmy wsparcia w wielu instytucjach, póki nie trafiliśmy do Karmy Nirvany. Rozmawiałem z Imranem i wiedziałem, że wreszcie znalazłem kogoś, kto rozumie nasze położenie. Dzięki niemu zyskaliśmy pewność siebie i odważyliśmy się żyć tak, jak tego chcemy. - Spojrzał na kobietę siedzącą obok i się uśmiechnął. A potem dodał z nutką triumfu w głosie: - W zeszłym tygodniu wzięliśmy ślub. Nasze rodziny nie były obecne, ale uczymy się żyć bez nich i wiem, że dzięki wsparciu Karmy Nirvany nam się to uda.

Wszyscy zaczęli klaskać. W sali pełnej pozytywnej energii aż huczało. Była to jedna z takich chwil, kiedy grupa różnych ludzi przemienia się w zespół, któremu przyświeca wspólny cel, a entuzjazm jest tak wielki i zdumiewający, że wszystko wydaje się możliwe. Mogliśmy przez całe popołudnie dzielić się swoimi przeżyciami, ale musiałam to przerwać, bo czekało konkretne zadanie do wykonania.

Podzieliliśmy obecnych na grupy i poprosiliśmy, żeby przedyskutowali założenia projektu, poczynając od nazwy i znaku graficznego pod kątem adresatów naszej oferty. Najdłuższa, najbardziej ożywiona

debata dotyczyła nazwy. W Karmie Nirwanie byliśmy za nazwą „Sieć Byłych Ofiar Przemocy”, ale nasz pomysł się nie spodobał.

- A może „Honor”? - zaproponowałam.

W sali zapadła cisza.

- No bo w tym wszystkim chodzi o honor, prawda? Dlatego tutaj jesteśmy.

232

- Ale czy to nie przez honor straciliśmy swoje rodziny? - zapytał ktoś.

- To zły rodzaj honoru - dodał ktoś inny.

- Czuję się człowiekiem honorowym.

- Jesteśmy ludźmi honorowymi - powiedziałam - ale nasze rodziny widzą to inaczej. Dla nich nasz honor to ich hańba.

- To prawda - rozległ się czyjś głos. - Sprawmy, żeby honor odzyskał swoje właściwe znaczenie.

I w taki sposób powstała nazwa „Honorowa Sieć”. Dla mnie osobiście tamtego niesamowitego popołudnia najciekawsza była rozmowa o znaku graficznym. Steve Allen zaprosił plastyka i kiedy ten zwrócił się do obecnych o pomysły, posypały się jak z rogu obfitości: proponowano lilie, gołębie i mnóstwo innych ładnych symboli, ostatecznie dyskusja skupiła się na motywie szeregu ludzi, trzymających się za ręce.

- To będą modele i modelki? - zapytał ktoś.

- Nie! Uważam, że powinni być zwykli ludzie. Nie wstydzę się pokazać swojej twarzy. - Jakaś kobieta wstała z miejsca.

- Ja też nie - zawtórowała inna.

A potem z różnych stron sali zaczęły się rozlegać głosy:

-Ani ja!

-Ani ja!

-Ani ja!

32

Zaproszono mnie do szkoły Joshuy, żebym opowiedziała na apelu o działalności Karmy Nirvany. Zostawiłam syna pod drzwiami do jego klasy i udałam się do auli, żeby tam poczekać, aż nauczyciele sprawdzą listę obecności. Szłam powoli, podziwiając autoportrety uczniów czwartej klasy na jednej ścianie korytarza i prace dotyczące recyklingu na drugiej. Kiedy znalazłam się w auli, uświadomiłam sobie, że czuję się bardzo dobrze w tym budynku. Wywiadówki nadal wywołują salto żołądka, kiedy stoję w kolejce, żeby porozmawiać z nauczycielką Joshuy, ale aula na ogół kojarzy mi się z przyjemnymi okazjami: letnim kiermaszem, koncertami bożonarodzeniowymi czy szkolnymi przedstawieniami. Zawsze chętnie tu przychodziłam, by rzucić okiem na inny, niezależny świat, w którym Joshua codziennie spędza tyle czasu.

Moja mama nigdy nie widziała szkoły, do której chodziłam. Ginda zaprowadziła mnie tam pierwszy raz, a potem wlokłam się za starszymi siostrami, starając się za nimi nadążyć. Wtedy nie zastanawiałam się, dlaczego mama nie ma w ogóle kontaktu ze szkołą; będąc zbuntowaną nastolatką, brałam to za obojętność, ale teraz... Myślę, że może się bała. Nie mówiła wystarczająco dobrze po angielsku, żeby rozmawiać

z nauczycielami albo czytać wypracowania przyczepione do ścian. Nasza szkoła była dla niej czymś obcym, jak tyle przejawów kultury, w której czuła się uwięziona, i niezrozumiałym. Wykształcenie to dar, który ona i mój tata dali nam, kiedy opuścili swoją wioskę w Pendżabie i zamieszkali w Anglii, ale nie ośmieliła się uszczknąć coś z tego dla siebie. To był jej dramat i, jak to widzę teraz, także mój.

234

Po apelu pospiesznie pożegnałam się z dyrektorką i udałam na dworzec, żeby złapać pociąg do Walii, gdzie miałam wystąpić na konferencji. Yasmin też się na nią wybierała jako przedstawicielka organizacji, w której pracowała, więc w drodze na dworzec zatrzymałam się, żeby kupić dla niej kartkę, bo akurat były jej urodziny. Wiem z własnego doświadczenia i z obserwacji wszystkich młodych kobiet, które przychodzą do Karmy Nirvany, że w takie dni jak urodziny, ramadan, Id al-Fitr samotność najbardziej doskwiera. Kiedy wsiadłam do pociągu, napisałam do niej:

Kochana Yasmin!

Widzisz: tak dobrze cię znam, że nawet kupiłam czarno-białą kartkę, żeby pasowała do czarno-białego wystroju Twojego mieszkania!

Prawdopodobnie bardziej niż w inne dni tęsknisz za swoją rodziną, ale chcę, żebyś wiedziała, że myślę o Tobie.

Pozdrawiam Cię i ściskam

Mama

Tamtego popołudnia kolejny raz dzieliłam podium z Nazirem

Afzalem; odmiennie podchodzimy do kwestii zabójstw honorowych:

ja staram się nie dopuścić do śmierci ludzi, on, jako dyrektor prokuratury, dąży do tego, by sprawiedliwości stało się zadość, reprezentuje tych, którym odebrano życie w imię honoru. W 2004 roku zorganizował pierwszą w prokuraturze konferencję na temat zabójstw honorowych i od tamtej pory zajmuje się tą kwestią. Mówi, że poświęca jej cały swój wolny czas.

Lubię go słuchać; jest płomiennym i ciekawym mówcą, ale dla mnie jego wystąpienia są szokujące. Z podium można obserwować obecnych; nawet ci drzemający i niecierpliwi siadają prosto i słuchają w skupieniu. Tamtego popołudnia przytoczył wyniki sondażu BBC, w którym jeden na dziesięciu młodych Azjatów powiedział, że potrafi usprawiedliwić zabójstwo kogoś, kto przypuszczalnie okrył hańbą swoją rodzinę. Wymienił kobiety zamordowane w imię tak zwanego honoru z tak trywialnych

235

powodów jak chęć zdobycia prawa jazdy i tak niesprawiedliwych jak bycie ofiarą gwałtu.

Opowiedział o Sajidzie Bibi, zamordowanej w Birmingham w dniu ślubu, i nie krył oburzenia. Jej małżeństwo nie zostało zaaranżowane, ale najbliżsi uznali, że mogą zaakceptować wybór kobiety. Jednak nie wszyscy się z nimi zgadzali. W dniu ślubu dwóch mężczyzn, twierdzących, że są krewnymi, przyjechało z południa Anglii, zadźgało ją na śmierć, a potem uciekło do Pakistanu.

- Zapoznałem się z ich drzewem genealogicznym. Byli bardzo dalekimi krewnymi, nawet ich nie uwzględniono w drzewie genea-

logicznym. A jednak uważali, że mają prawo do okazania swojego niezadowolenia.

Nazir zawsze używa takiego powiedzenia, by pokazać hipokryzję, z jaką mówi się o honorze: „Męczyzna jest jak kawałek złota: jeśli wpadnie do błota, można go wytrzeć do czysta. Kobieta jest jak kawałek jedwabiu: jeśli wpadnie do błota, na zawsze zostaje brudna”.

Uważam, że to bardzo trafne. Podziwiam Nazira, bo nigdy nie boi się głosić kontrowersyjnych opinii. Na przykład twierdzi, że muzułmanki w Wielkiej Brytanii nie boją się najbardziej islamofobii ani tego, że pomyłkowo zostaną wzięte za terrorystki; boją się tego, co im grozi ze strony własnej rodziny. Uważa, że jeśli się chce reedukować ludzi w sprawach zabójstw honorowych, należy to robić wśród sześć-, ośmio-, dziesięciolatków.

- Każdy, kto skończył osiemnaście lat, już wyrobił sobie zdanie.

W takim wypadku jest już za późno na reedukację.

Podkreśla jednak również pozytywne strony, to, że coś się robi na szczeblu ogólnokrajowym, by rozwiązać problem zabójstw honorowych. Poinformował, że w całym kraju prowadzi się przegląd, żeby określić skalę tego zjawiska; że powołano ogólnokrajową grupę roboczą z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Jednostki do spraw Wymuszonych Małżeństw, która opracuje zasady i konkretne rozwiązania na potrzeby takich organizacji jak Karma Nirvana. Słuchając tego, nie mogłam się pozbyć sceptycyzmu: w przeszłości tyle obiecywano, tak mało zaś osiągnięto, a jednak...

Zwykle nim nadejdzie moja kolej, staram się zniknąć na dwie minuty, żeby się skupić. Wykorzystuję ten czas na zastanowienie się, co robię na tym podium, przypominam sobie, że jestem tutaj nie dla siebie, ale dla tych wszystkich, którzy nie mogą przemówić, że reprezentuję tysiące kobiet z kraju i z czasem, mam nadzieję, z całego świata. Na kilka sekund przed zebraniem głosu serce mi wali jak szalone nie dlatego, że mam tremę przed występem publicznym - gdybym rozmawiała z premierem albo nawet z samą królową, czułabym się tak samo. Denerwuję się, bo chcę problem naświetlić jak należy. Gdy już zacznę mówić, zapominam o wszystkim poza tym, co staram się przekazać.

Tylko raz bałam się, że nie zapanuję nad emocjami: podczas obiadu z okazji wybrania mnie na Kobietę Roku. Kiedy tamtego dnia stałam na podium i odbierałam nagrodę, dziękując za nią, nie mogłam przestać myśleć o swojej mamie. Powiedziałaś, że nigdy niczego nie osiągnę, a proszę, jestem tutaj - mówiłam sobie w duchu. Kto by pomyślał? Z całą pewnością nie ja.

Staram się przemawiać do jak największej liczby osób, przedstawiać projekty organizacji, a teraz wolno, ale systematycznie tworzę zespół, który pomoże mi głosić to, w co wierzę: należą do niego Shazia, Anna, Imran, a w przyszłym roku może dołączy do nas Maya. Niedawno w ciągu jednego dnia Shazia, Anna i ja przemawialiśmy w trzech różnych miejscach do ośmiuset osób: nasz głos stał się słyszalny.



Zainteresowanie słuchaczy, ich oburzenie i współczucie dodają nam sił. Tylu ludzi pozostawało w całkowitej nieświadomości istnienia tych problemów; na twarzach słuchaczy widać niedowierzanie, a później dość często wstyd, za wszystkie lata, kiedy tego nie dostrzegali, nie rozumieli, nic nie robili, żeby pomóc. Tamtego popołudnia w Walii pewna kobieta powiedziała: „Problem, który oboje - miała na myśli mnie i Nazira - przedstawiliście, wydaje się tak ogromny, tak głęboko zrośnięty ze społecznością, którą opisujecie, że nie widzę szans, by cokolwiek mogło to zmienić”.

- Ale to się zmienia - odparliśmy jednocześnie.

237

- Kiedy zamordowano Heshu Yones - wyjaśnił Nadir - jej ojca skazano na dożywocie, ale już po ośmiu latach będzie się mógł ubiegać o zwolnienie warunkowe. W uzasadnieniu wyroku sędzia napisał, że ta tragedia jest wynikiem różnic nie do przewyciężenia między dwiema kulturami. To było w 2003 roku. Niespełna pięć lat później - kiedy Sukhdeva i jego siedemdziesięcioletnią matkę Bachan skazano na dożywocie za zorganizowanie zabójstwa żony Sukhdeva, Athwal, bo domagała się rozwodu, matka będzie musiała spędzić w więzieniu minimum dwadzieścia lat, a jej syn - dwadzieścia siedem. Dla nich więzy rodzinne nie były okolicznością łagodzącą. Wydłużenie wyroku z ośmiu do dwudziestu siedmiu lat jest dla mnie dowodem zmian.

Spojrzał na mnie i teraz ja zabrałam głos.

- Razem z kilkoma osobami z naszej organizacji składałam zeznania

przed Komisją Specjalną Spraw Wewnętrznych, badającą przemoc w rodzinie, wymuszanie małżeństwa i zabójstwa honorowe. Wreszcie władze przynajmniej nas słuchają. Uruchomiono również specjalną linię telefoniczną i zachęca się, żeby jak najwięcej osób włączyło się do konsultacji; tysiące ofiar mogą przedstawić swoje historie.

Wstałam, bo własne słowa utwierdziły mnie, że mam rację.

- Od konsultacji do konkretnych działań długa droga, ale zro-

biono pierwszy krok, czołowi politycy zaangażowali się w tę sprawę.

W zeszłym tygodniu David Cameron wystąpił przeciwko wymuszaniu małżeństwa. Na prośbę jego pracowników umówiłam go na spotkanie z mieszkankami schroniska w Bradford. Przyjechał, rozmawiał z nami i na podstawie tego, czego się dowiedział, oświadczył, iż w jego przekonaniu - o czym my wszyscy doskonale wiemy - czterysta przypadków wymuszonych małżeństw, zgłaszanych corocznie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, to zaledwie czubek góry lodowej. Jest za podniesieniem wieku uprawniającego do poślubienia cudzoziemca zamieszkałego za granicą do dwudziestu jeden lat i - moim zdaniem to bardzo dobrze wróży na przyszłość - zapowiada, że jeśli konserwatyści dojdą do władzy, ponownie postarają się, by wymuszone małżeństwo uznano za niezgodne z prawem. Wreszcie politycy zaczynają rozumieć te kwestie i traktować je poważnie. Dla mnie to przejaw zmiany.

238

Rozległy się oklaski; mówiłam dalej.

- Ofiary przemocy zaczynają działać. Coraz więcej ich się ujawnia,

sama ich liczebność dodaje im odwagi i budzi odruch solidarności. Obecnie służę radą trzem Brytyjkom, które zmuszono do poślubienia cudzoziemców, a następnie do sponsorowania ich przyjazdu. Zamierzają doprowadzić do deportacji mężów. Wszystkie trzy chcą, żeby sprawiedliwości stało się zadość, i są zdeterminowane, by o nią walczyć. One pierwsze się na to odważyły, ale kiedy wygrają, jestem pewna, że zobaczymy podobnych kobiet więcej.

\*

Tamten dzień był wypełniony po brzegi: po wystąpieniach i pytaniach przewidziano warsztaty. Nie miałam czasu na rozmowę z Yasmin, ale parę razy widziałam ją przelotnie. Była smutna, jak się tego spodziewałam. Pod koniec dnia podeszła do mnie:

- Jas, możesz ze mną pójść do budki telefonicznej? Chcę zadzwonić do swojej rodziny.

- Dlaczego?

- Bardzo tęsknię za bliskimi. Dziś są moje urodziny, ale nie skontaktowali się ze mną.

- Nie skontaktowali się z tobą, bo się przed nimi ukrywasz.

- No właśnie. Może tęsknią za mną i nic nie mogą na to poradzić, bo nie wiedzą, gdzie jestem.

Byłyśmy w foyer hotelu, gdzie odbywała się konferencja. Ludzie nas mijali grupkami, pojedynczo i parami; musiałyśmy się trochę przesunąć, żeby nie tamować ruchu. Yasmin starała się dzielnie trzymać i nie rozplakać. Postawiłam swoje bagaże na podłodze i położyłam dłonie na jej ramionach. Musiałam się pochylić, żeby

to zrobić.

- Zaufaj mi. Rozumiem, co przeżywasz, i wiem, co czujesz. Ale prosisz mnie, żebym postarała się dla ciebie o maksymalną ochronę policyjną przed rodziną. Jeśli teraz zadzwonisz do krewnych, policja spyta: „Po co to wszystko? Sama się z nimi kontaktuje”. Zastanów się, Yasmin. Nawet jeśli do nich zadzwonisz, czy to coś zmieni? Nadal będziesz się przed nimi ukrywała, bo uważasz, że zamierzają cię zabić. Nadal będziesz ukradkiem wyglądać przez okno, sprawdzając,

239

co się dzieje na ulicy przed twoim domem, nim się odważysz otworzyć drzwi frontowe.

W tamtej chwili nie odważyła się odezwać, ale skinęła głową.

Nachyliłam się i ją objęłam.

- Chodź, zjemy coś.

Poszliśmy na kolację do pobliskiej restauracji i w miarę upływu wieczoru wydawało się, że moja obecność trochę zmniejszyła tęsknotę Yasmin za rodziną. Już o niej nie wspomniała. Przedstawiła mi natomiast swoje plany.

- Chcę iść na studia, jeszcze nie wiem na jakie. Może wyprowadzę się z Norwich. Bo nie chcę przez całe życie być opiekunką. Powiedziałam to swojej przełożonej, a ona poradziła mi to co ty: jeśli się chce osiągnąć coś więcej, trzeba zdobyć kwalifikacje. I jeszcze jedno, Jas. Mówiłam ci, że zgłosiłam swój akces do Operation Black Vote? No więc trafiłam na listę najpoważniejszych kandydatów. I co ty na to?

- Fantastycznie. Uważam, że naprawdę bardzo ci się to spodoba;

wiem, że będziesz w tym dobra, ponieważ masz wszystkie potrzebne cechy i... - Urwałam, bo nagle coś sobie uświadomiłam. - Chwileczkę, Yasmin. Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie? - Była zaskoczona.

- W całej operacji Black Vote chodzi o to, żeby udzielać się publicznie; trzeba przemawiać na wiecach, wszyscy muszą cię widzieć i słyszeć. Nie możesz tego robić, jeśli się ukrywasz.

Spojrzawszy na Yasmin, widziałam rozczarowanie, złość, rezygnację, malujące się na przemian na jej twarzy. Po długiej chwili milczenia szepnęła bardzo cicho:

- Chyba masz rację.

Przez minutę nic nie mówiłyśmy, każda pogrążona w swoich myślach. Potem wyciągnęłam rękę nad stołem i delikatnie dotknęłam jej dłoni.

- Wiesz, że wszyscy musimy kiedyś podjąć tę decyzję.

- Jaką decyzję?

- Decyzję, żeby stawić czoło swojej rodzinie. Zmierzyć się z nią.

Nie zgodzić się, by dłużej nas kontrolowała. Zastanów się nad tym,

Yasmin. - Spojrzałam jej prosto w oczy. - Nie możesz do końca życia uciekać.

## EPILOG

Wszystkie kobiety, których losy przedstawiłam, stanowią część mojego życia. Poznanie ich do głębi poruszyło moje serce i skłoniło do zajęcia się tym, co robię. Niektóre są mi teraz bliskie jak rodzina, z niektórymi utrzymuję kontakt telefoniczny albo e-mailowy,

inne poszły swoją drogą, ale wciąż czekam -jak niespokojna matka  
- mając nadzieję, że kiedyś się odezwą.

Shazia, moja trzecia córka, jest coraz silniejsza. Zarumieniona, opanowana kobieta, jaką się stała, jest o lata świetlne odległa od nieszczęśliwej dziewczyny, ukrywającej się pod czapką z daszkiem. Regularnie przemawia przed licznymi gremiami w całym kraju i mam do niej całkowite zaufanie jako mojej przedstawicielki. Jestem pod wrażeniem jej energii i współczucia, zaangażowania, z jakim wspiera tych, którzy zwracają się do nas o pomoc, podziwiam jej siłę i pasję w ujawnianiu okrucieństwa i niesprawiedliwości, wszelkiego rodzaju przemocy, na jaką te kobiety i tyle innych na całym świecie wciąż są narażone.

Odkąd dołączył do nas Imran, coraz częściej przekonuję się, że mężczyźni też padają ofiarą wymuszonych małżeństw, przemocy w imię honoru i prześladowań z rąk własnych rodzin. W ciągu roku jego pracy w Karmie Nirwanie pomogliśmy ponad osiemdziesięciu pięciu mężczyznom. Rząd dopiero zaczął dostrzegać ten problem i ostatnio otrzymaliśmy pieniądze na opracowanie studium wykonalności schroniska dla Azjatów. Karma Nirvana zatrudniła też drugiego pracownika na niepełny etat.

Sanah musi znaleźć dla siebie odpowiednie lokum, mieszka w schronisku, którego nigdy nie lubiła. Wciąż pragnie pojednać się z rodziną

241

i żyje w ciągłym strachu, że zmęczy ją samotna walka, wróci do domu i zgodzi się na wymuszone małżeństwo, czego chciała uniknąć.

Kiren również jest dla mnie stałym źródłem trosk. Wkrótce

po przeprowadzce do wujka zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że to był straszliwy błąd: „gruba kreska”, nowy początek, niezależność - wszystko to okazało się obietnicami bez pokrycia, by zwabić ją z powrotem na łono rodziny. Z chwilą kiedy wróciła do domu, jej bliscy dali jej jasno do zrozumienia, że traktują ją jak kogoś gorszego. Szybko uświadomiła sobie pomyłkę i po kilku tygodniach znów uciekła. Od tamtej pory nie miałam od niej wiadomości, ale pocztą pantoflową dowiedziałam się, że próbuje jakoś ułożyć sobie życie. Podjęła studia na uniwersytecie. Trzymam za nią kciuki.

Shabana została stewardesą. Kocha swoją nową pracę, dzięki której poznaje cały świat. Regularnie ze sobą rozmawiamy i jej głos - kiedyś taki spięty - teraz wprost tryska entuzjazmem. Wciąż jednak ogląda się przez ramię. Nigdy nie otrzymała takiej ochrony, o jaką się starała, i wiem, że nie zapomina o tym, iż jest istotą śmiertelną. Tak jak ja, nigdy nie będzie uważać osobistego bezpieczeństwa za coś oczywistego.

Shabana i Yasmin są przyjaciółkami, chociaż zmiany w życiu Yasmin - zmiany, jakich nigdy bym się nie spodziewała - sprawiły, że ich życie teraz krańcowo się różni. Podczas ostatniego ramadanu Yasmin coś przyciągnęło do muzułmanek, mieszkających w jej schronisku. Zazdrościła im poczucia celu w życiu i ich spokoju. Postanowiła pościć razem z nimi. Przyniosło jej to ulgę - nie pościła, odkąd uciekła z domu - więc potem zaczęła uczęszczać na nauki islamu, włożyła hidżab. Przez jakiś czas utrzymywała jeszcze kontakt z dawnymi ko-

leżankami, chodziła do klubów, piła i tańczyła całe noce, ale coraz częściej pragnęła spokoju i poczucia bezpieczeństwa, jakie daje islam. Coraz więcej czasu spędzała na rozmowach z nauczycielem islamu, którego zaczęła traktować jak przewodnika duchowego. Słuchał jej, udzielał rad i Yasmin uwierzyła, że nie będzie prawdziwą muzułmanką, póki nie wyjdzie za mąż.

- To był brakujący element w moim życiu, ale co mogłam zrobić, by go zdobyć? - powiedziała. - W świecie zachodnim poszukałabym

242

sobie chłopaka, chodziłabym na randki, ale dla mnie ta droga była zamknięta.

Poprosiła swojego nauczyciela duchowego, żeby znalazł dla niej męża, co zrobił. Przedstawił ją białemu Brytyjczykowi, który przeszedł na islam, i służył jej za przyzwoitkę podczas ich kilku pierwszych spotkań. Po paru miesiącach znajomości się pobrali; nie mogłam być na ślubie, ale Shabana odczytała im mój list. Yasmin mówi, że rodzina jej męża jest bardzo dobra i wyrozumiała. Twierdzi, że jest ogromnie szczęśliwa, odnalazłszy swoją wiarę. Nadal nie czuje się gotowa do pojednania z bliskimi, ale już przestała wykluczać taką ewentualność. Odgraża się, że nie odpuści posterunkowemu Ahmedowi, na którego złożyła skargę.

Zdziwiłam się, kiedy mi powiedziała o swoim ślubie; Yasmin, którą znałam, była balangowiczką, ale ją rozumiem. Kiedy uciekła z domu już tyle lat temu, straciła swoje miejsce w świecie, swoją tożsamość.

Teraz czuje, że je odzyskała. Dzięki wierze stała się członkiem społecz-



ności, dzięki mężowi jest osobą akceptowaną przez ową społeczność; znalazła rodzinę, która zastąpiła jej tę, za którą tęskniła przez lata. Mam nadzieję, że znalazła też szczęście.

Życie Mai również uległo radykalnej odmianie. Prokuratura nakłoniła ją do odstąpienia od oskarżenia o napaść, jakie wniosła przeciwko mężowi, argumentując, że niektóre osoby (szczególnie pracownicy opieki społecznej), wezwane przez niego na świadków, mogą zaszkodzić jej sprawie. Odzyskała za to prawo opieki nad ukochanymi córeczkami. To radosne wydarzenie zepsuła jedynie zdecydowana odmowa ich ojca, by mieć z nimi cokolwiek wspólnego w przyszłości. Wkrótce potem wystawiła dom na sprzedaż i przeniósła się na północ, żeby zamieszkać z matką; to rozwiązanie jest wystawione na ciężką próbę, odkąd jej ojciec wprowadził się do nich. Rodzice ją tyranizują, ale stara się im nie narażać, bo jest uzależniona od pomocy matki przy córeczkach. Zamierza jak najszybciej kupić własny dom. Na razie planuje iść na uniwersytet, studiować zarządzanie albo prawo, a raz w tygodniu pracuje w Karmie Nirvanie jako wolontariuszka. Wysoko cenię jej pomoc w biurze i na konferencjach, na których zaczęła przemawiać, wprawdzie anonimowo, ale zawsze. Uważam, że czerpie siły dzięki naszemu

243

wsparciu, wciąż jest bardzo wrażliwa. Czasami widzę ją jako ślicznego ptaka ze złamanym skrzydłem.

Sytuacja biednej Fatimy nie uległa zmianie, nadal przebywa w więzieniu, a jej dzieci w tej samej rodzinie zastępczej. Tarvinder stara

się odbudować swoje życie. Jak tyle dziewcząt, z jakimi się stykamy, jest za młoda, żeby być samotna, ale wiem, że Shazia zapewnia jej możliwie najlepsze wsparcie.

Nie mogę skończyć tej książki, nie wspomniawszy o setkach osób, których historii nie opowiedziałam w całości. Od powstania Karmy Nirvany spotkałam niezwykle odważnych ludzi - kobiety i dziewczyny, które bardzo wiele wycierpiały. Rozmawiałam z wieloma kobietami, które chciały się podzielić swoimi przeżyciami, ale ostatecznie stwierdziłam, że poznanie ich losów byłoby ponad siły czytelników.

To świadczy, jak poważna jest sytuacja, jak bardzo zostały skrzywdzone, jaki wpływ na ich życie wewnętrzne i zewnętrzne miały podjęte działania. Są słabe i bezbronne, często się wahają, czy odejść od swoich rodzin, opowiedzieć, co je spotkało, jakie mogą być tego dalekosiężne konsekwencje. Od razu przychodzi mi na myśl kobieta, której udało się doprowadzić do ukarania sprawców przestępstw przeciwko niej. Sąd potwierdził słuszność wszystkich zarzutów. Ale nawet wtedy, i wiedząc, że zagwarantuję jej anonimowość, uznała, że narazi się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, jeśli przytoczę jej historię w tej książce. Z żalem więc musiałam ją pominąć.

Ten fakt sam w sobie o czymś świadczy, tym bardziej że nie jest odosobniony. Mam jedynie nadzieję, że z czasem zwycięstwo w sądzie da jej dość odwagi, by odbudowała swoje życie, i zachęci inne bite i wykorzystywane kobiety do pójścia za jej przykładem.

Istnieją plany, by objąć telefonem zaufania, stworzonym przez Tony'ego Hutchinsona, North Durham i Northumbrię, a potem

cały region North East. Wkrótce po uruchomieniu tej linii policja w Cambridge wprowadziła niemal identyczną usługę i również mówi się o tym, by objąć nią sąsiednie okręgi. Jak powiedział sam Tony: „Sukces tego telefonu zaufania jest właściwie jego tragedią”. Z całą pewnością udowodniono potrzebę istnienia takiego telefonu zaufania, podobnie jak Sieci Honoru. Podczas pierwszych czterech miesięcy istnienia na telefon zaufania Sieci Honoru mężczyźni i kobiety, po-  
244

trzebujący naszego wsparcia, zadzwonili tysiąc sześćdziesiąt dziewięć razy. Analiza setki tych rozmów wykazała, że osiemdziesiąt procent dotyczyło ofiar wymuszonych małżeństw, w siedemdziesięciu jeden procentach wypadków sprawcami byli członkowie najbliższej rodziny, połowa dzwoniących miała mniej niż dwadzieścia dwa lata. Wyobrażam sobie, że w przyszłości Sieć Honoru będzie miała pewną liczbę baz w całej Wielkiej Brytanii, obecnie rozwijamy tę ideę w Newcastle. Postanowiłam również, że Newcastle będzie pierwszym miastem, w którym powstanie oddział Karmy Nirvany, i już przedsięwzięłam odpowiednie kroki. Snuję coraz śmielsze plany, bo coraz bardziej oczywista staje się potrzeba istnienia takiej organizacji jak Karma Nirvana. Pocieszam się tym, że już nie działam sama.

## KONTAKT

Wszyscy, którzy potrzebują wsparcia i rady lub chcą wesprzeć finansowo Karmę Nirvanę, mogą się z nami skontaktować:

Karma Nirvana

Unito

Rosehill Business Centre

Normanton Road

Derby

DE23 6RH

Telefon: 01332 604098

Strona internetowa: [www.karmanirvana.org.uk](http://www.karmanirvana.org.uk)

Przydatne telefony:

Telefon zaufania Choice-Line w Cleveland: 0800 5999 365

Telefon zaufania Sieci Honoru: 0800 5999 247

Jednostka do spraw Wymuszonych Małżeństw: 0207 008 0151

„Razem wszyscy możemy się stać silniejsi”